

ZBIORY OSRODKA KARTA

~~Wydawnictwo~~ Paczkowski

7

1980

RES  
PUBLICA

wydawnictwo KRAG

## spis treści

<u>SIERPIEŃ 80:</u>	INNA REWOLUCJA .....	1
	ROZMOWA Z JANEM LITYŃSKIM .....	15
	DAWNY USTRÓJ I REWOLUCJA - - Jacek Kurczewski .....	42
	POLITYKA W CYLINDRZE .....	58
<u>STANOWISKA:</u>	OD REDAKCJI .....	69
	POLITYKA REALNA - POLITYKA REALIÓW .....	71
	GEOPOLITYKA? .....	81
	PRÓBUJĘ PODSUMOWAĆ - Stefan Kisielewski .....	91
<u>PRZEGLĄD PRASY:</u>	PODZIAŁY .....	109
<u>TEMATY:</u>	Sen powrotu .....	115
	Po wielkiej nagrodzie .....	122
	Świadeństwo zagrożenia .....	127
	Od podboju do reform .....	130
	Śmierć Amalrika .....	134
<u>ANKIETA:</u>	Anna Karieńska, Adam Kersten, Jerzy Kłoczowski, Michał Komar, Adam Michnik, Stanisław Storma, Jan Józef Szczepański, Jerzy Turowicz .....	137

## INNA REWOLUCJA

Sierpniowe, wrześniowe, październikowe wydarzenia w Polsce stanowiły dla wszystkich zaskócenie. Dlaczego? Dlaczego, z wyjątkiem tych, którzy stale przewidują, że coś niezwykłego nastąpi, więc mogą liczyć, że prędzej czy później ich przewidywania się potwierdzą, dlaczego nie potrafiliśmy przewidzieć wydarzeń, a potem, już w trakcie rozwoju sytuacji, tak nieustannie wszyscy się myliliśmy? Nikt przecież, nikt w każdym razie spośród intelektualistów, nie wierzył w powstanie i taki rozwój niezależnych związków zawodowych. Skąd zatem przyszła wolność, wolność względna - to prawda, ale jednak wolność działania, co zastała i jak ją wykorzystujemy, jak ją wykorzystała potrafimy?

x x x

Wszystko zaczęło się przypadkiem. Naturalnie, ex post dostrzec można działanie rozmaitych czynników: Kościoła i wizyty papieża w Polsce, grup opozycyjnych aktywnych od co najmniej czterech lat, złej sytuacji gospodarczej i podwyżki cen, stanowiącej bezpośrednią przyczynę strajków. Gdyby jednak nie podwyżka cen, do strajków i spowodowanych przez nie przemian w życiu politycznym i społecznym mogłoby - w tym czasie lub w tym kształcie - nie dojść nigdy. A gdyby nie kunktatorstwo i taktyczna głupota przedstawicieli władz wysłanych na Wybrzeże na początku strajków, stoczniovcy i ich koledzy poprzestali by zapewne na podwyżkach i jakichś nieznaczących, lokalnych ustępstwach władz w rodzaju zgody na pomnik poległych w 1970. Wydarzenia sierpniowe nie były więc konieczne, co więcej, nie mieściły się w żadnej logice rozwoju społecznego. Socjologowie, którzy obecnie ubolewają nad tym, że ich badania nie wykazywały nigdy, że robotnicy są zdolni do takiego protestu, powinni czuć się usprawiedliwieni. Badania były prawidłowe, natomiast wydarzenia sierpniowe były nieprawidłowe.

Bo też historia nie zna "rewolucji", która wynikłaby ze znużenia i nieufności. Znużenie i nieufność, często znużenie po prostu i poczucie słabości przeciwnika, to niezbyt mocne przyczyny rewolucji, nawet rewolucji tak ograniczonej i świadom-

mie kontrolowanej, jak wydarzenia w Polsce. To poza tym przy- czyny całkowicie nietypowe i dlatego władza zapewne mogła wszystkiego uniknąć, gdyby okazała się odrobinę bardziej zdol- na do szybkiego i skutecznego działania.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych ustalił się system zarządzania oparty na korupcji. Można oceniać ten system nega- tywnie z prawnego i moralnego punktu widzenia, ale korupcja nie jest - na tle historii - jakimś fenomenem jako zasada egzystencji systemów politycznych. Systemy oparte na korupcji potrafiły działać sprawnie i egzystować przez dziesięciolecia. W Polsce system gierkowski był względnie łagodny i pozwalał ludziom żyć, ludziom, to znaczy tym wszystkim, którzy albo bra- li, albo mieli dość żeby dawać. System oparty na korupcji jest, z natury rzeczy, systemem bez-ostrych kątów. Korupcja i ab- surdalna propaganda zapewniały systemowi, partii niezbędne po- zory życia, tworzyły rzeczywistość, w której żyli ludzie wią- zzy na wszystkich poziomach. W takim kokonie żyli dość spoko- jnie, żyli dobrze, chcieli tak samo żyć dalej, stąd woleli nie zwracać uwagi na sygnały alarmowe płynące z rzeczywistości jednak istniejącej poza ich rzeczywistością specjalną. Nie zwracali więc uwagi na sytuację gospodarczą ani na rozwój śro- dowisk niezależnych, bo a nuż zwrócenie uwagi spowodowałoby konieczność podjęcia jakichś kroków, jakichś decyzji. To zaś nie bez racji uważano za niebezpieczne.

Do kryzysu zatem doszło nie dlatego, że uprzednio robotni- cy i całe społeczeństwo intensywnie wywierało nacisk na władzę, któremu ona się nie poddawała, ani nie dlatego, że władza wyko- nała jakieś szczególnie niepopularne, wyjątkowo drastyczne kro- ki. Przyczyny kryzysu były rozmaite, ale żadna z nich nie ode- grała zasadniczej roli, zaś wzięte wszystkie razem nie musia- ły wołać do kryzysu doprowadzić. Prędzej można w każdym razie mówić o słabości władzy, niż o sile społeczeństwa w okresie przed kryzysem.

Do kryzysu więc doszło z przyczyn o charakterze psychicz- nym, strajki były nie tyle formą protestu przeciwko słabej, akompromitowanej i zagubionej władzy, ile okazją do przeżycia wreszcie naturalnych, autentycznych, prawdziwych uczuć, do pe- bycia, choćby przez kilka dni, ludźmi, którzy czegoś chcą, re-

bią to, co chcą i czują się wzajemnie solidarni. Strajki nie były w swej istocie skierowane przeciwko władzy, a były rozbite dla siebie, dla samych robotników, aby samym sobie zademonstrować możliwość wyjścia z uwikłania w absurdalny i skrupowany-mechanizm-systemu. Nie było to zatem "rewolucja" społeczna ani tym bardziej polityczna, była to natomiast "rewolucja" moralna, a przede wszystkim "egzystencjonalna", to znaczy mająca udowodnić, że jeszcze żyjemy, że jesteśmy zdolni do podstawowych ludzkich odruchów: do ożynienia dobra, przyjaźnienia się i szanowania prawdy.

x x x

Takie strajki nie mogły być początkowo zrozumiane przez intelektualistów. Przede wszystkim sama zasada była niezrozumiała, bo nieznaną z przeszłości. Najpierw wszyscy próbowaliśmy się dopatrzeć motywacji ekonomicznej, kiedy stało się oczywiste, że sprawa podwyżek płac niegłtarcza do wyjaśnienia zachowania robotników Wybrzeża, z satysfakcją mówiliśmy o motywacjach politycznych czy obywatelskich. Sam jednak dość przypadkowy zestaw sławnych 21 postulatów gdańskich wskazuje, że chodziło o postawienie zasadniczych postulatów, a nie o tę lub inną konkretną sprawę z wyjątkiem niezależnych związków zawodowych. Potem, w trakcie rozmów z przedstawicielami władz, porzucenie i realizacja wszystkich postawionych postulatów stały się już sprawą ambicji strajkujących, ale wolno sądzić, że nawet postulat najważniejszy: powstanie niezależnych związków zawodowych, był początkowo raczej postulatem o charakterze egzystencjonalnym niż społecznym. Strajkujący mieli dość tego, że są jakoby reprezentowani przez oficjalne związki i chcieli mieć coś własnego, autentycznego, chcieli w ten sposób przekonać się i potwierdzić samym sobie, że istnieją, że egzystencja w nieautentycznym systemie oficjalnym nie jest ich egzystencją jedyną.

Takie potrzeby były nieobecne u znacznej większości inteligentów. Nie idealizuję tu robotników i nie przypisuję im jakiegoś wrodzonego dążenia do autentyczności, ani nie demonizuję inteligencji. Inteligencja, intelektualiści z natury swoich zatrudnień byli po prostu o wiele lepiej przystosowani do istniejącego systemu, a procesa nieuniknionej adaptacji spowolowali, że zatarcili odniesienie do wartości bez-

względnych. Czy mówiąc precyzyjniej, zatracili wszelkie odniesienie intelektualne, bo w Polsce, choćby z racji tradycji narciowych, można niemal zawsze liczyć na zdrowe odruchy moralne. Jednak, między innymi w rezultacie przystosowania do systemu, intelektualiści powodowali się już nie wartościami bezwzględnymi, czy też wartościami funkcjonalnymi społecznie, lecz wartościami układowymi. Wszystko zostało ogarnięte przez dwuznaczność bądź wieloznaczność. Zaniechano rozważania poglądów jako takich, a zastanawiano się wyłącznie nad tym, jak dane wystąpienie, książka, artykuł, program wpłynie na inne elementy istniejącego układu. W ten sposób to samo wystąpienie oceniane z różnych perspektyw miało odmienną wartość układową, zaś wartości społecznej, nie mówiąc już o bezwzględnej, nie rozpatrywano, lub w każdym razie uważano za drugorzędne. Charakterystyczny jest tu przykład inicjatyw grupy "Doświadczenie i przyszłość", które oceniano pozytywnie lub negatywnie właśnie ze względu na ich wartość układową, to znaczy zależnia od tego, czy ktoś uważał za pozytywne lub negatywne tworzenie inicjatyw pośrednich i pośredniczących między władzą a niechętną władzą inteligencją. Można w dodatku domniemywać, że dla samej grupy owa wartość układowa była także wartością zasadniczą.

Toteż strajk na Wybrzeżu został początkowo także potraktowany w duchu wartości układowych, na czym dodatkowo zaciążyć wspomnienie bierności inteligencji w 1970 roku. Potem zaskakująco dobrze udało się akcja zwana Apelem 234 i sami jej organizatorzy byli zaskoczeni powszechnością potrzeby dania wyrazu swoim autentycznym uczuciom. Stąd owa szeroka reprezentatywność i tak upragniona jedność wystąpienia inteligenckiego. Mimo to w dalszym ciągu trudno było intelektualistom uwierzyć w to, że robotnicy wywalczą niezależne związki zawodowe. Mieliśmy zastrzeżenia najrozmaitszego rodzaju: polityczne - władze na to już pójść nie mogą; teoretyczne - system paralelnych związków nie może w Polsce zdać egzaminu; praktyczne - stworzenie nowego organizmu będzie niezwykle trudne. Ale strajkujący chcieli związków z innej przyczyny, z przyczyny egzystencjalnej i taka argumentacja, nawet gdyby była wysłuchana, nie mogła do nich trafić. Tadeusz Mazowiecki w znanym sformułowaniu odróżnił dwa realizmy: robotniczy z Wybrzeża i inteligencki z Warszawy. Jak można to odróżnienie rozumieć?

x x x

Realizm robotników był podszyty desperacją, realizm inteligentów przerażeniem. Realizm robotników opierał się na dumie, realizm inteligentów na nadziei na ugodę. Nie wydaje tu ocen, nikogo nie sądzę. Odmiennosci te wynikały z odmiennych motywacji: egzystencjonalnej tych pierwszych i układowej tych drugich, a także z odmiennosci interesów. Inteligencja, intelektualisci wraz z upadkiem systemu gierkowskiego mogli stracić dużo, robotnicy nie tracili niczego. Intelektualisci zastanawiali się nieustannie, na co władze mogą pójść, robotnicy rozważali, czego oni sami mogą chcieć.

Skąd u robotników pojawiła się siła i autentyczność, skąd ten nieoczekiwany odruch egzystencjalny nieobecny lub ledwie obecny u intelektualistów? Spośród kilku przyczyn wymienię dwie. Pierwsza ma charakter negatywny: znaczna część polskich intelektualistów była od krótszego lub dłuższego czasu świadoma tego, że życie ich toczy się w świecie wartości układowych. Obrona przed pochłonięciem przez ten świat były również od dość dawna z wielką pasją prowadzone w Polsce /zresztą nie tylko w Polsce/ studia i rozważania nad przypadkami uwikłania myśli i sztuki w ideologię i politykę. Zainteresowanie etalinizmem, ONRem, faszyzmem, a także Orwellem, "Umysłem zniszonym" Miłosza i całą literaturą demaskacyjną służyć właśnie ochronie przed coraz lepiej znanym i zgubnym uwikłaniem. Zainteresowania te jednak miały charakter negatywny, wynikała z nich ewentualnie nauka, co czynić aby się nie uwikłać, nie dać zniewolić lub nie zniewolić samemu, ale z natury rzeczy przypadki uwikłania, jakie rozważano, były z intelektualnego lub artystycznego punktu widzenia mało wybitne. Wiedzano więc wisle o tym, co jest złe i niebezpieczne, wiedzano jak tego zia unikać, interesowano się natomiast mało tym, co piękne i dobre oraz jak się do tworzenia takich wartości zabierać. W gruncie rzeczy jedyna nauka, jaką z owych nieustannych demaskacji wyciągano, prowadziła do izolacji od świata spraw społecznych, do klerkizmu w myśleniu i estetyzmu w uprawianiu sztuki. Nie sądzę, by była to nauka zła lub dla myśli i sztuki niebezpieczna, wprost przeciwnie, sądzę natomiast, że taka splendid isolation musiała zmniejszyć zdolność do autentyczności postaw społecznych. Przydawała siły intelektualis-

tom jako jednostkom, pechbawiła ich siły jako grupy społecznego nacisku.

Druga przyczyna wiąże się z podstawową sprawą roli Kościoła i religii we współczesnej Polsce, a w szczególności w sierpniowych wydarzeniach. Należy odróżnić rolę Kościoła, jego tradycji i jego instytucji od roli religii. Kościół jest w Polsce - rzecz to oczywista - siłą, siłą organizacyjną i siłą przede wszystkim duchową. Siłę stanowi znany nam wszystkim patriotyczno-religijny syndrom bez względu na to, czy występuje jako czynnik w sprawach społeczno-politycznych, czy jako symbol. Tak traktowany Kościół jest dla tych, którzy w jakimkolwiek sensie nie do końca godzą się z polityką władz, jedynym rzeczywistym sojusznikiem. I ta funkcja Kościoła jest przez polskich intelektualistów, w szczególności od wczesnych lat siedemdziesiątych, doskonale rozumiana oraz wykorzystywana, najczęściej zresztą za otwartym lub milczącym przyzwoleniem Kościoła.

Religia natomiast, praktyki religijne i przeżycia z zakresu świata sacrum, pełni społeczną funkcję jedynego niezawodnego systemu odniesienia w sytuacji oaskwitej i bezwyjątkowej nieufności, religia jest jedynym źródłem autentycznych przeżyć i rozmyślań. Jak widać, rola Kościoła i religii są w znacznym stopniu rozdzielne i kiedy mówi się o wpływie wizyty Papieża na spokojny i godny przebieg sierpniowych wydarzeń, to w grę wchodzi właśnie rola religii a nie Kościoła. Jeśli nawet Kościół polski uległ w wyniku wyboru i potem wizyty Papieża wzmocnieniu, to nie miało to żadnego związku ze strajkami, niewątpliwe wzmocnienie wiary także bezpośredniego wpływu na wydarzenia sierpniowe mieć nie mogło, natomiast wzmocnienie religii jako systemu odniesienia i źródła autentycznych, chociaż niekoniecznie ściśle konfesyjnych, przeżyć /w tym poczucia godności narodowej/ i rozmyślań, odegrało rolę zasadniczą. I znów upraszczając nieco obraz sytuacji: dla robotników ważna była religia jako system odniesienia, dla intelektualistów przede wszystkim Kościół jako rozmaicie pojmowana i przywoływana siła. Przy okazji warto dodać, że w ostatnim okresie role Kościoła i religii uległy dalszemu odróżnieniu, bowiem zmniejszyło się przekonanie o autentycznym a "nieukładnym" charakterze niektórych poczynań i wystąpień kościel-



nych przywódców.

Dodać należy też przyczynę trzecią: intelektualisci ponieśli w 1968 roku dotkliwą klęskę. Ten program zmienił sytuację inteligencji jako warstwy, zmienił jej pozycję w układach wewnętrznych. Klęska robotników z 1970 roku natomiast nie spowodowała zmiany w ich sytuacji jako klasy.

Pozostając więc przy wprowadzonych tu stykietach można nazwać realizm robotników realizmem egzystencjalnym, zaś intelektualistów - realizmem układowym. Nie znaczy to - zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę sprawę stale obecną w polskich umysłach, sprawę ewentualności radzieckiej interwencji - że realizm robotników był realizmem pozbawionym rozsądku i rozważli. Rozsądek i rozważliwość nieoczekiwanie, chociaż właśnie wizyta Papieża była już okazją do zademonstrowania tych przymiotów przez polskie społeczeństwo, stały się zdumiewająco powszechne. Jak to było możliwe w społeczeństwie pozbawionym okazji do politycznego doświadczenia, do rozwijania kultury politycznej?

X . X X

Rozważa, czy, jak często się mówi, dojrzałość polskiego społeczeństwa nie przestaje zdumiewać, zdumiewać nawet samego polskiego społeczeństwa. Jest tak jakby Polacy postanowili zamiast tradycyjnej roli idealistów z lancami atakujących czokgi nagle zagrać rolę z innej sztuki, już nie romantycznej, a mieszczańskiej i nie ukana lecz surdutowego handlowca, który co do grosza wylicza, na ile może sobie pozwolić. Polacy więc zmienili emploi. Ale każdy przyzna, że mieszczańska obyczajówka jest nudniejsza od romantycznego patosu, toteż - wbrew oczekiwaniom i nawet niepokojem - wielkie zebrania studentów organizujących nowe zrzeszenia akademickie są właśnie nudne, chociaż rzeczowe i właśnie rozsądne. Studenci i intelektualisci, robotnicy i wszyscy nowi związkowcy liczą się z realiami, doskonale zdają sobie sprawę z tego, co można, a czego już na pewno nie można, i wszyscy razem z niebywałą pedanterią przestrzegają zwłaszcza tego punktu porozumień, który dotyczy nienaruszalności aktualnego systemu sojuszków.

Ponadto im dalej od centrum władzy i opinii, im dalej od wielkich ośrodków strąkowych, tym bardziej liczenia się z realiami staje się liczeniem się z magicznymi realiami, ozy magicznymi granicami narzuconymi przez władzę. Te magiczne realia

to "siły entysocyjalistyczne" w kraju i "ci co we własnym interesie wtrącają się w nasze sprawy" za granicą, na Zachodzie. Często powracające pytania o to, czy nowe związki nie mają nic wspólnego z KOREm i równie częsta niechęć do dziennikarzy zagranicznych właśnie w tej wersji rozsądku i realizmu mają swoje źródło. Pierwotnie cehronna formuła głosząca, że kryzys sierpniowy jest wewnętrzną sprawą Polaki, prowadzi do swoistej ksenofobii i idealizowania swojskości. W praktyce oznacza to na przykład lekceważenie w nowym ruchu związkowym doświadczeń zachodnich. I to zjawisko jest całkowicie zrozumiałe jako dowód rozsądku i liczenia się z magloznym właśnie sposobem patrzenia na świat drugiej strony porozumienia - partii, i gdzieś za nią - Związku Radzieckiego.

Rozsądek więo i dojrzałość polskiego społeczeństwa wynikają ze skumulowania doświadczeń historycznych cd powstania warszawskiego po rok 1976, ale podszyte są - jak wspomniałem - desperacją i nadzieją na ugodę, na kompromis. Rozsądek ten będzie się umacniał wraz z umacnianiem się niezależnych organizacji, ale należy pamiętać o tym, że nie jest to rozsądek sp-ocześnieństw demokratycznych c długiej tradycji swobodnego życia publicznego. Polacy są obecnie rozsądni i dojrzałi, ponieważ nie mają innego wyjścia, a rozsądek i dojrzałość pozwalają spodziewać się zmiany sytuacji politycznej na lepsze. Jeżeli jednak do tej zmiany na lepsze nie dojdzie, to rozsądek i dojrzałość zostaną szybko porzucone na rzecz desperacji lub bierności, na rzecz politycznego idealizmu.

Rozsądek i dojrzałość przejawiają się obecnie przede wszystkim w gotowości wyrzeczenia się wpływu na te problemy, które zostały zarezerwowane dla władzy, ale wzamian za to posiadania decydującego wpływu na własne związki, stowarzyszenia, na własne sprawy. Najprościej można by porozumienie sformułować w następujący sposób: dajcie nam święty spokój, pozwólcie zrobić co chcemy w naszym zakresie, a my wam /władzy/ dajemy wolną rękę i także święty spokój. Realizm polega na niestawianiu żądań, które - jak się sądzi - narusząłyby podstawy systemu, a tym samym byłyby nie do przyjęcia dla władzy komunistycznej. Zastanówmy się teraz nie nad tym, czy porozumienie będzie dotrzymane, ale nad tym czy dotrzymane być może, czy nowy układ sił społecznych może działać tak, jak to sobie wszyscy

mówiący o porozumieniu, kompromisie, umowie społecznej wyobrażają?

x x x

Bez najmniejszej wątpliwości władze będą próbowały sprowdzić nowy ruch związkowy do wyłącznie socjalnej problematyki. Podobne są również bez wątpienia zamysły władz wobec nowych związków studenckich czy nowych lub ostatecznie ożywionych stowarzyszeń twórczych i naukowych. Dać im swobodę, ale na polu maksymalnie ograniczonym do ściśle zawodowych /socjalnych/ spraw. Taka swoboda, zwłaszcza jeżeli będzie jej towarzyszyło rozsądne ograniczenie działalności cenzury, będzie początkowo wszystkim wydawała się - i słusznie zresztą - poważną zdobyczą. Jednak po niedługim czasie to, co może być zupełnie wystarczające dla stowarzyszenia naukowego, okaże się niewystarczające dla nowych związków zawodowych, tym bardziej że - jak była mowa - bynajmniej nie rewindykuje socjalne a egzystenjalne -alne stanowią motywację sierpniowych wydarzeń. Wszelako nowe związki same, powodowane owym realizmem, zgodziły się na zawężenie swojego terenu działania do spraw socjalno-bytowych przede wszystkim, a nie ogólnospołecznych. Postulaty dotyczące cenzury i dostępu Kościółka do środków masowego przekazu pojawiły się w sierpniu na zasadzie niejako wyjątkowej i w przyszłości łatwo będzie je władzom odrzucać jako przebież nie wchodzące w normalny zakres spraw stanowiących przedmiot bezpośredniego zainteresowania związków zawodowych.

Tak więc bez względu na siłę organizacji robotniczej nowy ruch związkowy stracił impet i atrakcyjność, jeżeli po szczęśliwym przebrnięciu przez fazę organizacji nie rozszerzy pola swoich wpływów poza wyłącznie socjalno-bytowe sprawy. Kiedy zaś ruch robotniczy stracił impet, kiedy przestanie w oczach władzy stanowić siłę, z którą trzeba się liczyć, wówczas marny stanie się los inicjatyw ściśle inteligenckich, za którymi żadna samostanna siła tego typu nie stoi. Wiadomo jednak, że nowe związki polityki państwowej mieć się nie mogą i nie chcą zresztą. Co zatem pozostaje?

Można sądzić, że przyszłość przemian, jakie ostatecznie rozpoczęły się w Polsce, zależy od tego, czy <sup>nowy</sup> ruch związkowy rozszerzy się na środowiska pozazawodowe, na społeczności lokal-

ne, na środowiska regionalne czy sąsiedzkie. Innymi słowy: od tego, czy proces uobywstelnienia, proces odnajdywania autentycznych form istnienia społecznego rozszerzy się na całe społeczeństwo jako społeczeństwo, a nie jako zespół obywateli podlegających władzy państwowej. Oczywiście, rozszerzenie takie musi się dokonywać powoli, ale brak postępów w tym kierunku trzeba będzie uznać za zjawisko znak. Za taki znak trzeba będzie także uznać brak postępów w zakresie zrozumienia, na czym polega istota dokonującej się "rewolucji", że nie jest to mianowicie proces kolejnego wywalczenia od państwa skrawków terytorium, na którym dotychczas władza rządziła niepodzielnie, a jest to właśnie "rewolucja" egzystencjalna, czyli proces kolejnego zaistnienia, stawania się rzeczy, instytucji, organizacji, problemów, których w postaci społecznej, władanej samorządnie, dotychczas nie istniały. Nie jest przecież wykluczone, że nie tylko organizacje inteligentne, ale i nowe związki zawodowe wróćą zepchnięte przez mechanizm systemu do układowej zasady działania, do wywalczenia tego lub owego od władzy, od jakichś grup jej przedstawicieli czy od poszczególnych przywódców, do których ktoś będzie miał dostęp, którym ktoś coś będzie umiał przetłumaczyć. Formułując te zastrzeżenia warto pamiętać, że i taki stan rzeczy będzie zapewne lepszy od sytuacji sprzed wydarzeń sierpniowych, chociaż będzie równoznaczny z zatraceniem poza-układowej, egzystencjalnej motywacji.

Na tym tle można nieco lepiej zrozumieć źródła realizmu strajkujących, owej dojrzałości i godności. Kto działa motywowany egzystencjalnymi pobudkami, ten chce najpierw wykazać, a potem umocnić swoje istnienie, nie jest więc skłonny ani do rewolucyjnej destrukcji, choć bowiem tworzyć a nie niszczyć, ani do rozgrywek w ramach istniejących układów, które grożą utratą ledwo co uzyskanej tożsamości. Jeżeli jednak tak właśnie jest, to zatracenie motywacji egzystencjalnej, poczucia, że istniejemy jakomyś, istniejemy jakby o siebie i oś sami stwarzamy, spowoduje zatracenie również realizmu tak obecnie podziwianego, realizmu, którego wobec braku tradycji demokratycznych i braku kultury politycznej nie zastąpi.

Niezależność i samorządność, autonomia i samodzielność - to najczęściej obecnie używane słowa i najczęściej formułowane postulaty. Są to postulaty o charakterze formalnym /bez względu na to, czy ich realizacja jest związana z dokonaniem zmian prawnych/, postulaty jakby puste. Wszystkie zmierzają w gruncie rzeczy do jednego, to znaczy do odpaństwowienia związków zawodowych, uniwersytetów, zespołów filmowych czy wydawnictw. Jednak na tym analogie się kończą, bowiem samodzielne wydawnictwa mają w dalszym ciągu wydawać książki, tyle że lepiej, lepsze książki, więcej i prędzej, podobnie z samodzielnymi zespołami filmowymi. Natomiast samorządne związki zawodowe, organizacje studenckie czy stowarzyszenia inteligentkie nie mają równie oczywistych celów i zadań poza konkretnymi celami obrony interesów swoich członków, celami, które są ważne, ale jak była mowa w obecnej sytuacji niewystarczające i jako takie odczuwane. Stąd powracający stale problem programów.

W wystąpieniach studenckich, w wypowiedziach robotniczych mówi się o potrzebie programu działania, programu związku czy zrzeszenia rozumiejąc przez to, jak można się domyślać, zespół zadań bardziej ogólnych niż owa obrona konkretnych interesów, a mniej ogólnych niż powszechnie akceptowana, ale już nasbyt ogólnikowa obrona praw człowieka, itp. Należałoby tu być może mówić nie o zespole zadań, lecz o zespole ideałów czy idei, niepolitycznych i zarazem nieco konkretniejszych niż prawda, dobro i sprawiedliwość. Podkreślam, że takie potrzeby programowe przekraczają naturalny poziom zainteresowania związków zawodowych i zrzeszeń akademickich, ale zamysły i znaczenie tych związków i zrzeszeń także poziom ten przekraczają. Z drugiej zaś strony także przykładowe wydawnictwa i zespoły filmowe zapewne nie są, a w każdym razie nie powinny być wolne od własnej, jak to się mówi, polityki kulturalnej, czyli przedkładania jednych wartości nad drugie, wybieranie jednych ideałów przeciwko innym.

Niezależność powinna zatem być także i może przede wszystkim niezależnością od siebie nawzajem, niezależność powinna być równoznaczna z pozytywną, twórczą konkurencją tak w zakresie działań praktycznych, jak i w zakresie działań duchow-

wych. Programy powinny powstawać w rezultacie sporów postaw, preferencji, światopoglądów, idei /nie koniecznie zaś ideologii i poglądów politycznych, których obecności lub w każdym razie ujawniania trudno wymagać/. Postawy zaś oraz światopoglądy, preferencje i idee są formułowane przez elity intelektualne, które z tego swojego zadania w ostatnich latach się nie wywiązały /mniej więcej o to, że ze znanych i zrozumiałych przyczyn/. Kiedy w sierpniu pojawiła się pewna wolność, w szranki wstąpiły postrewizjonistyczne modele zachowania, resztki społecznej doktryny Kościoła i społecznikowski moralizm rodem ze szlachetnej, lecz ideowo nietwórczej tradycji socjalistyczno-niezależnej. Żaden z tych rodzajów społecznego zachowania, bo nie są to ani wyraźne systemy preferencji, ani już na pewno ideotwórcze doktryny, nie może stać się podstawą dla programów nowych organizacji i instytucji. Jedyna nadzieja na wykształcenie takiego zdrowego pluralizmu ideowego czy choćby pluralizmu preferencji spoczywa w autentycznej wzajemnej niezależności rozwijających się inicjatyw, w konstruowaniu postaw na gruncie autentycznych i przecież zróżnicowanych odruchów społecznych. Praktycznie oznacza to postulat maksymalnej decentralizacji.

Zastrzeżenia pojawiają się natychmiast. Wiadomo przecież, że w jedności siła, siła w pertraktacjach z władzami. Intelektualiści dobrze od lat pojmując tę zasadę rezygnowali z pokusy sporów istotnych na rzecz wspólnego sporu z władzami i zyskując względną siłę jako społeczność tracili często siłę indywidualnych, przemyślanych poglądów, poglądów, które tylko nie liczni i z nadmiernym trudem mogą sobie stworzyć poza kontaktem intelektualnych i ideowych polemik i konfrontacji.

Wspominaliśmy o wyjątkowych skutkach skądinąd zainteresowania negatywnymi przykładami "umysłowego zniewolenia". Wyjątkowe są także te działania intelektualne, które w imię zasady w jedności siła i w imię także skutecznej walki o swobody społeczne i wolność myśli sprowadzają się do wskazywania na przypadki ograniczania wolności myślenia oraz postulowania wprowadzenia tej wolności. Kiedy w gorącym momencie problem wolności myślenia jest podnoszony przez intelektualistów z całą stanowczością, jest to i mądre i niezbędne. Kiedy jednak przez lata prowadzi się walkę o tę wolność anga-

kując w piętnowanie, wyazydzanie, zastępowanie lub uzupełnianie całej umysłowej potencji, wówczas na myślenie oryginalne, twórcze nie ma już czasu.

Drugim więc warunkiem pomyślnego wykorzystania powstałej dzięki robotniczemu protestowi sytuacji, drugim po rozszerzeniu zakresu przemian stopniowo na całe życie społeczne, jest także odnowienie życia umysłowego, które doprowadzi do wykrycia i wyeliminowania postaw, preferencji, stanowisk ideowych, a wobec tego dostarczy nowym społecznym instytucjom, organizmom i ruchom ideowej i programowej inspiracji, inspiracji dotychczas nieobecnej lub też obecnej w mglistej i ogólnikowej postaci.

x x x

"Kto w wolności szuka czegoś innego niż ona sama, ten został stworzony na niewolnika" - pisał Alexis de Tocqueville. Wolność jest wartością samodzielną, zaś pragnienia wolności pragnieniem nieodpartym. "Nie żądajcie, bym analizował to wielkie pragnienie - trzeba go doznawać. Zjawia się samo w wielkich sercach, które Bóg na jego przyjęcie przygotował; napełnia je i napala. Duszą przeciętną, które go nigdy nie odczuwały, nikt nie wytłumaczy, czym ono jest".

"Rewolucja", jaka dokonała się w Polsce nie przypomina niczego z polskiej przeszłości, nie jest także podobna do żadnego z wydarzeń w historii powszechnej. Odmienności są oczywiste. Nigdy motywacja egzystencjalna i pragnienie wolności, jako wolności po prostu, nie ujawniły się w równie czystej postaci. Z jednym wyjątkiem, z wyjątkiem Rewolucji Amerykańskiej. To także nie była w gruncie rzeczy rewolucja, a demonstracja pragnienia wolności, demonstracja istnienia. Jeżeli tak, jeżeli przyjmujemy tę nieco wycieczniczą analogię, jeśli uznamy, że "rewolucja" polska nie była buntem biednych przeciwko bogatym, prześladowanych przeciwko prześladowającym, mas przeciwko tyranii, lecz pozytywnym aktem ustanowienia wolności, to musimy też przyjąć, że "rewolucja" jako taki akt właśnie, jest tylko i wyłącznie początkiem, stwarza punkt wyjścia dla dzieła *constitutio libertatis*, dzieła nieporównanie trudniejszego, które będzie musiało być wykonywane w zupełnie innych warunkach niż te, jakie istniały w Ameryce dwadzieścia lat temu.

Ale ten punkt wyjścia stwarza wyjątkowo rzadką w dziejach szansę, szansę na autentyczność, demokratyczność i pozytywność działań społecznych. Oznajmienie wolności, ów akt egzystencjalny nie ma bowiem charakteru negatywnego, jest wolny od tego przeobrażenia, które dominując nad olbrzymią większością społecznych buntów stanowi ich grzech pierworodny, jest wolny od nienawiści, zawiści i terroru, nieodłącznych przecież towarzyszy rewolucyjnej ekstazy. Czy wykorzystanie tej szansy jest w obecnej sytuacji w Polsce możliwe? Wydaje się, że jest prawie niemożliwe, tym bardziej, że tak wiele zależy teraz już nie tylko od całego społeczeństwa, od robotników, ale przede wszystkim od intelektualistów, od tego, czy potrafią stać się spóźnionymi ojcami rewolucji i demokracji. Prawie niemożliwe, prawie.



## ROZMOWA Z JANEM LITYŃSKIM

redaktor "Robotnika", członek KSS KOR, działacz NSZZ "Solidarność", doradca MKZ Wałbrzych

RES PUBLICA: Umawialiśmy się z panem na tę rozmowę w połowie sierpnia. Był to pierwszy dzień strajku MZK w Warszawie, prasa nie pisała jeszcze o strajkach tylko o przerwach w pracy, szersza publiczność nie bardzo wiedziała, co się właściwie w Polsce dzieje, my też niewiele wiedzieliśmy i mieliśmy nadzieję, że właśnie pan powie nam więcej. Potem wydarzenia zaczęły się toczyć bardzo szybko, pan był mocno zajęty, przesiedział się pan w więzieniu... Jak długo?

JAN LITYŃSKI: Dwa tygodnie.

R.P.: Właśnie, dwa tygodnie... Potem znów był pan zajęty, spędził pan długi czas w Wałbrzychu i oto spotykamy się 30 listopada, okoko studni po podpisaniu porozumienia gdańskiego, w kraju trochę innym niż ten, w którym umawialiśmy się na rozmowę. Pierwsze pytanie nasuwa się więc samo: czy wtedy, w połowie sierpnia, spodziewał się pan, że sprawy zajdą tak daleko, czy zdawał pan sobie sprawę z rozmiarów ruchu i z jego możliwych skutków?

J.L.: Nie. Uważałem wtedy, że ten ruch nie będzie umiał, na tym etapie, wyeksplikować się politycznie... Była co prawda pewna nadzieja na Gdańsk, bo wiadomo było, że jest to najsilniejszy ośrodek robotniczy w Polsce... Pamiętam nawet, że około 10 sierpnia przyjechał z Gdańska do Warszawy Bogdan Borusewicz i na zebraniu "Robotnika" pokpiwaliśmy sobie trochę z niego, że tyle się dzieje, wszędzie strajki, a w Gdańsku ciągle nic.

Była więc pewna nadzieja na Gdańsk, ale nikt się nie spodziewał, że to tak daleko zajdzie. Ja myślałem, że to się skończy powstaniem pewnego typu ośrodków robotniczych, które dopiero będą próbowały formułować żądania i przygotowaliśmy się na powstanie czegoś w rodzaju komisji robotniczych, natomiast absolutnie nikt z nas nie liczył się z możliwością powstania legalnych wolnych związków zawodowych...

R.P.: A zwłaszcza, o ile pamiętamy naszą ówczesną, wstępną rozmowę, z tym że ten ruch postawi daleko idące żądania o charakterze politycznym, takie jak sprawa cenzury...

J.L.: Tak, wyobrażałem sobie ruch rozwijający się, ruch coraz bardziej jawny, ale stawiający żądania ekonomiczne, o tyle tylko polityczny, że domagający się wolnych związków zawodowych.

R.P.: Ale z tym, że to żądanie pojawi się jako istotne, liczył się pan od początku?

J.L.: To było widać już znacznie wcześniej, jeszcze przed całym ruchem strajkowym z lipca. Nie chcę tu przeceniać znaczenia Karty Praw Robotniczych, ale zaraz po jej opublikowaniu, we wrześniu 1979 roku...

R.P.: Opublikowaliście to w "Robotniku"?

J.L.: To było specjalne wydanie "Robotnika", wznawiane co dwa miesiące. I już wtedy zaczęły się do nas zgłaszać pierwsze zorganizowane, powiedzmy - półorganizowane, grupy robotnicze, które chciały zakładać bardziej czy mniej jawne komisje robotnicze, komitety Wolnych Związków Zawodowych, w zakładach pracy raczej niejawne, ale które miałyby jakieś oparcie w otwarcie działających ośrodkach typu Komitetów Wolnych Związków Zawodowych i w "Robotniku". Można więc powiedzieć, że ten ruch w okresie wakacji nas o tyle zaskoczył, że w tym stadium organizacyjnym był z naszego punktu widzenia przedwczesny. To nie znaczy, że w ogóle był przedwczesny, ale dla nas był przedwczesny, bo przypuszczalnie za jakieś pół roku w kilku, może w kilkunastu ośrodkach kraju takie grupy by istniały i one niewątpliwie w pewnym momencie postawiłyby żądania polityczne. Z tym, że myśmy się tych żądań politycznych bali, co tu dużo mówić...

Kiedy zaś pojawił się ten ruch lipcowy, to przyznam się, że miałem dość pesymistyczną teorię, że to zmierza ku systemowi spełzającemu w dół; będą się pojawiały coraz ostrzejsze żądania ekonomiczne, a tymczasem cały system gospodarczy i polityczny będzie się rozpadał i powstanie w końcu sytuacja całkowitej erozji: policja, która zamiast ścigać przestępców organizuje napały, rząd, który nie rządzi, tylko kradnie, ludzie, którzy nie pracują, tylko "organizują", "organizują" w okupacyjnym sensie. Właśnie wokół tego słowa: "organizować" budowałem taką teorię, że

zmiierzamy do gospodarki wyłączonej, tak jak ja w "Życiu na niby" opisywał Wyka. I rzeczywiście, teraz, w ciągu ostatnich tygodni, odkrywamy, że ta gospodarka miała wszelkie cechy gospodarki wyłączonej. Ja liczyłem wprowadzić na to, że ten ruch robotniczy, komisja robotnicza, których powstania spodziewaliśmy się, będą dążyły do zmiany sytuacji w kraju, ale raczej miałem rekonwalia pesymistyczna.

R.P.: Czyli zaskoczeniem była w Końcu sprawa Gdańska, wiedzieliście, że to jest najbliższy ośrodek, ale nie przewidywaliście, że aż tak silny i tak dojrzały. Z tym wiąże się następnne pytanie: czy te ośrodki, z którymi byliście w kontakcie, czy też które miały w wami kontakt, znały "Robotnika", wiedziały coś o działalności opozycyjnej, o Wolnych Związkach Zawodowych, krótko mówiąc - czy ci robotnicy, którzy przeszli pewną szkołę nielegalnej działalności, odegrali jakąś szczególną rolę w wybuchu strajków?

J.L.: Wydaje mi się, że na sam wybuch strajków "Robotnik" i ośrodek tego typu nie miały żadnego wpływu. Natomiast tam, gdzie docierał "Robotnik", żądania były dojrzałsze, sam ruch miał charakter dojrzałszy, był lepiej zorganizowany.

R.P.: Na przykład?

J.L.: Na przykład Ursus, gdzie już 2 lipca powstała pierwsza komisja robotnicza; powstała ona w dziale elektrodzielnicy, gdzie byli Zbyszek Bujak i Zbyszek Janas, z którymi mieliśmy bardzo dobre kontakty. A potem w Lublinie w lokomotywni; pierwsze żądanie nowych wyborów do władz związków zawodowych wysunęli ludzie, z którymi nie mieliśmy może tak dobrych kontaktów jak w Ursusie, ale w każdym razie mieliśmy tam kontakty. Ogólnie biorąc - o ile na ogół dla tego ruchu charakterystyczne było początkowo wysyłanie delegacji, to tam gdzie działali ludzie, którzy byli z nami w jakims kontakcie, próbowali oni powoływać czy to komitety strajkowe, czy to jakiegoś rodzaju komisje robotnicze. Tak że niewątpliwie istnienie "Robotnika" miało wpływ na dojrzałość żądań, ale nie miało żadnego wpływu na wybuch strajku, z wyjątkiem Gdańska. Ale Gdańsk to już była zupełnie nowa jakość...

R.P.: A jak tłumaczy pan różnicę między Gdańskiem a Szczecinem, bo przecież przy ogromnych podobieństwach -

ten sam typ przemysłu, doświadczenia grudnia 1970 - jednocześnie pokazały się tam jakby dwa różne style, jakby dwie różne klasy robotnicze.

J.L.: W Gdańsku oni byli przygotowani na tego typu akcję, oni się do niej szykowali jakieś dwa lata. Od demonstracji z grudnia 1977, którą zorganizował Bogdan Borusewicz, od powstania Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych... Był to rzeczywiście bardzo silny ośrodek, bo skoncentrowany głównie na działalności w stoczni gdańskiej, gdzie była Anna Walentynowicz, Alina Pienkowska, gdzie kiedyś pracował Wałęsa. Z nimi były ścisłe kontakty, z roku na rok coraz lepsze, głównie dzięki corocznym demonstracjom z okazji rocznicy grudnia 1970 r. Ostatnia, z grudnia 1979 r., zebrała według ich oceny około 5 000 osób, mimo że był to dzień, kiedy stocznia nie pracowała. W Szczecinie tego nie było.

W Gdańsku oni byli bardzo dobrze zorganizowani, przy czym była to grupa bardzo mądra, nastawiona głównie na działalność wśród robotników i to na działalność "kółkową", która nigdzie poza tym nie wychodziła, to było bardzo charakterystyczne. Były to kółka robotnicze, w których prowadzone wykłady, rozmawiano, dyskutowano, uczono się. Przy czym bardzo im chyba pomogło istnienie Ruchu Młodej Polski. Mimo różnych kłótni między nimi, wielkich sporów, w ciężkich sytuacjach działali razem. Było więc tam pewne współdziałanie robotników i inteligencji i to była osobliwość Gdańska w porównaniu z innymi ośrodkami.

Po pierwsze, sama grupa Wolnych Związków Zawodowych była mieszana, inteligentno-robotnicza. Bogdan Borusewicz to historyk, Andrzej Gwiazda - inżynier, Anna Walentynowicz - robotnica, Kołodziej, Wałęsa - robotnicy, Pienkowska - pielęgniarka. Była to więc grupa mieszana, stąd duża możliwość dotarcia do robotników, przekazania im pewnej sumy wiedzy. Do tego dochodził Ruch Młodej Polski, który odegrał dużą rolę po prostu w budzeniu świadomości narodowej, w zachęcaniu robotników do działania. Tam ciągle się coś działo: sprawa aresztowania Błażeja Wyszczkowskiego i głodówka w mieszkaniu jego brata, na tym tle wspólna akcja ulotkowa RMP i WZZ, wspomniane demonstracje: one były organizowane pod kierunkiem WZZ-ów, ale przeprowadzali je wspólnie, przemawiali jedni i drudzy. Sprawa uczczenia rocznicy Konstytucji 3 maja w roku 1980, zorganizowanego z kolei przez Ruch Młodej Polski, kiedy to aresztowani zostali Szczudłowski i Kobuszka, a potem wspólna akcja protestacyjna prze-

ciw ich uwięzieniu. Wtedy właśnie przyjechał do Warszawy Jan Karandziej, członek WZZ-ów i przyłączył się do głodówki w obronie Chojeckiego, Szczudłowskiego i Kobzdeja, w której uczestniczyli też Olek Hall i Wiesiek Parchimowicz z RMP.

O ile więc w Warszawie, na przykład, różnice między ruchem KOR-owskim a ROPCziO z różnych względów okazały się nie do pokonania, a lody zaczęły się przełamywać dopiero po zeszłorazowej głodówce w obronie więźniów w Czechosłowacji, w Gdańsku, w sytuacjach, które wymagały wspólnego działania, współpraca była bardzo dobra. Szczególnie, że w RMP byli ludzie z jakimś programem, z jakąś myślą polityczną, był to jedyne ruch wyrosły z Ruchu Praw Człowieka mający jakiś program i kadre.

W Szczecinie była inna sytuacja. Tam sama grupa robotnicza była bardzo słaba, skłócona wewnętrznie, z wyjątkiem takiej małej grupki gryfińskiej; nie umieli oprzeć się o stocznię, a poza tym ludzie tam najaktywniejsi, jak mnie się wydaje, ci co odegrali największą rolę podczas strajków, to byli ludzie wprawdzie związani z rokism 1970, związani chyba bardzo mocno, ale bardzo nieufnie odnoszący się do KOR-u. Mam wrażenie, że oni mieli taką mieznaną ideologię - powiedziałbym - populistyczną, tam rozchodził się "szerszeń" i wydaje mi się, że jakoś tam byli związani z ideologią mocno lewicową. Stąd może ostrość ich żądań - ich pierwsze żądania były znacznie ostrzejsze od gdańskich - i jednocześnie brak przygotowania do dyskusji z władzami. Stąd przegrane rokowań i wynik podpisanego porozumienia zupełnie płaski, w porównaniu z Gdańskiem, który osiągnął jednak bardzo dużo.

┌ R.P. Czyli tam występowała w ogóle duża niechęć do inteligencji?

J.L.: Nie wiem czy duża, lecz charakterystyczna jest choćby nazwa - Międzyzakładowy Komitet Robotniczy, a nie Założycielski, co tworzyło jakby szerszą bazę, przy czym zabawne, że to był właśnie nasz postulat: tworzenie komisji robotniczych, a nie związków zawodowych. Ale jednocześnie przegrali rokowania, nie przyjęli żadnej pomocy z zewnątrz.

┌ R.P.: Przegrali to chyba za mocne słowo...

J.L.: No, chyba przegrali. Po pierwsze przerwali strajk o dzień wcześniej, a poza tym, gdy się porównuje oba dokumenty, to w gdańskim osiągnięto znacznie więcej.

R.P.: Ale teraz nie ma to chyba żadnego praktycznego znaczenia?

J.L.: Po porozumieniu gdańskim nie ma to już żadnego znaczenia, bo wszyscy zaczęli orientować się na porozumienie gdańskie, a nie szczecińskie czy jastrzębskie. To są porozumienia zupełnie innego typu, a najważniejsza różnica, to uzycanie w Gdańsku sukcesów ogólnospołecznych, a nie tylko ekonomicznych. Z tym, że oni w Gdańsku niesłusznie zrobili zbyt łatwo rezygnując z postulowanych podwyżek płac i rent i teraz to "uspóleczenie" tego ruchu, ta rezygnacja z ostrzejszych żądań czysto ekonomicznych nam się odbija.

R.P.: Czyli Gdańsk wykazał więcej instynktu społecznego, czy nawet państwowego, i będąc bardziej bojowy w sprawach ogólnopolitycznych, okazał się ustępliwszy w żądaniach ekonomicznych?

J.L.: Tak, bo oni rozumieli, że wszystkie żądania ekonomiczne będzie można osiągnąć, kiedy będą istniały niezależne związki zawodowe i kiedy zaatakują się władzę w dwóch najbardziej bolesnych dla niej punktach: cenzura i <sup>(punkt 4 Porozumienie)</sup>praworządność. I to im się udało. Zresztą jeśli mowa o specyfice strajku Gdańskiego w porównaniu z innymi, to ona jest oczywista: to był pierwszy atak solidarnościowy a nie ekonomiczny, i to jest bardzo ważne. To był strajk w obronie wyrzuconego człowieka, Anny Walentynowicz. Władze zresztą w tym wypadku okeazały oalkowite niezrozumienie sytuacji i doprowadziły do zupełnie karkołomnego splotu: choć nie dopuścić do strajku zmusiły właściwie załogę do strajku w obronie Anny Walentynowicz; władze nie chciały wpuścić jej na stocznnię, chociaż miała wygrany proces sądowy, nie tylko ze względów ambicjonalnych, ale przede wszystkim dlatego, że obawiały się, że ona zorganizuje strajk.

R.P.: Opinia, obserwatorzy, dziennikarze byli zaskoczeni dojrzałością strajkujących, sposobem, w jaki stawiali takie sprawy jak cenzura czy reforma gospodarcza, krótko mówiąc - ich kulturą polityczną. Czy pan również był tym zaskoczony?

J.L.: Ja uważam, że ten ruch dojrzał od lipca i stawał się z biegiem wypadków coraz bardziej dojrzały, ale postawiłbym taką ryzykowną może hipotezę, że ten ruch od początku żądał tego samego, tylko uczył się coraz dojrzej stawiać te żądania. To

znaczy - ten ruch od początku chciał się odciąć od władzy. Stawiał żądania ekonomiczne: podwyżka płac i poprawa zaopatrzenia, zdając sobie w jakimś tam stopniu sprawę, że podwyżki płac niewiele załatwiają, a zaopatrzenia i tak nie można uzyskać. Świadomi robotnicy zdawali sobie z tego sprawę i ich strategia polegała na tym, by powiedzieć władzom: albo będzie kontynuowane to, co było do tej pory, czyli my nie będziemy się wam wtrącać do rządzenia pod warunkiem, że nam dacie odpowiednie warunki życia - i to był pierwszy etap ruchu - a jeśli nie możecie nam tego dać to - i tu w Gdańsku zaczął się ten drugi etap - my chcemy mieć związki zawodowe, żeby was kontrolować.

R.P.: I to był chyba krach strategii Gierka, który w swym ostatnim przemówieniu stawiał sprawę w ten sposób mniej więcej: "Rozumiem was, idzie wam o podwyżki, lepsze warunki życia, do tego macie prawo, ale waga wam od polityki", innymi słowami - próbował do końca sprowadzić sprawę na grunt czysto ekonomiczny, co było zresztą zupełnie nierealne, bo tej gospodarki nie było już wówczas po prostu stać na płacenie za święty spokój.

J.L.: Tak, tu obie strony poczuły, że muszą zerwać z tym co było, zawrzeć nową umowę społeczną, bo władza po prostu nie są w stanie zapewnić normalnego życia.

Ale wracając do samego Gdańska, to ciekawy moment był tam 19 sierpnia, kiedy strajk się załamał...

R.P.: I chyba właśnie wtedy przekształcił się w strajk solidarnościowy również w ezerskiej skali...

J.L.: Powiedzmy, w strajk wysuwający żądania ogólnospołeczne, ogólnopolityczne, w tym sensie tak. Wydaje mi się zresztą, że twórcą, może ideologiem tych żądań gdańskich był Andrzej Gwiazda. Nie rozmawiałem z nim na ten temat, ale eadzę tsk na podstawie żądań Elmoru, które były podobne albo nawet ostrzejsze od 21 punktów. To był właśnie ten moment, kiedy WZZ-om udało się uratować strajk i wytłumaczyć strajkującym, że etrajk trzeba kontynuować po pierwsze w imię solidarności z innymi zakładami, które nic nie uzyskały, a po drugie dlatego, że samo przyznanie 1500 złotych niczego nie załatwia. I to robotnicy zrozumieli.

Tu wracamy do tej sprawy dojrzałości. Wydaje mi się, że podczas strajku dojrzewanie następuje bardzo szybko i jeśli strajk

jest dobrze zorganizowany, to robotnicy przyjmują właśnie najdojrzalsze żądania. Robotnicy uczą się tego bardzo szybko, uczą się w trakcie konkretnych dyskusji i zrozumienie tych zagadnień następuje znacznie szybciej niż na tych grupach samokształceniowych, które były przedtem. Nie wiem, ile osób przeszło przez te grupy samokształceniowe, myślę, że kilkaset, ale w trakcie strajku ta ideologia wolnych związków zawodowych staje się ideologią wspólną. Wszyscy wracający ze stoczni gdańskiej potwierdzali, że robotnicy mówili, że są gotowi zrezygnować z każdego postulatu, tylko nie z postulatu wolnych związków zawodowych.

R.P.: Jeśli uznajemy decydujące znaczenie Gdańska w skali ogólnopolskiej, to mielibyśmy takie pytanie: toczyła się przez dłuższy czas dość ostra dyskusja w sprawie, czy umowa gdańska została dobrze wynegocjowana? Czy to jest dobra umowa, czy też ma jakieś braki?

J.L.: Już wspominałem, że w kilku punktach ona została niewątpliwie źle wynegocjowana. Przede wszystkim dotyczy to sprawy płac i tu właśnie rola ekspertów mogła być bardzo duża, to znaczy powinni byli podpowiedzieć jakiś system, który byłby zgodny z żądaniami robotników, w jakimś sensie egalitarnymi, a jednocześnie prosty. Tymczasem stworzono warunki do tego, by do polskiego systemu płac, który jest ogromnie skomplikowany, wprowadzić podwyżki zgodnie z tym systemem, a więc powodując jakby podwójną komplikację. Co więcej - polski system płac jest bardzo antyegalitarny, to znaczy przy awansie z niskiej grupy do wyższej uzyskuje się bardzo mało, przy awansie z wysokiej grupy do jeszcze wyższej uzyskuje się znacznie więcej. Jest więc dokładnym przeciwieństwem tego, czego żądają na ogół robotnicy, którym idzie raczej o system egalitaryzujący a nie rozwarstwiający.

Inny taki położony punkt to emerytury, które powinny były wzrosnąć natychmiast, tymczasem zgodzono się na odroczenie podwyżki do stycznia. To są te punkty oczywiste, i które można było z góry przewidzieć.

Są natomiast inne punkty, których skutków z góry przewidzieć nie było można, na przykład sprawa rejestracji. Można było znaleźć sposób legalizacji tam na miejscu, ale moim zdaniem trudno było przewidzieć, że ta sprawa spowoduje takie trudności.

R.P.: Inną taką sprawą było chyba niedokładne sprecyzowanie ogólnopolskiego charakteru umowy gdańskiej. Była tam pewna dwuznaczność, podtrzymywana przez władze, ale



rzeczywista, w wyniku której, już po podpisaniu umowy, robotnicy z innych stron Polski uważali, że jeżeli nie zastrajkują, to nie będą mieli prawa do korzystania ze skutków umowy gdańskiej.

J.L.: Było coś takiego i był to chyba skutek pewnej panującej w Gdańsku niewiary w resztę kraju. To samo odegrało rolę w innej sprawie, mianowicie Gdańsk nie chciał początkowo jednego związku na cały kraj, chciał mieć swój związek regionalny. Były tu i inne przyczyny, ale ta, chociaż mniej może uświadomiona, też była; Andrzej Gwiazda jeszcze zupełnie niedawno powiedział w Wałbrzychu, że oni tego nie chcieli, i że przez to, że został założony jeden związek, Gdańsk musi pełnić rolę usługową wobec całego kraju. Oni nie wierzyli w resztę kraju i chcieli mieć najpierw u siebie silny związek, do którego dopiero potem dołączyłyby inne.

Jeżeli więc idzie o te niezbyt dobrze wynegocjowane punkty, to odegrały rolę pod koniec po pierwsze - chęć osłabienia nieco napięcia w kraju, by już trochę szybciej to wszystko zakończyć, a po drugie - najważniejsze były dwa pierwsze punkty, na tym tle wszystko inne było trochę mniej ważne. Najważniejsze było, że niezależne związki zawodowe <sup>stały</sup> się faktem.

I R.P.: A co pan powie na tym tle o sporze z ekspertami?

R.P.: No cóż, wydaje mi się, że z Warszawy przyjechali ludzie pod wrażeniem atmosfery warszawskiej, czyli w nastroju, że kraj się wali, i trafili do Gdańska na zupełnie inną atmosferę, boją się, gdzie najważniejsze było - wygrać strajk. To była zupełnie inna perspektywa. W związku z tym nastąpiło tam pewnego typu starcie między MKS-em a grupą ekspertów. Ekspertci uważali, że będą negocjatorami między MKS-em a władzą, i dlatego zdecydowanie osłabiali żądania. Nie chcę mówić, że ich rola była niedobra, bo przecież pomogli znaleźć sformułowania i doprowadzili do szybszego zakończenia rokowań, to nie ulega wątpliwości. Natomiast mieli inną perspektywę i ta perspektywa zaciążyła na wynikach rokowań.

Na przykład eksperci ekonomiczni uważali wszystkie żądania płacowe za nierealne, bo ich spełnienie może przynieść tylko wzrost inflacji. Nie rozumieli jakby polityczności tych żądań i w związku z tym dążyli do maksymalnego ich spłaszczenia. To widać zarówno w punkcie ósmym, płacowym, jak w punkcie dotyczą-

cym mięsa, gdzie znalazło się pseudokompromisowe sformułowanie o średnich cenach mięsa, które nie nie znaczy, bo nie ma żadnych średnich cen mięsa i wprowadzenie czegoś takiego jest po prostu niemożliwe.

To znaczy - oni nie rozumieli, że ruch, który zaczyna się bądź co bądź od żądań płacowych, od postulatu utrzymania ceny mięsa, od żądań aprowizacyjnych, nie może zakończyć się tym, że rezygnuje się z tego wszystkiego, że to będzie bomba, podłożona na przyszłość pod ten ruch, nie rozumieli, że te pierwotne żądania muszą się tu powtórzyć. Im się zdawało, że podpisując porozumienie gdańskie ten ruch osiągnął już wszystko i teraz będzie miał organizować się w ramach porozumienia gdańskiego. Tymczasem, z powodu tej nieprecyzyjności sformułowań, ruch musiał stawiać następne żądania, moim zdaniem zgodne zresztą z duchem porozumienia, ale doprowadziło to do sytuacji obecnej, moim zdaniem znacznie bardziej zapalnej niż była w sierpniu. Tak że warto było, wydaje się, zastanowić się nad tym i dopracować te punkty.

R.P.: Dobrze, ale w końcu ekspertów powołał MES, nikt ich robotnikom nie narzucał, dlatego więc, mimo tego sporu, mimo tej różnicy perspektyw należało iść na tę współpracę?

J.L.: Robotnicy po pierwsze bali się "wykiwania" przez władze za pomocą odpowiednich sformułowań i chodzili iś o pomoc, że tak powiem, językową ze strony ekspertów. Poza tym chodzili o to, że ekspert-ekonomista powinien znać tak dobrze system płac w Polsce, by znaleźć wariant, który by w miarę prosty sposób spełniał możliwie najlepiej postulaty robotników. Tego akurat eksperci nie potrafili zrobić. Natomiast byli bardzo pomocni w formułowaniu umowy oraz w ustawieniu tych negocjacji na stopie niezłego napięcia, co w Gdańsku było bardzo ważne.

R.P.: To znaczy, że robotnicy wyraźnie czuli te swoje braki - nazwijmy je tak - językowe, brak umiejętności używania języka zrozumiałego dla władzy?

J.L.: Ja bym to określił trochę inaczej, a mianowicie - że eksperci ich jakoś wmacniali. Z chwilą pojawienia się na widowni ekspertów, po stronie robotników stawała skuteczność, że tak powiem, naukowa. Obserwowałem to jeszcze w Ursule w połowie sierpnia, kiedy opracowano tam wspólnie z "Robotnikami", na zasadzie konsul-

tacji eksperckich, postulat dodatku drożdżnianego, który znalazł się potem w programie gdańskim, powiązany z dodatkiem rodzinnym. I Zbyszek Bujak mówił wtedy, że jemu do tego projektu potrzebna są nazwiska. Nie tylko po to, by ci ludzie z nazwiskami powiedzieli, że to jest dobry lub zły projekt, ale i po to, by go uświęcili z punktu widzenia autorytetu naukowego. I do tego właśnie byli potrzebni eksperci. Oni stwierdzali z punktu widzenia autorytetu intelektualnego, naukowego, żądania robotników, chroniąc je na przykład przed zarzutem nierealności.

**E.P.:** A dlaczego w takim razie Szczecin nie wpuszczał zupełnie ekspertów, dlaczego był, jak pan mówił, anty-inteligencki?

**J.L.:** Po prostu różnica między obu komitetami WZZ. Gdański był bardzo dojrzały, rozpowszechniał literaturę, pisaną przecież przez inteligentów, to było bardzo czytane, przyjmowało się, przyjmowały się idee "Zapisu", "Biuletynu", "Robotnika", natomiast w Szczecinie to wszystko szło znacznie bardziej opornie. Co więcej w Szczecinie grupy, które były z nami związane, nie odegrały praktycznie żadnej roli i były szelowane od przywódców szczecińskich, którzy wręcz nie chcieli z nimi nawiązać kontaktu.

**E.P.:** A czy ma pan jakąś orientację jak było na Śląsku?

**J.L.:** Bardzo skąbą. W każdym razie "Robotnik" prawie nie miał tam kontaktów, jeśli to zupełnie przypadkowe. Tam stała się w ogóle dziwna rzecz. Strajk wybuchł 28 sierpnia i niewątpliwie pomógł w osiągnięciu porozumienia gdańskiego, bo to było ostatnie uderzenie, po którym władza już musiała się poddać: to byli przecież górnicy, którzy dotąd nigdy nie strajkowali. Natomiast dziwne jest to, że strajk zaczął się na dole, bodaj w kopalniach "Boryna" i "Manifest Lipcowy", a przywódcami strajku zostali inteligenci, ludzie z administracji /Sienkiewicz, Kuś/. Trochę dziwne jest, że przywództwo MKR-u objęli ludzie z administracji, mający niewiele wspólnego z górnymi dołkowymi. Wśród górników dochodzi jeszcze jeden czynnik, mianowicie duży stopień upartyjnienia, nie tylko na Górnym Śląsku, ale i na Dolnym. Obecnie wśród działaczy komitetów górniczych 80-90 proc. to członkowie partii.

**E.P.:** A jaką rolę odegrali na Śląsku robotnicy, którzy mieli już przedtem kontakty z "Robotnikiem" czy WZZ-ami?

J.L.: Tantejszy, bardzo nieliczny WZZ praktycznie nie prowadził żadnej działalności, został bardzo szybko rozbity represjami. Na Jastrzębie niewątpliwie działalność "Robotnika" żadnego wpływu nie miała. Były tylko pewne kontakty w Rybniku, w Gliwicach.

R.P.: Pytanie trochę ogólnikowe: jak pan teraz, po trzech miesiącach doświadczeń, ocenia zdolność przywódców wyłonionych w toku strajków do prowadzenia normalnej działalności już nie w sytuacji wyjątkowego napięcia, która stwarza szczególnie klimat psychologiczny i rządzi się innymi sprawami?

J.L. Mogę mówić o Gdańsku, który znam. Uważam, że oni są zupełnie przygotowani do normalnej, bieżącej działalności. O ile wśród części prezydium występuje czasem postawa typu "tak albo nie", to w większości wypadków, mimo najróżniejszych kłopotów oni są w stanie zająć stanowisko jednocześnie w miarę jednolite i zawierające możliwość kompromisu. Nauczyli się tego w trakcie sierpniowych negocjacji gdańskich.

Natomiast w całym ruchu istnieje pewne niebezpieczeństwo polegające na tym, że władze potrafią bardzo umiejętnie sterować rozmowami. Powtarza się trochę model szczeciński, czyli startuje się od bardzo ostrych żądań, i poprzez wciąganie przedstawicieli robotników do różnych komisji mieszanych, do ciągłych rozmów, powtarzających się co dwa - trzy dni /władze wyznaczają do tego specjalnego wicewojewodę lub wiceministra/ problem się po prostu rozmydla. Znaczna część przywódców jest nieprzygotowana do tego typu negocjacji. Charakterystyczne, że najlepiej pracują te MKZ-y, które nie prowadzą żadnych negocjacji, niczego nie żądają od władz, z wyjątkiem wypadków krańcowych, kiedy idzie o jakieś bardzo konkretne sprawy. Natomiast ci przywódcy, którzy dają się wciągnąć w niekończące się rozmowy, zwykle w nich przegrywają.

W tej chwili obserwuje się zresztą zjawisko, które uważam za pozytywne, a mianowicie ciężar ruchu, szczególnie po rejestracji, powoli przenosi się na organizacje zakładowe, które są znacznie mocniejsze niż prezydium MKZ-ów i same MKZ-y. Zgadzałem się z Andrzejem Gwiazdą, który powiedział, że nie widział jeszcze załogi robotniczej, która by podjęła taką decyzję. Ona może być oczywiście bardzo ostra w formie, ale zwykle tam gdzie sprawy rozgrywają się na poziomie załóg, wychodzi to znacznie le-

piej niż na poziomie prezydiów komitetów. Dochodzi tu czasem po prostu moment onieśmielenia przepychem: taka delegacja wchodzi na ogromną salę, gdzie jest dywan, gdzie są fotele i następuje naturalne onieśmielenie, obkaskawianie ludzi, którzy przyszli z bardzo ostrymi żądaniem. Nie zdarza się to natomiast w samych zakładach pracy.

Jestem może zbyt optymistą, ale uważam, że im wcześniej przeniesie się działalność związkową na poziom zakładów pracy, tym lepiej. Byłoby dobrze, żeby jak najszybciej odbyły się wybory i działalność przeniosła się tam, gdzie powinna się odbywać, czyli do zakładów pracy.

R.P.: Czyli demokratyczność jest tutaj siłą?

J.L.: Oczywiście. Obserwuje się czasem załamania tej demokratyczności, chęć niektórych przywódców do rządzenia. W paradoksalnej formie obserwowano się to na początku. Kiedy przyjechałem do Wałbrzycha, słyszało się w prezydium MKZ: my jesteśmy podporządkowani Wrocławowi, a Wrocław Gdańskowi. Była taka gradacja podporządkowania, w stylu: instrukcje idą z góry. W tej chwili jest wyraźny trend do tego, by tworzyć coś samego. Coraz rzadziej spotyka się bezradnych członków komitetów założycielskich, którzy przychodzą do prezydium MKZ i pytają co mają robić. Teraz nędogół ludzie przychodzą już z konkretnymi problemami i to zwykle w znacznej mierze już rozwiązany.

R.P.: Czy polityka władz nie będzie więc teraz polegać na wzmacnianiu tendencji centralistycznych w Związkach? Jeśli władze orientują się, że przywódców można obkaskawić, że będą starali się może umocnić rolę góry związkowej i wtedy ta góra będzie niejako kupiona, a z kolei dół będzie uzależniony od niej?

J.L.: Była taka idea władzy, w Wałbrzychu można było to zaobserwować bardzo wyraźnie. Władza bardzo dużo dawała rzeczy ważnych technicznie - samochód, lokal, łatwość otrzymania oddelegowania przez wojewodę - ale mało ważnych z punktu widzenia ogólnych celów ruchu. Wojewoda próbował więc poprzez prezydium MKZ wykazać swoją dyspozycyjność w stosunku do związków. Z tym, że to są teraz przywódcy tymczasowi, niedługo będą wybory i jeśli ci ludzie się nie sprawdzą, to zostaną po prostu wymienieni, to wiadać bardzo wyraźnie. Oni muszą się sprawdzić zarówno organizacyjnie, jak z punktu widzenia rokowań z władzami.

R.P.: Czyli na razie nie ma pańskim zdaniem takiego problemu?

J.L.: W tej chwili nie, nie wiem co będzie za pół roku, kiedy ten ruch będzie bardziej ustabilizowany i może mniej bojowy. Dzisiaj natomiast jest tak, że delegaci, cały MKZ, jest bardziej bojowy od większości prezydiów, a załogi bardziej od delegatów, chociaż oczywiście reguły tu nie ma. W każdym razie tam gdzie jest więcej kłopotów, kadra jest lepsza, tam gdzie idzie zbyt łatwo, bywa czasem gorzej.

R.P.: To, co się stało, być przede wszystkim zwycięstwem wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, wielkich, często najnowocześniejszych, bogatych zakładów. Jak to się ma do Polaki powiatowej? Do tych małych zakładzików, jakichś spółdzielni, przemysłu terenowego, do całej tej Polaki, która ani nie zyskała na gierkowskim boomie gospodarczym, ani nie zaznała gierkowskiej liberalizacji, bo te terenowe kliki trzymały się bardzo dobrze, a teraz może, przynajmniej na krótką metę, stracić znowu, bo w warunkach inflacji i opustoszenia rynku będzie miała mniejszą siłę przebicia? Czy nie będzie to baza społeczna dla jakiejś grupy w partii, która opowie się za rządami obecnej ręki i spróbuje odwojować choćby część straconego przez władze terenów?

J.L.: Tego oczywiście nie wiem, natomiast rzeczywiście widzi się pewne niezadowolenie w ośrodkach słabych, słyszy się skargi, że ośrodki silne zabierają mięso, zabierają żywność i jest to prawda. Kiedy na przykład kilka dni temu delegacja górników pojechała do Kopcia, to Kopeć zwiększył im przydziały żywności i jest oczywiście, że odbyło się to kosztem Komży czy Ostrożeki. Wydaje mi się, że tu wielką rolę może odegrać właśnie istnienie "Solidarności" i Wałęsa to dobrze rozumie. Właśnie tej delegacji tłumaczył: "Wy tam nie jedźcie, bo co zrobi premier, jak przyjedzie delegacja górników? Będzie musiał coś dać. A co będzie ze słabymi ośrodkami?" Tak że tutaj jest ogromna rola polityczna dla Komisji Krajowej, która, jak się zdaje, niedługo zacznie już działać na dobre. Rola polegająca na działaniu w imię sprawiedliwości społecznej. Uważam, że to się powiedzie, bo jest to ruch z natury bardzo egalitarny, który przez cały czas wysuwał bardzo

egalitarne, jakoś tam socjalistyczne żądania. Wydaje mi się, że wszyscy tam rozumieją potrzebę dawania słabym.

Symboliczne było tu poparcie dla strajku służby zdrowia. Przychodzą członkowie komitetów założycielskich i skargą się szczerze, że w ich zakładach dyrekcja niesprawiedliwie rozdziela podwyżki, że ci, co zarabiają więcej, dostają więcej... A przecież członkowie komitetów rekrutują się sami najchętniej spośród lepiej zarabiających. W tym jest moja nadzieja, ale oczywiście trudno powiedzieć, jak władza będzie manewrowała tym rzucaniem nięsa i podwyżek dla grup silniejszych i na ile potrafi je przekupić. Na razie to chyba nie grozi.

R.P.: Tak, ale jeśli takie zrozumienie ma aktyw wielkich zakładów, to czy rozumieją to również doły? Czy nie wymusza ona na swych przywódcach mniej egalitarnej postawy? Charakterystyczny jest tu wspomniany przez pana przykład rent i emerytur w porozumieniu gdańskim. Może to być po prostu błąd w rekowaniach, ale faktem jest, że oni to rozumieli, rozumieli, a w końcu tego właśnie punktu nie wynegocjowali dobrze...

J.L.: Pewne takie niebezpieczeństwo jest; kiedy garnak jest puasty, zaczyna się stawiać żądania bez względu na wszystko... Bardzo dużo zależy tu od poczucia jedności z Gdańskiem, który jest bardzo egalitarny i od tego czy z wyborów wyjdą przywódcy, którzy będą nadal utrzymywali to poczucie solidarności. Wydaje mi się, że jest ono w tej chwili tak silne, że nawet w tych silniejszych ośrodkach robotnicy będą umieli rezygnować częściowo na rzecz słabszych.

R.P.: Z tym wiąże się takie pytanie: pan cały czas, mówiąc o związkach zawodowych, używa słowa "ruch". Koją się to z jakimś ruchem społecznym. W jakim więc sensie te związki są właśnie ruchem społecznym, a nie związkami ściśle zawodowymi, takimi jak związki na zachodzie Europy?

J.L.: Cóż, wystarczy pójść na dowolne zebranie i posłuchać, jakie problemy oni tam stawiają. Stosunkowo mało interesują się działalnością ściśle związkową i dopiero teraz, kiedy stykają się z konkretnymi problemami w zakładach pracy, stają się działaczami związkowymi. Do tej pory byli w jakimś sensie działaczami społecznymi, działaczami politycznymi, chociaż bardzo nie lubią używać tego słowa. Są to żądania w wymiarze "my a władza", "my żądamy

od władzy\* i żądają bardzo różnych rzeczy; dotyczą te żądania problemów aprowizacyjnych, bardzo częste są żądania zmian we władzach lokalnych a nawet na szczeblu centralnym. Ludzie mają świadomość, że są pewną siłą, która może zmieniać oblicze kraju, a nie tylko walczyć o sprawy robotników.

Natomiast wydaje mi się, że ten związek powinien powołać stawać się związkiem, związkiem czysto zawodowym, a na bazie tego ogromnego ruchu będą wyrastały różne instytucje społeczne, które będą z nim współdziałały...

R.P.: Na bazie osy pod parasolem tego ruchu?

J.L.: Powiedzmy - pod jego parasolem, ale będą ruchami odrębnymi i wydaje mi się, że teraz powinno to być głównym zadaniem ludzi wspomagających ten ruch: tłumaczyć - i to jest nógół przyjmowane - gdzie kończy się związek, a zaczyna co innego. Czym powinny zajmować się związki, w swoich zakładach pracy, a do czego mają namawiać tych spośród siebie, którzy mają jakąś tykę społeczną i chcieliby się wziąć za jakieś działanie pozazwiązkowe.

R.P.: Właśnie, ale czy to nie ułatwi sytuacji władzom, które wyraźnie chcą oddzielić tych, co działają na gruncie ściśle związkowym, od tych, co stawiają sobie jakieś szersze cele? Czy, paradoksalnie, nie jest tak, że związki tylko wtedy będą miały szansę pozostać prawdziwymi związkami zawodowymi, jeśli będą gwałociły uświęconą porozumieniem zasadę, że nie są i nie chcą być partią polityczną?

J.L.: NSZZ niewątpliwie są w pewnym sensie instytucją polityczną i wydaje się, że na przyszłość jakoś tam nią pozostaną. Ale związki muszą działać głównie na terenie zakładu pracy i legitymować się realnymi osiągnięciami związkowymi. Nie mogą rozpraszać się, na przykład, na kontrolę sklepów. Tym mogą zajmować się ludzie z "Solidarności", odwołując się zaufaniem swoich KZ, ale same KZ muszą nastawić się na działalność czysto związkową. To zresztą wzmacnia ten ruch. Tak zwany element "korowaki" nie jest w tej chwili elementem dynamizującym ruch, przeciwnie, są to ludzie proponujący rozwiązania kompromisowe.

Próba odłączenia "Solidarności" od KOR-u była robiona przez władze bardzo głupio. Podjęty na początku bezsensowny atak na KOR pomógł mu wyjaśnić, ozym jest naprawdę i teraz KOR jest dobrze znany i co więcej - uważany za swój.



R.P.: Odnosi się jednak wrażenie, że ruchowi jako całości brakuje programu działania i że Krajowa Komisja Porozumiewawcza zamienia się w straż pożarną gaszącą pożary w branżach, regionach itd. ...

J.L.: Programu brakuje i jak dotąd nie mogło go być. Tu właśnie ogromną rolę mają do odegrania eksperci. KKP jest ciałem zbyt dużym, nieoperatywnym, by tworzyć program, ale okazało się, że chętnie przyjmuje różne warianty i wybiera w miarę optymalne rozwiązanie.

R.P.: Czy istnieje sprzeczność między interesami ogólnospołecznymi a partykularnymi - branżowymi, regionalnymi itp.?

J.L.: Istnieją partykularne interesy branżowe. Dlatego branże w pewnym momencie wyskoczyły spod kontroli KKP, organizowały własne konferencje, strajki bez zgody KKP. Komisja powinna wraz z przedstawicielami branż zastanowić się nad hierarchią postulatów i opracować kompleksowy plan działania. Istnieje niebezpieczeństwo tworzenia sekcji branżowych, odpowiadających podziałowi na ministerstwa, a branże dzielą. Trzeba tworzyć ruch wedle podziałów zawodowych, bo zawody - kierowcy, metalowcy itp. - są rozproszone po całej gospodarce, mają ogólniejszy punkt widzenia.

R.P.: Jak pan ocenia rolę tego co pozostało ze starych związków, czyli t.zw. "związków branżowych"?

J.L.: Tu można postawić dwie hipotezy. Po pierwsza - rząd będzie je utrzymywał, nawet jeżeli będą się składały tylko z kilkunastu osób, by zwiększyć swoje szanse przy negocjacjach, bowiem zawsze związek bardziej ugodowy powoduje osłabienie żądań związku radykalnego. To wyszło wyraźnie przy kolejarzach, gdzie związek branżowy wyszedł z propozycją niesegalitarnego podziału podwyżek. Ale tu chyba chodzi też o coś innego. Związki branżowe nie są utrzymywane przez rząd. Tym, którym zależy na stabilizacji, związki branżowe przeszkadzają. Są w nich ludzie, którzy za swą wierną służbę nie otrzymali żadnej zapłaty i stąd ich wściekłość. Są to potencjalni klienci tych, którym zależy na destabilizacji. Oni powodują wzrost żądań. Dysponują forszą. "Solidarność" jest biedna, nie stać jej nawet na zasłki statutowe.

R.P.: A więc związki branżowe są raczej grupą nacisku tych, którzy czują się oszukani niż narzędziem władzy?

J.L.: Chyba tak, choć władza z początku poparła te związki, ratując się przed "Solidarnością".

R.P.: Jaka pan widzi obecnie hierarchię zadań dla "Solidarności", tak na szczeblu regionalnym jak ogólnonarodowym?

J.L.: Podstawowe znaczenie ma umiejętne przeprowadzenie wyborów. Wybory przeprowadzane są zgodnie ze statutem, natomiast nie spełniony jest jeden warunek: ludzie nie są kontrolowani, ludzie nie są nauczeni tego, że demokracja polega m.in. na ostrej dyskusji. Demokracja narazie wyraża się tylko w skreśleniu nazwisk na liście. Ludzie boją się kontrolować, boją się powiedzieć: "sprawdzam cię". Wszystko jest trochę zalane takim sosem solidarnościowym: wszyscy jesteśmy fajni, dobrzy, nie dzielimy się na lepszych i gorszych. Więc po co sprawdzać, kiedy wszyscy jesteśmy dobrzy?

W tej atmosferze wyjątkowo trudno jest zadać niedyskretne pytanie. I jest to niewątpliwie kłopot ducha wyborów. Chodzi tu o przekłamanie tego przekonania, że demokracja to nieomal jednomyślność. Inaczej wytwarzają się kliki, które nawzajem się zwalczają. Wybiera się czasem osoby, które się nie nadają, ludzie wiedzą o tym, ale w trakcie wyborów boją się o tym mówić.

Druga sprawa to rozdzielenie zadań związkowych i tych, do których trzeba się organizować oddzielnie, wspomagając związki i będąc przy tym wspomaganym przez nie.

Następna sprawa to edukacja, ludzie teraz bardzo się garną do kształcenia, trzeba przygotować program oświatowy. Ludzie są gotowi poświęcić swój wolny czas na edukację. Być może za kilka miesięcy będzie już za późno ze względu na fatalną sytuację gospodarczą, zmęczenie, opadnięcie fali entuzjazmu.

Kolejna sprawa: KKP powinna zmusić władze państwowe do pokazania, co jest, do zrobienia bilansu gospodarczego. Władza obiecała przedstawić taki raport, ale obawiam się, że nie może temu sprostać. Sami wojewodowie nie bardzo się orientują, jaki jest stan posiadania w województwie, np. wojewoda wałbrzyski nie był w stanie od razu powiedzieć, ile jest u niego dotowanych PGR.

Wreszcie regionalizacja związku, problem sensownego podziału terytorialnego i razem z tym sensownego załatwiania problemu branż w kierunku uzawodowienia ruchu, a nie ubranżowienia.

R.P.: Próbuje się wymóc na związkach sformułowanie programu gospodarczego, dawanie konkretnych rozwiązań. Czy

to nie jest pułapka, narzucanie związkom obowiązków partii bez jej uprawnień?

J.L.: Jest to typowe niezrozumienie charakteru związku. Związek nie może brać odpowiedzialności. Może najwyżej rozumieć sytuację, może powiedzieć: jeśli wy zrobicie to i to, my zareagujemy tak i tak.

Na tym polega rola ekspertów, żeby powiedzieć z czym się wiąże określona wersja planu czy reformy, żeby związek umiał ją ocenić i powiedzieć władzy, jaką zajmie postawę.

W tym właśnie pogubili się trochę działacze gdańskiego MKZ w rozmowie z "Polityką", gdy im zadano pytanie co zrobić z Hutą "Katowice". Oni próbowali uniknąć tego pytania, podczas gdy powinni byli je odwrócić. "Polityka" nie jest instytucją anonimową, Passent i Wróblewski, którzy przeprowadzali tę rozmowę, przez ostatnie dziesięć lat pisali w tym kraju i to oni powinni odpowiadać co zrobić z Hutą. Wówczas dopiero związek zawodowy może powiedzieć: jeżeli chcecie tych ludzi pracujących w Hucie zwolnić, to po pierwsze - my będziemy ich bronić, a jeżeli przedstawić jakiś sensowny plan zatrudnienia ich gdzieś indziej, ewentualnego przekwalifikowania i zrekompensowania im usunięcia z pracy, to my będziemy reagować tak i tak. Nie możemy natomiast zajmować się tym, czy likwidować Hutę Katowice czy nie, bo nie od tego jest związek zawodowy.

R.P.: Czy jednak przywódcy związkowi petrafią już teraz odparowywać tego typu argumenty, które w obecnej sytuacji są dość chwytliwe, zwłaszcza że nasza opinia publiczna nie orientuje się w mechanizmach działalności związkowej na zachodzie?

J.L.: To jest właśnie zadanie dla bardziej świadomych ludzi w związkach, żeby tę wiedzę upowzechnić. Ta sprawa jest zresztą w pewnej mierze uświadamiana, ponieważ władza próbowała zrzucić na strajki odpowiedzialność za sytuację. Ta świadomość była powszechna: przecież my nie odpowiadamy za strajki, bo nie mieliśmy innego środka, a tym bardziej nie odpowiadamy za sytuację gospodarczą. Natomiast już teraz widać wyraźnie, że samo istnienie związku usprawnia pracę fabrycy. Związki zawodowe już teraz przyczyniają się do usuwania mnóstwa absurdów. Idzie tu o sprawy

po prostu monstrualne, na przykład w kopalniach dla wykonania planu odzysku metali, od czego zależą premie kierownictwa, oddawane sprawne maszyny na złom, z kolei w tychże kopalniach, żeby wykonać plan na czas zakopywane całe uzbrojenie, bo tak było szybkoiej. Na takie rzeczy, dzięki istnieniu związku zawodowego, już się nie pozwala. Nie pozwala się na wybudowanie kosztem iluś tam milionów złotych pomnika ozyku górniczego, żądając, by pomnikiem ozyku górniczego było przedszkole. Nie pozwala się na przebudowę szkoły muzycznej na komitet miejski partii.

Ja wymieniam przykłady z wałbrzyskiego, ale wydaje mi się, że tak jest w całej Polsce. Te absurdy gospodarcze likwiduje się więc nawet w tym systemie, a jest oczywiste, że jeżeli uda się przeprowadzić reformę gospodarczą, to rola związku zawodowego w tej sferze automatycznie wzrośnie.

Związek nie może jednak i nie ma prawa wchodzić do jakiegokolwiek instytucji... Są próby kokietowania związku, zapraszania jego przedstawicieli do KSR, czy nawet do PZJN, co miało miejsce w kilku województwach. Być może władza chciałaby, żeby związki stały się częścią establishmentu, miały swój udział "z kłucza" w PZJN, KSR itd. Oczywiście byłoby to utrudnienie związków zawodowych.

R.P.: Mówiliśmy o związkach, ale związki nie są same, związki uczyły się przez ten czas bardzo szybko, a czy pańskim zdaniem władza też się uczy?

J.L.: Władza wojewódzka jest w dużej mierze sparaliżowana strachem przed ujawnieniem ich kradzieży. Cały aparat kradł w mniejszym lub większym stopniu. Mniej lub bardziej przyjmowało te formy czystej kradzieży, w wielu wypadkach było to po prostu korzystanie z przywilejów, ale to było powszechne. Teraz następują zmiany, na przykład w wałbrzyskim i sekretarzem KW po Grochmalickim, któremu zarzucano monstrualne kradzieże przy budowie willi, został wicewojewoda Nowak, z innego terenu, z jeleniogórskiego, gdzie był kuratorem, a więc kimś spoza ściałego aparatu i jest to najzręczniejszy faoet do rozmów z Prezydium MKZ. Wydaje mi się więc, że władza będzie teraz wybierała tych najmniej akompromitowanych i najzręczniejszych, a tej zręczności do rozmów ze związkami łatwo się nauczyć, bo wystarczy być grzecznym i co nieco załatwiać. Taka chyba będzie teraz taktyka władz. Ci najzręczniejsi będą teraz rozmawiali i awansowali i to będzie ten pierwszy styk między związkami a władzą. Tak jest teraz w Wałbrzychu, gdzie i se-

kretarz jest już osobiście znany w związkach i to znany ze swojej miłej postawy wobec związków. To oczywiście rozmydla sytuację...

R.P.: Z drugiej strony, z ogólnopolskowego punktu widzenia, jest to pierwszy krok w kierunku pozytywnej selekcji kadr rządzących...

J.L.: Oczywiście, choć na związki działa to na krótką metę negatywnie, tzn. osłabia to "Solidarność", kiedy liderzy związkowi są otoczeni w tych fotelach i przy tych kawkach. Natomiast na przyszłość rodzi się tu szansa nie konfrontacyjnych, otwartych rozmów z władzą. Moim zdaniem istnieje szansa na to, że władza się tego nauczy, także na szczeblu centralnym. Widać było, że Jagielski stosunkowo dużo się nauczył podczas negocjacji gdańskich, to jest w tej chwili oszkolony, który umie rozmawiać.

Gdyby ten aparat nie był akorupowany, gdyby ci ludzie nie bali się, że zabiorą im wille, a niektórych wsadzą do więzienia, to najprawdopodobniej nauczyliby się rozmawiać ze związkami - nie tylko dążyć do osłabienia ich, ale i dochodzić do jakichś sensownych uzgodnień. Teraz jednak za wcześnie jeszcze o tym mówić, bo ten aparat musi zostać wymieniony, choć nie wiem, w jakim procentie i czy to jest w ogóle możliwe. Jest tu pewna szansa dla władz, ale nie wiem, czy ją wykorzystają, czy zdołają na przykład wykorzystać partyjnych oszkolonych "Solidarności" i dać im szansę awansu w górę, choćby z okazji Zjazdu Nadzwyczajnego. Wówczas znajdują się tam ludzie, którzy byli w "Solidarności" i umieją rozmawiać. Ale w aparacie panuje "wielki strach", bo wtedy oni tracą wszystkie posady. Jest to jednak jedyny możliwy manewr dla władzy: stworzyć szansę awansu z dołów partyjnych.

R.P.: Jak pan ocenia aktywność marcowców, wyraźną od września aktywność samego Moczara i jego przyjaciół? Jakie mają szanse na ogólnopolskie wykorzystanie polityczne tego ruchu, zwłaszcza całej sprawy walki z korupcją itd. Jest przecież w Polsce masa ludzi przekonanych, że gdyby pozwracano to, co zostało ukradzione, to byłoby właśnie wszystko w porządku i ta grupa wyraźnie usiłuje zepchnąć całą sprawę na problem korupcji...

J.L.: Władza sięga, co oczywiście, po tych ludzi, którzy byli odsunięci w poprzednim okresie, czyli do tych, którzy mieli mniejsze szanse kraść i nie są odpowiedzialni /Klasa, Namotkiewicz/. Te-

go typu ludzie muszą wrócić, bo są naturalnym wzmocnieniem dla aparatu. Na ile to są "marcowcy"? Wydaje mi się, że cały aparat jest jakoś tam marcowy. Jak się ogląda nowe swanse okazuje się, że wszystkie są to ludzie, którzy wystartowali do kariery lub bardzo poszli naprzód w 1968. Choć nie jest to takie jednoznaczne, bo Tejchma też poprawił swoją pozycję w 68 roku a na pewno nie jest marcowcem, a w każdym razie nie kojarzy się z moczarowską ideologią.

Moczar jest z pewnością zręcznym politykiem, teraz akurat startuje z dobrej pozycji, bo ma za sobą NIK, a więc możliwości rozliczania. Czy ma szansę uwieść część społeczeństwa? Pewne szanse ma, to widać było w Jastrzębiu, gdzie Sienkiewicz powiedział - nie cytuję dosłownie, ale mniej więcej tak to było sformułowane - że Moczar jest "dobrym patriotą, powiedziałbym nawet, że nacjonalistą". Ma pewne szanse na zasadzie nawrotu do tej marcowej ideologii populistycznej, którą wówczas reprezentował na przykład Wacławek. Moczar tym bardzo łatwo operuje. Sojusz PAX-u, Moczara i części populistycznie nastawionych związków to jest niebezpieczne zjawisko.

Ale marzec na ogół źle się kojarzy, sądząc z tego, z czym ja się stykałem, Marzec to jest dla ludzi ten sam ciąg, od grudnia 70 i czerwiec 76. Ludzie wiedzą, że w marcu była próba zniszczenia inteligencji, w grudniu próba zniszczenia robotników. Hasła wysuwane przez Moczara niewątpliwie będą bardzo popularne, ale samo nazwisko Moczara jest już o wiele mniej popularne i o wiele łatwiej je skompromitować poprzez odwołanie do 68 r. czy do jego policyjnej przeszłości. Jeżeli więc ta ideologia będzie kupowana, to nie od samego Moczara, ale od kogoś, kto będzie ją proponował zamiast niego. Na przykład PAX już próbuje to robić. Powiązania liderów Jastrzębia z PAX-em i NIK-iem są wyraźne.

R.P.: A czy jest dla działaczy robotniczych uchwytne różnica między zdrowym egalitaryzmem, który się przejawia np. w lansowaniu określonego typu podwyżek, a egalitaryzmem typu "macistoskiego", z bardzo ostrym trendem antyinteligencją, z duchem uniformizacji społeczeństwa, powszechną reglamentacją itd.?

J.L.: Nie ma absolutnie nastrojów antyinteligencjonalnych. W każdym razie nigdy się z tym nie spotkałem. Bardzo często do KZ wybie-

rani są inżynierowie, kierownicy wydziałów, bo robotnicy uważają, że oni ich będą lepiej reprezentowali. Nie widzę więc takiego niebezpieczeństwa, ten nurt, moim zdaniem, nie chwycił i nie chwyci.

R.P.: Ale idzie nam też o stosunek do zmian w systemie gospodarczym, które powinny prowadzić do jego większej elastyczności, co na ogół nie sprzyja egalitaryzmowi. Co na przykład z rozbudową prywatnego czy agencyjnego handlu, usług, rzemiosła, drobnej wytwórczości? Te warstwy muszą mieć zysk, żeby inwestować i ponosić koszty ryzyka, czy robotnicy to rozumieją?

J.L.: Przedstawię to może na przykładzie taksówkarzy. Brali udział w strajkach i są akceptowani w ruchu. Co więcej - akceptowane są te ich żądania, które w zasadzie są sprzeczne z interesem ogółu, na przykład nie zwiększanie ilości taksówek. Ludzie rozumieją, że taki jest ich interes i godzą się z tym. Tak, że do chwili konkretnej realizacji reformy, która może uderzyć w pewną warstwę ludności, na przykład w zakłogi jakichś przestarzałych zakładów, tego niebezpieczeństwa nie ma.

Trzeba pamiętać, że robotnicy za głównego przeciwnika uważają aparat, władzę. A to się kojarzy primo - z kradzieżą, secundo - z głupotą. Panuje więc przekonanie, że inteligent jest naturalnym sojusznikiem, bo to inteligenci powinni rządzić, a nie ci głupcy. Wiadomo poza tym, że sklepy państwowe są złe, lepiej więc mieć sklepy prywatne i lepsze.

Nastąpiło przejście pewnych ideałów socjalistycznych, które władza wbijała przez wiele lat ludziom do głowy: fabryki są ważne, równość jest wartością itd. Wszystkie natomiast absurdy doktrynalne - walka z indywidualnym rolnictwem, państwowe sklepiki, czy próba reglamentacji oaziści życia społecznego - zostały odrzucone. Ten ruch jest jakoby tam socjalistyczny. Ludzie uważają, że fabryki są ich własnością, ale to nie musi oznaczać, że sklepy nie mogą być prywatne, bo robotnik wie, że i sklep państwowy nie jest jego, w przeciwieństwie do fabryki, którą uważa za swoją. Można to peccuccio streścić tak: "Kapitalizm nie jest może taki zły, ale fabryk nie damy sobie odebrać".

R.P.: Czy nie uważa pan, że po sierpniu opozycja w ogóle zanikła, to znaczy działacze, którzy wcześniej nie zajmowali się sprawami robotniczymi, weszli teraz w więk-

szłości do związków zawodowych i brakuje teraz elit, które - po pierwsze - kreowałyby inne, poza związkami, instytucje niezależne, a po drugie - próbowałyby ogarnąć intelektualnie to, co dzieje się w tej chwili?

J.L.: Ten pęd do związków mnie osobiście nawet trochę denerwuje, choćby ze względów ambiojonalnych, bo wydaje mi się, że wakakują do tego ludzie, którzy się na tym nie znają, a ja uważam, że jako-tako się na tym znam, choć z wielkimi ograniczeniami. Mówiąc poważnie i z ogólniejszego punktu widzenia, to oczywiście szkoda tych wszystkich instytucji opozycyjnych, które zanikają.

Co prawda zanik działalności KOR-u jest według mnie zjawiskiem naturalnym. Tak musiało się stać. Wypełniła się pierwsza część programu KOR-u, ta "na dziś". KOR mógłby teraz być inicjatorem pewnych pomysłów na działania społeczne poza związkami. Wielką rolę mogą też tu odegrać inne środowiska, jak TKN czy KIK, które nie uprawiały opozycji ściśle politycznej. One mogłyby obserwować te związki z zewnątrz i dawać im coś do przemyślenia, a jednocześnie formułować dalej idące programy działania, których ludzie związani bezpośrednio ze związkami nie są w stanie formułować.

Być może jednak po okresie obecnym, kiedy centralnym zadaniem jest ukasztatowanie związków zawodowych, ludzie w opozycji nie związani bliżej z tym ruchem w sposób naturalny odejdą. Teraz wszyscy mieli jedno zadanie społeczne: doprowadzić do istnienia związków, umożliwić im funkcjonowanie, toteż wszyscy musieli się za to wziąć. Z czasem związkom pozostanie działalność czysto związkowa, a obok nich wyrosną różne inicjatywy społeczne, które m.in. będą zapewne kontynuowały ideotwórczą i programową działalność opozycji.

R.P.: Czy opozycja nie łamie trochę zasad demokratycznych? Idzie nam o wypadki, kiedy ważne stanowiska związkowe, głównie wykonawcze lub szkoleniowe, obejmują nie z wyboru powoływani działacze opozycji?

J.L.: To skomplikowana sprawa. Społeczni działacze związkowi potrzebują biura i od ludzi z opozycji pełnią te funkcje biurowe. Ale wiąże się z tym niebezpieczeństwo, że związki zostaną opanowane przez zawodowców, którzy choć się taką działalnością zajmować i będą tymi związkami dyrygowali. Po pewnym czasie działacze społeczni mogą stać się zależni od swego aparatu. Natomiast na obecnym etapie tego rodzaju pomoc z zewnątrz jest potrzebna. W



przyszłości należy dążyć do stworzenia tego rodzaju układu, że autentyczni działacze będą najważniejsi i jest na to szansa, gdy odpadną ci, którzy traktują związki zawodowe jako zadanie ważne, ale tylko na teraz. Jeżeli związki zawodowe będą pełniły funkcje wszechogarniającą, a tego bym nie chciał, to wtedy przestaną być związkami i będą atrowane przez różnego rodzaju grupy i działacze politycznych, intelektualistów, aparat biurokratyczny itd. Przy tym związki zawodowe muszą wytworzyć tego rodzaju strukturę, w której będzie miejsce dla płatnych działaczy. Istnieje problem domów kultury, które muszą powstać i które muszą robić fachowcy, tworzą się ośrodki badawcze. Mam nadzieję, że w przyszłości one powstaną i że będą w miarę niezależne od związków, a jednocześnie będą związkom służebne. Gdyby stało się tak, że każdy działacz będzie miał swoje biuro, w którym znalazł się po jednym reprezentancie z każdej grupki /TKN, KIK czy opozycji/ wówczas działacze poczują się sagubieni. Na czele tego ruchu muszą stać ludzie autentycznie wybieralni.

R.P.: Jak ocenia pan postawę Kościoła przez ostatnie 100 dni i jak ją oceniają robotnicy?

J.L.: Trzeba odróżnić kościół i religię. Wpływ kościoła jest niewidoczny, a z kolei wpływ religii wyraża się w tym, że wiesz się krzyże. Krzyże są znacznie bardziej symbolem niezależności, a nie symbolem podporządkowania się Kościołowi. Co więcej podkreśla się, że w tym ruchu jest miejsce dla wszystkich niezależnie od ich stosunku do wiary czy Kościoła. Kościół przy tym nie spieszy się za bardzo, by wchodzić w ten ruch. Niektórzy młodzi księża uczestniczą w ruchu, chodzą na zebrania, można nawet mówić o ich wpływie moralnym, lecz nie jest to na pewno wpływ polityczny.

Wyraźna jest natomiast potrzeba współpracy obu instytucji. W Wałbrzychu akcja "Solidarności" wymusiła na władzach lokalnych zgodę na budowę dwóch kościołów w nowowyprowadzonych osiedlach, o co bezskutecznie od kilku lat ubiegał się arcybiskup Gulbinowicz. Kościół z kolei pomógł górnikom w sfinalizowaniu ich działań przy umieszczeniu w kopalniach figurek św. Barbary, a podczas uroczystości ich poświęcenia arcybiskup Gulbinowicz wygłosił wspaniałe kazanie, ukazując "Solidarność" jako najważniejszy element odbudowy podstaw moralnych narodu.

Na szczeblu województwa czy zakładu nie ma żadnej możliwości tworzenia związku typu chadeckiego. Jak jest w centrum trudno mi

odpowiedzieć. Kościół chciałby w tym ruchu jakoś być, ale nawet wpływ ekepertów Prymasa przy gdańskim Prazydium jest bardzo mały. Tak, że ten ruch jako całość nie ma szans stać się ruchem chudeckim mimo prób dokonywanych przez ODISS czy PAK, czy nawet część hierarchii kościelnej.

R.P.: Czy nie sądzi pan, że Kościół jest zbyt skrupułowy swoją siłą i boi się jakiegos gwałtowniejszego gestu, by nie pogłębić istniejącego kryzysu?

J.L.: Tak, to widać było w przemówieniu Wyszyńskiego w sierpniu, choć dzisiaj Wyszyński ocenia tanto przemówienie jako błąd, czemu dał wyraz na spotkaniu z Komisją Krajową mówiąc, że to nie było jego przemówienie, że zostało sfałszowane. Ale chcą z pewnością odegrać rolę stabilizującą. To widać po tym, jaką rolę pełnią eksparoi Prymasa w Gdańsku. Na ich zachowanie ogromny wpływ ma, jak się wydaje, poczucie zagrożenia interwencją sowiecką. A etraszak czołgów dziś już nis działa. Robotnicy nie wierzą w interwencję, choć psychicznie są do niej przygotowani. Panuje powszechne przekonanie: "Niech tylko przyjdą, będziemy się bronić".

Mówiąc o wpływie Kościoła warto zauważyć, że znacznie głębsze znaczenie dla powstania całego ruchu miała zasztoroczna wizyta Papieża, która jak gdyby zbudowała podstawy dzisiejszej solidarności.

R.P.: Na koniec chcielibyśmy się dowiedzieć, skąd się wzięły Pana zainteresowania sprawami robotniczymi. Czy jest to pokłosie marksistowskiego dzieciństwa, czy przekonanie, że jest to grupa najważniejsza, najbardziej w Polsce uciskana?

J.L.: W znacznej mierze to był przypadek. Poproszono mnie w X 76, żeby pomóc w organizowaniu grup samokształceniowych na terenie Radomia. Tych grup nigdy nie udało się nam stworzyć, większość z robotników była wówczas zanadto przestraszona. Początkowo robiłem to samo co wszyscy tzn. pomagałem i próbowałem wykopać co ciekawszych ludzi. Po lipcu 77, po wypuszczeniu z więzienia, gdy okazało się, że można podjąć nową działalność, zaczęliśmy robić "Robotnika" i tak to zaczęło. Być może, że trochę miała wpływ nauka z dzieciństwa, być może przekonanie, że klasa robotnicza jest tą grupą, która, ponosząc największe straty, powodowała największe przełomy. Ale to raczej racjonalizacja. Pewną rolę niewątpliwie odegrał szacunek, jaki miałem i mam dla wartości egalitarnych.

! R.P.: Jak pan trafił do Wałbrzycha?

J.L.: Po prostu zadzwonił do mnie Jacek Pilichowski, współpracownik "Robotnika" i wtedy sekretarz MKZ, który poprosił mnie o pomoc. Na początku odgrywałem rolę doradcy, pomagałem ustalać program działania, pisałem artykuły programowe. Po pewnym czasie ludzie, którzy wyłonili się podczas strajku i wydawali się być początkowo, w okresie entuzjazmu, fajni, okazali się mało sprawni, nie umieli pracować. Prezydium powoli zaczęło się rozlatywać. Nie działało się to bez wpływu Jastrzębia. Prezydium, mimo moich wysiłków i paru innych osób, nie mogło się zebrać. Nastąpił okres organizacyjnego paraliżu. Wtedy zmieniłem swoją rolę. Wziąłem się za szkolenie i uczestniczyłem we wszystkich zebraniach z delegatami. Miał miejsce olbrzymi konflikt, kiedy Jastrzębie zaatakowało J. Pilichowskiego. Był to atak na niego jako na tzw. korowca. Przy czym o tyle było to ciekawe, że właśnie on stał się celem ataków, a nie ja. Jacek to człowiek impulsywny, dyskutował ostro, w ten sposób spełniał obawy, które podsuwała władza: "KOR chce nami rządzić", dzięki temu zyskał popularność w samym MKZ-cie, narażając się jednocześnie Komisji Górniczej i członkom Prezydium.

! R.P.: Czego pan się nauczył w działalności związkowej?

J.L.: Nauczyłem się tego, że nie można niczego narzucać, że trzeba czy można pewne rzeczy wytłumaczyć, natomiast decyzje mądre czy głupie trzeba po prostu zaakceptować i czekać na okazję by podsunąć jakieś inne rozwiązanie. Jakakolwiek próba sterowania z zewnątrz kończy się tym, że albo ludzie tracą samodzielność albo odrzucają tego człowieka.

Teraz jestem już w stanie proponować im jakieś cenne rozwiązania, a ta celność polega na tym, że są one słuchane i przyjmowane. A najważniejszą nauką jest chyba to, że z ludźmi, ze wszystkimi trzeba mówić normalnie. Nie istnieje jakiś specjalny język dla inteligentów i dla robotników. I co więcej-trzeba mówić prawdę. Wydaje mi się, że jestem słuchany i że mam tam wielu przyjaciół właśnie dzięki temu, że nigdy nie próbowałem kręcić, udawać kogoś innego, oszukiwać. Ludzie czują, gdy ktoś kłamie i odrzucają go.

Dlatego jestem optymistą.

## DAWNY USTRÓJ I REWOLUCJA\*

Nagły ruch społeczny, który szkałał skorupę pozornego spokoju, bierności i zadowolenia, tworzy niebywałą okazję dla przejrzenia rozmaitych koncepcji i koncepcyjek, którymi w miejsce niedozwolonej refleksji socjologowie karmili samych siebie i innych. Socjologia polska odrodzona po Październiku 1956 r. szybko bowiem utraciła oddech w dziedzinie teorii własnego społeczeństwa. Własny pogląd utrzymał się zakamufłowany w rozmaitych klasyfikacjach społeczno-zawodowych, w analizie cyklicznych zaburzeń dokonywanych w kategoriach sił w elicie czy też w wyborze tematyki dla krytycznych diagnoz rozmaitych działów życia społecznego. Taki był też pewnie zamyślenie oficjalnych organizatorów życia naukowego - socjologię ożenił z pseudomarksizmem stanowiącym przede wszystkim język oficjalnej propagandy tak, że krytyczne diagnozy - coraz bardziej zresztą ograniczane wskutek rosnącego konformizmu samych socjologów jak i ich zwierzchników - będą służyły w charakterze socjotechnicznych ekspertyz dla kierownictwa politycznego, które z kolei utrzymuje monopol na teoretyczną syntezę społeczeństwa polskiego i jego problemów. Takiej syntezy doczekaliśmy się wreszcie w połowie lat 70-tych, kiedy to - aby użyć słów Jana Strzeleckiego - model liryczny socjalizmu uzyskał dominację absolutną.

Model ten, znany wszystkim w szczegółach, zawiera - jak wiadomo - dwa następujące założenia:

- 1/ Społeczeństwa zachodnie i inne w ich orbicie, podobnie jak przedwojenne społeczeństwo polskie, są rozdarte konfliktem klasowym i codziennym konfliktem interesów klas, warstw i ugrupowań społecznych. Do krajów niezaprzyjawnionych stosuje się marksistowski model konfliktu społecznego.
- 2/ Do nas natomiast - i do krajów zaprzyjawnionych - nie stosuje się marksizm. Wypracowana została natomiast nowa teoria społeczna - w istocie rzeczy stanowiąca zastosowanie do nas przyjmowanego w skrytości obrazu społeczeństw

\* Tekst referatu wygłoszonego pt. "Konflikt i solidarność 1980" w dniu 12 grudnia 1980 na zebraniu Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego.

zachodnich - teoria społeczna, którą w polskim wydaniu można określić mianem patriotycznego organicyzmu, wedle której społeczeństwo polskie stanowi w swej zasadniczej masie jednolity organizm społeczny powiązany różnymi współzależnościami funkcjonalnymi i przyjmująca klasyczny, znany od zarania państwa, podział na funkcje kierownicze sprawowane przez partię i funkcje wykonawcze sprawowane przez resztę, a faktycznie przez miliony bezpartyjnych i partyjnych podlegających "kierownictwu". Obywateł w tym modelu ma takie same interesy jak wszyscy inni, a jego interesem naczelnym jest dobro Ojczyzny rozumianej jako ów dwudzielny w swych funkcjach organizm. Dla dobra Ojczyzny ma on obowiązki wykonawcze a kierownictwo odpowiednio uprawnienia władcze. Celem organicyzmu jest rozwój, jest więc to państwo nie tyle dobrobytu, ile państwo rozwoju, w imię którego aktualny poziom dobrobytu jest odkładany na plan dalszy. Odpowiada temu wylansowana w latach siedemdziesiątych doktryna "rozwinętego socjalizmu" oraz nieprzypadkowe przecież zainteresowanie analizami systemowymi, podejściem strukturalno-funkcjonalnym itp. teoretycznymi konstrukcjami, które nawet w swej niesocjotechnicznej wersji kładą nacisk na jakże przecież forytowaną "naukę o zarządzaniu społeczeństwem".

Twierdząc, że żądanie możliwie uproszczonego marksizmu aterowanego na zewnątrz z równie prościutkim organicyzmem patriotycznym na użytek wewnętrzny kierownictwo uzyskało po wielu latach Polski Ludowej masowy sukces w dziedzinie ideologicznej. Podstawowe zęby doktryny wewnętrznej były bowiem zgodne z podstawowymi rysami popularnej nauki społecznej Kościoła popierającej solidaryzm społeczny, jak też i z tradycją narodową, która w skutek walki o niepodległość w XIX i XX wieku wykształciła kulturę jedności narodowej w obliczu wroga zewnętrznego. Powstały w efekcie dziwny dla historyka konglomerat można obserwować przy mniej lub bardziej systematycznym badaniu świadomości historycznej Polaków. W tej świadomości potocznej PKWN jawi się jako bezpośrednia kontynuacja rządu Sikorskiego, AK i AL walczą ramię w ramię z okupantem, Dzierżyński i Piłsudski są najwybitniejszymi polskimi politykami XX wieku, a książka Skarga formułuje pierwszy podjęte później

przez KC PZPR ataki przeciwko zgubnym skłonnościom Polaków do anarchii i niegospodarności.

### Ancien Régime

Społeczeństwo pozornie powróciło więc do kadu monocentrycznego. Stanisław Ossowski powiada, że w takim typie socjologia jest niepotrzebna. Tam, gdzie kad społeczny zasadza się na masowym wykonywaniu przekazywanych z góry nakazów, tam też niepotrzebne są badania indywidualnych postaw i grupowych zamierzeń. Wystarczy wiedza o zamiarach kierownictwa. Zamiast analizy układu sił społecznych wystarczy analiza układu sił w ścisłym kierownictwie, a w przypadku idealnym analiza osobowości przywódcy. Socjologia takiego społeczeństwa jest cybernetyką i zarazem politologią - politologią wąsko wyspecjalizowaną do badań elity. Miejsce kokot z politologii ancien régime'u zajmują w takim ładzie eksperci, a stosunki prof. Pawła Bożyka z I-ym Sekretarzem są równie ważne jak kiedyś stosunki pani de Montespan z Ludwikiem XIV.

Nastawienie krytyczne z czasów dawnego ustroju znalazło wyraz natomiast w przejęciu dwóch gotowych formuł, które były nadużywane dla opisu naszego społeczeństwa. Mówiono więc nieoficjalnie o systemie autorytatywnym i o państwie totalitarnym. Tymczasem system ten nie był faktycznie ani autorytarny, ani totalitarny, choć do takiego stanu usiłował dojść. Autorytet i wola przywódcy nigdy nie osiągnęły poziomu szczytowego z czasów Stalina, którego śmierć opłakiwały miliony ludzi cierpiących na codzień wskutek jego rządów.

System monopartyjny cierpi na znaną niektórym innym systemom politycznym chorobę, jaką jest niejasność sukcesji. Tak jak w cesarstwie rzymskim czy w tradycyjnych monarchiach afrykańskich brak reguł prawnych czy tradycyjnych określających sposób wyznaczania następcy. Sprawia to, że ekipy kierownicze nigdy do końca nie są w stanie zaakceptować aktualnego przywódcy, co pociąga za sobą stałe załazki opozycji wewnątrz szerszej i węższej elity. Z drugiej strony, ekipy te z niepokojem oczekują zmiany przywództwa i starają się możliwie opóźnić ten moment, tak aby przypadł on na okres szczytowych możliwości wpływu każdego członka ekipy z osobna

i aktualnej ekipy jako całości. Na codzień przywódca jest więc stale zagrożony przez opór potencjonalnych następców, którzy z kolei nawzajem starają się zniweczyć swoje szanse zwycięstwa. W chwili gdy przywódca uzyskuje już prawie całkowitą władzę, władza ta jest już prawie całkowicie pozorna. Objężdża więc kuty i obory wyglansowane na swoją cześć, wita wiwatujących aktywistów i otrzymuje zakłamaną informację o postępach w rozwoju państwa i społeczeństwa.

Cały sens praktyczny funkcjonowania systemu autorytatywnego i totalnego zawiera się w połączeniu płynących z góry i wiernie przekazywanych poleceń oraz przekazywanych w odwrotnym kierunku wiernych prawdziwej informacji o stanie rzeczywistości. Łatwiej wprowadzić w życie tę pierwszą część systemu niż tę drugą. Skutecznie działający kad monocentryczny wymaga bowiem terroru - po to, aby polecenia wprowadzić w życie i tajnego aparatu kontroli nad działaniem poszczególnych szczebli władzy, czego nie zastąpi kontrola milionów szarych wykonawców. Od śmierci Stalina z ulgą odrzucono groźbę terroru wobec aparatu pozostawiając jednocześnie model funkcjonowania kadu społecznego w ogólności. Taki system jednak nie może dobrze funkcjonować wskutek sprzeczności wewnętrznej.

Max Weber uzzył, że władza może opierać się na przepisach prawa, tradycji lub charyzmie jednostki. Charyzma nie podlega regułom i nigdy nie będzie tak, by cieszył się nią każdorazowy pierwszy sekretarz. Tradycja powiada tylko, że Biuro Polityczne go wyłania, ale nic więcej. Przepisy, jak to w takim systemie, podają jeszcze mniej informacji na ten temat.

Przywódca zostaje więc wyłoniony doraźnie. Dramatyczne okoliczności prowadzące do konieczności sukcesji sprawiają, że w sytuacji zagrożenia wiążą się z jego osobą niesprecyzowane bliżej nadzieje społeczne. Ma on zbliżyć politykę kierownictwa do aspiracji wszystkich - zadanie w swej istocie niemożliwe do wykonania. Jednocześnie jest on skrepowany brakiem legitymacji swojej osobistej pozycji i uzależniony od elity, która go wyłoniła. Otoczony stałą podejrzliwością w kręgu wewnętrznym elity i blankietową nadzieją ze strony rzesz społecznych jest więc z góry akazany na klęskę. Arbitralny charakter wyboru sprawia, że jego władza wkrótce nabiera charakteru też nie tyle autorytarnego ile arbitralnego. Taka była w każdym

razie historia rządów w powojennej Polsce.

Nie był to również system totalitarny. Totalitaryzm zakłada bowiem skuteczne objęcie kontrolą przez władzę państwową całokształtu życia obywateli zamianionych z powrotem w poddanych. Wiara w taką totalność utrzymuje się natomiast na górze i tłumaczy ów dziwny woluntaryzm, który w sferze decyzji gospodarczych przenika całą historię powojennej Polski. Rzeczą ciekawą, że złudzenia co do omnipotencji państwa utrzymują się najdłużej w odniesieniu do gospodarki przemysłowej. Nie-wykluczone, że wynika to z charakterystycznego odwrócenia niektórych myśli Marksa. Tu oto bowiem poprzez prawo chce się np. drobniakowo regulować życie gospodarcze, tak jakby coś, co rzekomo jest tylko refleksem świadomości społecznej mogło determinować stosunki w bazie ekonomicznej. Historycznie rzecz ujmując zauważamy natomiast, że despotyzm gospodarczy najlepiej sprawdza się poprzez kupienie kieszeni inicjatywy prywatnej a najgorzej w sferze bezpośredniej aktywności produkcyjnej. Dążenie do totalitaryzmu w systemie gospodarki upaństwowionej sprawia, że jakiegokolwiek funkcjonowanie tej gospodarki maiał zaprzeczyć totalitaryzmowi. Staje się on pozorny, tak jak w rzeczywistości państwo tylko pozornie było w stanie zarządzać działalnością gospodarozą w systemie powojennym. Dyrektorzy robią swoje, ohomikują, fałszują sprawozdawczość, a ich nieskuteczność ekonomiczna wynika nie z tego, że nie słuchają poleceń z góry, tylko z tego, że nieposłuszeństwo dokonuje się w ramach skutecznego systemu ekonomicznego stworzonego przez partię. Ta nieskuteczność organizacyjna ładu monocentrycznego pociągniona z typowymi wadami takimi jak korupcja niekontrolowanych przedstawicieli władzy ujawniła się jeszcze wyraźniej w związku z wprowadzoną na wzór francuski reformą administracyjną i z eliminacją detychczasowych szczełków samorządu, które ukrywały arbitralność decyzji podejmowanych przez wąskie grono osób.

#### Podmiot rewolucji

Pojęcie "względnego upośledzenia" pczwała na uzyskowanie sobie, kto stanowi jedną ze stron konfliktu. Potoczne teorie rewolucji należą do dwóch gatunków. Wedle jednego - winni są zewnętrzni agitatorzy, wedle drugiego - rewolucje są buntem



najbardziej upośledzonych. Historycznie, obie teorie są zazwyczaj fałszywe. Agitatorzy - jeśli są - to wielokroć działają w próżni i zostaje po nich tylko pamięć o romantycznych bohaterach i ślad w policyjnych raportach. Upośledzeni bezwzględnie z kolei biorą zazwyczaj udział w aktach gwałtu, o ile takie mają miejsce podczas ruchu rewolucyjnego, ale ruchu ani nie inicjują, ani nie prowadzą. Podobnie i u nas nie zdaje egzaminu ani pierwsza, ani druga teoria. Istnieje natomiast rozpowszechniona teoria trzescia, która nawiązuje do poprzedniej, a wedle której podstawową stroną konfliktu jest klasa robotnicza. Muszę powiedzieć, że się z tym nie zgadzam, choć muszę zarazem dodać, że używam słowa "klasa" nie w wąskim, marksistowskim jego sensie.

Jeszcze w grudniu 1970 r. propaganda rządowa akcentowała stosunkowo wysokie dochody strajkujących stoczniołców. Również i teraz strajki objęły najlepiej uposażoną kategorię robotników, co nie znaczy, że i inni nie strajkowali. Czy inteligent wspomagający robotników jest agitatorom czy też po prostu bierze udział w konflikcie? Czy proste formułki sojuszu robotników z częścią inteligencji potrafią ująć współuczestnictwo pracowników biur projektowych, pielęgniarek, lekarzy, taksówkarzy itd.? Można mówić o solidarności przecinającej podziały klasowe, czy nie prościej i bardziej w zgodzie z tradycją socjologiczną będzie powiedzieć, że skoro istnieje jakiś wspólny mianownik dla grup, osób, warstw występujących po jednej stronie konfliktu w skali społecznej, to jest to właśnie "klasa", choćbyśmy przedtem istnienia takiej klasy nie zauważali? A klasa taka - aktywna w lecie - nie obejmowała przecież wszystkich Polaków /nie był to więc naród/, ani też nie wszystkich bezpartyjnych i tylko ich /nie był to więc konflikt partyjny/ ani też wszystkich podległych władzy, bo gdzie inicjatywa prywatna, gdzie chłopci, gdzie chłopco-robotnicy?

Myślę, że najlepiej przyjąć, że w lecie wystąpiła do walki nowa klasa średnia, ludzi podlegających bezpośrednio władzy w zarządzanych przez nią instytucjach - i zakładach pracy, ludzi lepiej wykształconych lub lepiej zarabiających w porównaniu z niższymi, prawdziwie proletaryzowanymi warstwami czy też klasami społecznymi. Istnieje naprawdę coś takiego

jak drobek społeczny Polski Ludowej, a jest nim faktyczne za-  
tarcie różnic między ludźmi pracy umysłowej i fizycznej, sta-  
tystyczna umowność podziału na robotników i pracowników umyślo-  
wych. Właśnie awans kulturpwy i ekonomiczny milionów ludzi  
pracy doprowadził do wykształcenia się tej nowej klasy śred-  
niej, która w swym dalszym awansie zablokowana<sup>stawała</sup> przez - z jed-  
nej strony - zamknięty charakter klasy rządzącej, a - z dru-  
giej strony - przez zahamowanie rozwoju społecznego wskutek  
nieudolności rządzących związanej z istotnymi cechami całego  
systemu.

A kto jest więc drugą stroną? Uogólniona teoria konfliktu  
społecznego powie <sup>x</sup>po prostu, że klasa rządząca. Nie żadna "no-  
wa burżuazja", "nowi kapitaliści" ani "biurokroacja" tylko apa-  
rat rządzący wszystkimi sferami życia objętymi ingerencją wła-  
dzy państwowej. W konflikcie klasowym szczególnego typu, o któ-  
rym pisał Marks, stronami byli robotnicy fabryczni i kapita-  
liści, właściciele fabryk - bo oni wówczas zarządzili tymi fa-  
brykami. Nie był to konflikt z klasą rządzącą w państwie, o  
ile ta nie stawała po stronie kapitalistów. W dwudziestym wie-  
ku ostatecznie klasa rządząca przyzwyczaiła się dążyć do bez-  
stronności w takich przypadkach. W naszym społeczeństwie, wo-  
bec przejścia przez państwo pod zarząd rozmaitych dziedzin ży-  
cia, które były pozostawione uprzednio inicjatywie prywatnej  
lub społecznej, aparat władzy - klasa rządząca - stał się po-  
tencjalną stroną większości konfliktów, jakie mogą zaistnieć.  
Do tej klasy należą zarówno politycy jak aparat partyjny, ad-  
ministracja państwowa i kierownicy przedsiębiorstw, kierowni-  
cy instytucji kulturalnych, oświatowych, naukowych, itd. Wew-  
nątrz tej klasy tworzona jest elita rządząca i elita ścisła  
- kierownictwo państwa. Istnienie takiej klasy rządzącej nie  
powinno być niczym wstydlivym, wstydlive są natomiast - skoro  
tajne - zasady rekrutacji do niej oraz wewnątrz niej rozdzie-  
lane nagrody i przywileje.

Poza tym obrazem pozostają inni, klasy niższe - co nie zna-  
czy, że klasy te nie będą się w miarę rozwoju konfliktu dołą-  
czać do klasy aktywnej rewolucyjnie. Trzeba tu na pierwszym  
miejscu wymienić chłopów, którzy wskutek dyskryminacyjnej po-  
lityki klasy rządzącej wciąż w dużej mierze zachowują charak-

ter stanu upośledzonego prawnie, ekonomicznie i kulturowo. Osobną kategorię stanowią chłopo-robotnicy, żyjący w dwóch układach odniesienia i przez to nie mogący uzyskać wyraźnego poczucia własnej tożsamości społecznej. Wspomnę tylko o masach niakwytalifikowanych pracowników fizycznych i umysłowych, o lumpenproletariacie miejskim, o izolowanych społecznie kategoriach ubogich emerytów i rencistów, czy wreszcie o inicjatywie prywatnej. W tych kategoriach społecznych tradycyjne podziały socjologiczne wciąż zachowują swój sens, a poczucie odrębności rozmaitych interesów wydaje się nadal silne. Nie znaczy to jednak, że ta struktura jest wieczna, choć sądzę, że jej zmiana musi być najpierw poprzedzona przez głębokie zmiany w całej organizacji społecznej.

Dodajmy, że cechą wręcz definicyjną sytuacji rewolucyjnej, w której znalazło się społeczeństwo polskie, jest trudność rozpoznania rzeczywistego znaczenia wysuwanych postulatów i podejmowanych działań. Cechą tej sytuacji jest bowiem jej zmienność. Tworzą się nowe możliwości, budzą się uspione potrzeby dotychczasowe i rodzą potrzeby nowe. Jeżeli mam rację i w grę wchodzi sfrustrowane aspiracje nowej klasy średniej, to jakże przecież trudno te aspiracje formułować, skoro ta klasa nie istnieje dotąd dla siebie samej. Ruch związkowy "Solidarność" klasę tę i jej świadomość organizuje. W miarę jego rozwoju przyłączają się jednak doń coraz to nowe elementy społeczne. Ruch dokonuje z dnia na dzień zmian w sytuacji społecznej i przez to dokonują się zmiany w dążeniach i aspiracjach zorganizowanej w nim klasy. Zwróćmy przy tym uwagę na ogrom trudności związanych z koniecznością znalezienia przez ruch swego własnego języka, który pozostawałby w opozycji do języka używanego przez klasę rządzącą, a który to język - w ramach doktryny patriotycznego organicyzmu - zawłaszczony i wypaożył większość tradycyjnie ceniconych w polskiej kulturze terminów takich jak "patriotyzm", "samorządność" czy "socjalizm".

"Rewolucja nie zawsze wybucha wtedy, kiedy tym, którym było źle, zaczyna być jeszcze gorzej. Najczęściej dzieje się tak, że lud, który bez skargi, jakby obojętnie, znosił najuciążliwsze prawa - odrzuca je gwałtownie, kiedy ciężar ich nieco zelżeje. Ustrój, który rewolucja obala, bywa niemal zawsze lepszy od tego, który go bezpośrednio poprzedzał i doświadczenie uczy, że najniebezpieczniejszą chwilą dla rządu bywa zwykle ta, w której zaczyna on wprowadzać reformy... Złc, które ludzie znosili cierpliwie jako nieuniknione, wydaje się nieznośne z chwilą, gdy w umysłach zaświałł myśli, że można się spod niego wykramać" - pisze Alexis de Tocqueville, a nowoczesna socjologia rewolucji wydaje się tę obserwację podtrzymywać używając pojęcia "względnej upośledzenia". Najbardziej popularny schemat rewolucji Jamesa Daviea nawiązując do Tocqueville'a traktuje jako jeden z warunków koniecznych rewolucji sytuację nagle powiększającego się rozdziewu pomiędzy warstwą aspiracji a odczuciem poprawy własnych, realnych warunków życia. To właśnie w okresach rozwoju, po "wielkim skoku", jak mówi Waldemar Kuczyński, dochodzi do wrzostu poczucia upośledzenia względem własnych oczekiwań i wybuchu nagromadzonej w związku z tym energii społecznej.

Póki za kierownictwa Władysława Gomułki nisruchawy system funkcjonuje w ramach programowej stagnacji ekonomicznej, jego wadliwość irytuje, ale nie prowadzi do gwałtownej kontrreakcji; ożywienie aspiracji /przypomnijmy tu pomarcową propagandę "odnowy" i "egalitaryzmu"/ w połączeniu z nagłą podwyżką cen daje w efekcie Grudzień. Wzrost cen mięsa w 1976 r. i 1980 r. pełnią tę samą funkcję w stosunku do dynamicznej i zarzem nieudolnej gospodarki ekipy Edwarda Gierka. Kryzysom tym eprzysja przyjęta ogólna koncepcja polityczna państwa rozwoju. Rozwój w zasadzie ma być nieprzerwany, stale więc rozbudza się społeczne aspiracje. W takim razie każda poważna podwyżka powtarza klasyczny schemat - demonetruje upośledzenie obywateli względem zspowiedzi rozwojowych i stwarza potencjalną sytuację rewolucyjną. Cykliczne wybuchy odpowiadają cyklem ożywienia koniunktury i wzrostu aspiracji, które następują eą w sposób dramatyczny /wobec zakłamania wiadoc-

mości o stanie gospodarczym państwa/ konfrontowane z następującą w rzeczywistości fazą pogorszenia się sytuacji ekonomicznej. Socjologowie znają na tyle ten schemat, że od lat paru oczekiwali kolejnych wydarzeń. Przewidzieć tego nie można z góry, gdyż nie można przewidzieć jak długo kolejne kierownictwo będzie odwlekać niezbędną z ekonomicznego punktu widzenia zmianę cen. Bardziej realistyczna nauka o polskiej polityce polega bowiem nie na zgadywaniu, kto wygra intrygi wewnątrz elity kierowniczej, ale na zgadywaniu, kiedy podniesiona zostanie cena kiełbasy, co z kolei prowadzi do generalnego przetasowania elity i ekipy kierowniczej.

Dodajmy, że obecny wybuch spotęgowany został przez zmiany rządu przeprowadzona na początku br. i usunięcie niepopularnego Piotra Jarczewicza. Powtórzmy jeszcze raz Tocquebilla'a: "najniebezpieczniejszą chwilą dla złego rządu bywa zwykle ta, w której zaczyna on wprowadzać reformy". To właśnie krótki okres krzesz gabinetu Edwarda Babiucha, z jego usiłowaniami uzdrawiania złej sytuacji gospodarczej, z serią oddzielonych w czasie podwyżek cen artykułów innej rangi niż mięso, z uwaganiem w pewnej mierze katastrofalnej sytuacji gospodarczej kraju stanowi tę dodatkową zachętę do nadziei na poprawę, nadziei zburzonej w chwili, gdy nocna zmiana robotników w dniu 1 lipca udaje się do kantyny fabrycznej i ku swemu zaskoczeniu dowiaduje się o dwukrotnym wzroście cen mięsa.

Był to zatem nie bunt rozpaczcy, ale rewolucja zawiedzonych nadziei.

#### Państwo i rewolucja

Trzy inne warunki konieczne rewolucji wymieniane w literaturze socjologicznej kręcącej w ślad za Davieem są następujące:

- 1/ Zablokowane są alternatywne kanały zmiany, a znaczące grupy społeczne odczuwają brak dostępu do władzy. Prawdopodobieństwo rewolucji wzrasta, gdy rządzący nie dopuszczają do zmiany, lub dokonują ją zbyt powolnie, uniemożliwiając zarazem przeprowadzenie zmian przez inne grupy społeczne.

2/ Istnieje rozpowszechnione przekonanie, że wyekscenionowane dobro - takie jak bogactwo czy władza są niesprawiedliwie rozdzielone w społeczeństwie.

3/ Istniejące instytucje polityczne są słabe lub na krawędzi upadku. Elita rządząca w sytuacji przedrewolucyjnej jest zazwyczaj wewnętrznie skłócona. System przestaje działać a prawomocność formy rządów jest podważona tak, że system jest utrzymywany głównie poprzez środki przymusu. W licznych sytuacjach rewolucyjnych rząd jest tak słaby, że upada na pierwszym dotknięciu - zmiana obywateli się bez większego rozlewu krwi.

Istnieje wiele dowodów na to, że - przynajmniej w tak ogólnym sformułowaniu - warunki te zostały spełnione w ciągu bieżącego roku. Co więcej, wydaje się, że zablokowanie alternatywnych kanałów zmiany i rozpowszechnianie poczucia niesprawiedliwego rozdzielenia dóbr cenionych społecznie z mniejszym lub większym nasileniem towarzyszy całej powojennej historii Polski. Zajmijmy się natomiast warunkiem trzecim, który dotyczy siły władzy.

Marxistowska teoria państwa jest teorią przymusu i przyjmuje w swej zasadniczej warstwie, że władza opiera się na efektywnych możliwościach zastosowania środków przymusu i przemocy fizycznej. W praktyce, coraz większą rolę przyznaje się innym elementom władzy, wśród których tzw. panowanie ideologiczne wysuwa się na plan pierwszy. W innych teoriach władzy - jak wiadomo - ważką rolę odgrywa pojęcie prawomocności władzy związane z przekonaniem, że w większości wypadków - a uwidoczniła się to szczególnie w demokratycznych formach życia politycznego - nie tyle lęk przed przemocą, ile aprobatą dla mechanizmu wyłaniającego rządzących, jeśli nie dla nich samych odgrywa rolę głównego spoiwa łączącego poszczególne elementy życia zbiorowego. W tym sensie władza jako aprobowana i przez to prawomocna przeciwstawia się gołemu faktowi panowania, który może wynikać z efektywnego przymusu i terroru.

Historia polityczna Polski powojennej może być opisana jako cykliczny proces, w którym panujący aparat władzy to zbliża się, to znów oddala się od prawomocności opartej o aprobatę społeczną. Proces ten - w systemie, który łączy bezpośrednio władzę polityczną z ekonomiczną - jest współbieżny z procesem

cyklicznych wzrostów i upadków gospodarczych.

Początki nowego systemu politycznego są z prawnego punktu widzenia zwykle podejrzane, a zgoda ogółu jest zwykle fikcją narzuconą przez zwycięską frakcję społeczną. Początek Polski Ludowej nie jest pod tym względem anomalią i nie ma co do tego wracać. Ważniejsze jest natomiast co dzieje się następnie. Czy nowa ekipa rządząca potrafi pozyskać poparcie jakiejś istotnej grupy społecznej i czy będzie panować za przynajmniej milczącą aprobatą ogółu, czy też będzie się szamotał między groźbami użycia siły i obietnicami rezygnacji z zastosowania siły? Owoż wydaje się, że nowy układ stosunków w Polsce miał co najmniej parokrotnie szanse na trwałe uwierzytelnienie się przed społeczeństwem, ale każdorazowo szanse te tracił. Wojna domowa pierwszych lat powojennych została porzucona praktycznie przez większość społeczeństwa na rzecz odbudowy domów własnych i domostwa wspólnego. Ożywienie społeczne z tym związane napotyka na drugi okres represji, który oznacza wprowadzenia terroru i stalinowskiego systemu politycznego. I znów - nie pomyślę się chyba - twierdząc, że podstawowe grupy społeczne były gotowe zapłacić tę cenę wzajemian za realizację obietnic sprawiedliwości społecznej i prosperity ekonomicznej, którymi to obietnicami stalinizm chętnie szafował. Załamanie się planu sześcioletniego wyprzedziło o parę lat historycznie pierwszy ruch zmiany, jakim był Październik 1956. Władysław Gomułka ze swoją ekipą znów uzyskuje zaufanie zmęczonego stalinizmem społeczeństwa i traci to zaufanie pod koniec lat 60-tych. Historia powtarza się za rządów ekipy Edwarda Gierka, tyle że szybciej, tak, że gdyby się nie miało zmienić, można podszewać, że czas rządów poszczególnych ekip mógłby ulec skróceniu do ośmiu przyswoitej czteroletniej kadencji.

Istnieje parę wydarzeń w ciągu ostatnich lat, które w sposób widoczny prowadzą do upadku siły władzy. Najpierw więc mamy chaotycznie wprowadzoną i następnie odwołaną podwyżkę cen w 1976 roku. Robotnicy przekonują się, że decyzja ekonomiczne władzy są do odwołania, choć trzeba za nie zapłacić upokorzeniem ludzkiej godności. Przychodzi po paru latach śnieżycy sylwestrowa z 1978 na 1979 rok, w trakcie której władza daje zdumiewający publiczny pokaz swej nieudolności, a ludzie przekonują się, że uratować się mogą tylko pod wa-

runkiem, że sprawy wezmą sami w swoje ręce. Pielgrzymka Ojca Świętego do Polski w 1979 roku jest z kolei okazją do odzyskania poczucia własnej godności przez miliony polskich katolików, którzy widzą swoją siłę i sprawność samoorganizacyjną. To gdzieś tutaj, w rozgrywkach z cenami, ze śniegiem i wodą, z Papieżem dokonuje się ujawnienie słabości władzy i siły społeczeństwa, siły, która wkrótce, w lecie 1980 roku, wystąpi pod postacią coraz to szerszego ruchu solidarności i oporu przeciwko władzy pozbawionej nie tyle środków przymusu i przemocy, ile prawomocności w oczach rządzonych.

### Jak patrzeć na naszą rewolucję?

U angielskiego socjologa Johna Rexa znajduję zdanie, które wydaje mi się najbardziej adekwatne do naszej obecnej sytuacji: "Zmiana układu sił może prowadzić nie tyle do pełnej rewolucji, ile do kompromisu i reformy. W takim wypadku mogą wykonać się nowe instytucje, które nie są związane bezpośrednio z prowadzeniem konfliktu, ale są uznane za prawomocne przez obie strony. W korzystnych okolicznościach taki rezultat może zrodzić nowy długotrwały, jednolity ład społeczny... Takie sytuacje są jednak niestabilne wewnętrznie, ponieważ każde osłabienie przeciwstawnej siły dawnej klasy podległej może prowadzić dawną klasę rządzącą do powrotu do atawistycznych sposobów rządzenia, a - z kolei - utrzymywanie własnej siły łatwo może zachęcić klasę podporządkowaną do działania na rzecz możliwości rewolucyjnej."

Spyta ktoś, czy tak musi być zawsze? Hic et nunc! W ramach porozumień! Powiedzmy sobie szczerze, że konflikty muszą być zawsze, natomiast rewolucje w węższym tego słowa rozumieniu, to znaczy, z użyciem przemocy, zdarzają się rzadziej. Jakże są warunki pozwalające na utrwalenie obecnej sytuacji tak, abyśmy mogli trwale korzystać z zawartych w niej możliwości? Temu, kto spyta o inne czynniki mogące takie utrwalenie wykluczyć odpowiem, że inne hipotezy mnie tu nie interesują.

Rewolucje szeroko rozumiane mają tę cechę ceobliwą, że to, co przy bliższym rozpatrzeniu wyda się zbiorem rozmaitych, często rozbieżnych interesów i dążeń, przybiera charakter wszechgarniającego zgodnego dążenia do zmiany warunków dotychczasowych. Znaczący to, że dokonuje się skłócenie rozmaitych



tych osi konfliktu w jedną, przeciwstawiającą sobie nawzajem nowy i stary porządek. Rozkojarzenie osi konfliktu jest więc jednym z warunków podstawowych wyjścia z obszaru potencjalnego użycia przemocy. Ralf Dahrendorf rozwinął kiedyś koncepcję izolacji konfliktu przemysłowego jako jednej z podstawowych cech gwarantujących a-rewolucyjność pokapitalistycznych społeczeństw Zachodu. W zwykłym języku oznacza to tyle, że konflikt między pracownikami a pracodawcami dokonuje się w innej sferze niż konflikt polityczny o władzę w państwie i wpływ na nią. U nas natomiast władza w przedsiębiorstwie jest zarazem ogniwem władzy państwowej. Konflikt z pracodawcą jest więc zarazem konfliktem z władzą polityczną. Stabilizacja sytuacji polskiej wymaga więc izolacji konfliktu przemysłowego, co w praktyce musi oznaczać uspokojenie i uniezależnienie przedsiębiorstw od państwa. Dla jednych może to być jeden z ważnych celów rewolucji, dla innych zaś środek do rewolucji tej uniknięcia. Jest to prawdopodobnie jedyny jeszcze nie wypróbowany środek naprawy gospodarki socjalistycznej, który zarazem pozwala na nadanie jej charakteru rynkowego. Państwo w tej, podobnie jak w wielu innych dziedzinach, musi być zwolnione z odpowiedzialności, i tylko wtedy przestanie być podstawową stroną konfliktu za każdym razem, gdy robotnicy czy taksówkarze strajkują o zmianę warunków pracy czy płacy.

Po drugie, dążenie do zmian - tak charakterystyczne dla sytuacji rewolucyjnej - musi znaleźć zaspokojenie w działaniach podejmowanych poprzez uregulowane mechanizmy zbiorowego podejmowania decyzji. W tzw. realnym socjalizmie bardzo mało jest dróg wyrażania konfliktu, a nawet te istniejące pozostają zablokowane, bo konflikt jest wykluczony doktrynalnie. W skrócie można powiedzieć, że - jak to zwykle w tzw. realnym socjalizmie bywa - popyt na instytucje konfliktu przewyższa znacznie ich podaż. Tymczasem dla obu stron znacznie bardziej korzystna byłaby sytuacja odwrotna, w której podaż rozmaitych procedur wyrażania i rozwiązywania konfliktu byłaby znacznie większa od rzeczywistego na nie zapotrzebowania. Demokracje zachodnie dysponują bogactwem rozmaitych instytucji konfliktu i przejęcie tego bogactwa form do życia publicznego w Polsce jest wyrażnie nakazem chwili. Wiąże się z tym zagadnienie mediacji między stronami konfliktu. W chwili obecnej. Kościół

chwałebnie podejmuje się takiego pośrednictwa. W przyszłości byłoby znacznie lepszej, gdyby niezależnie od takich czy innych mediacji doraźnych, rolę taką spełniało bezosobowe prawo i niezawisłe sądownictwo. Zgoda na "kierowniczą rolę PZPR w państwie" nie przeczy żądaniu, aby wszystkie siły w tym państwie, "przewodnie" czy nie, były podporządkowane prawu. Można pytać, czy jest możliwa demokracja monopartyjna? Teoretycznie nie powinno to być wykluczone w kraju, który w swych dziejach notuje rzekwit "monarchicznej republiki" - systemu równie paradoksalnego dla współczesnych. Właśnie w ideale "rządów prawa" jako bezosobowej siły ponad władzą i resztą społeczeństwa upatrują doktrynalne rozwiązanie naszego problemu, podczas gdy jego rozwiązanie praktyczne znajduje się w walce niezależnych sił społecznych z siłą "przewodnią" c taką, a nie inną treść prawa i c niezależność sądownictwa.

Po trzecie, władza musi poszukać uprawomocnienia społecznego nie jak dotychczas poprzez iluzoryczną szansę sukcesu ekonomicznego, ale poprzez własną demokratyzację. Postulat ten dotyczy bardziej instytucji rządzenia w państwie niż PZPR jako takiej. Partia może być bowiem mniej demokratyczna niż państwo, to jest wewnętrzna sprawa jej członków. Ci, którzy na centralizm partii się nie godzą, mogą - jak dotychczas - poza obrębem partii pozostać. Dla nich jednak - podobnie zresztą jak i dla partyjnych - ważniejsze jest, aby państwo było zdemokratyzowane, a więc ograniczone w swoich kompetencjach, a w swym wewnętrznym funkcjonowaniu oparte na zasadach samorządności, jawności i praworządności. Realizacja tych zasad oznacza długotrwały proces przebudowy instytucjonalnej oraz udostępnienia poczyci władczych przedstawicielom innych niż dotychczas klas, warstw i tendencji społecznych.

Zalecenia, które przed chwilą formułowałem, są w istocie adresowane tylko do jednej ze stron konfliktu, do klasy rządzącej. Nie apelują do drugiej ze stron o spokój, wytrwałość i rozważę między innymi dlatego, że cechy te jak dotychczas wykazywała. Przede wszystkim jednak dlatego, że podstawowym ekładnikiem sytuacji rewolucyjnej jest gorączka oczekiwań i działań. Oto odkryty został nowy świat możliwości i trzeba nadać mu pożądanę kształty. Jeśli władza jest władzą, to właśnie ona musi te nowe kształty formować, jeśli chce, żeby tworzyli je inni,

to oznacza to rezygnację z władzy. To w zasięgu możliwości władzy leży właśnie to, żeby polska rewolucja pozostała ruchem reformy, a nie rewolucją w wąskim sensie tego słowa, obójtanie czy wygraną czy przegraną, ale zawsze oznaczającą upust krwi. To władza musi odczytać trafnie potrzeby drugiej strony, dokonać odpowiedniej przebudowy instytucjonalnych struktur politycznych i stać się władzą wprowadzicie ograniczoną przez prawo i przez nacisk społeczny, ale za to władzą społecznie uznaną.

Jacek Kurczewski

## POLITYKA W CYLINDRZE

"Style politycznego myślenia" zaczynają się jako typowa monografia mało dziś znanej, właściwie zapomnianej grupki intelektualistów obdarzonych sporym temperamentem politycznym. Marcin Król podaje dokładną metryczkę "Polityki" i "Buntu Młodych", przedstawia kolejno swoich bohaterów, ich wkład do wspólnego dzieła, lecy wojenne i powojenne. Wymienia zasadnicze artykuły, układy periodyków, ideologiczne zaplecze młodomocarstwowców, by zaraz potem odejść w przeszłość, ku dziejom polskiego konserwatyzmu. Wraca do "Buntu Młodych" i "Polityki", zawartej w nich koncepcji i znów oddala się od głównego wątku - do rozważań nad myślą Józefa Piłsudskiego. A potem kręgi wokół piśma rosną i rozszerzają się. Poglądy przedwojennych polityków zaczynają grać rolę czysto pretekstową. Odkrywamy, że obłędna złożona na wstępie: "chciałem napisać książkę o sposobach uprawiania myśli politycznej i o tym, gdzie szukać pomocy i tradycji" zaczyna być spełniana. Wkraczamy w sferę myślenia o wiele ogólniejszego. Pojawiają się rozważania o różnicach między myślą i teorią polityczną, wywody o procedurach wychowania do demokracji czy wpływu totalitaryzmu na myślenie polityczne. Książka nabiera tempa. Autor zdąża wprost do konkluzji. Tam, gdzie inny wypełniałby całe strony, Król odważnie i zwięźle formułuje swoje poglądy. Ostatnia część pracy to niemal samodzielne studia poświęcone takim zagadnieniom jak związki między polityką i moralnością, sens polskiego interesu narodowego.

Jest to z pewnością książka trudna w czytaniu. Trudna nie tylko ilością tematów i problemów w niej poruszanych, ale również swoją kompozycją, obciążona wieloma dygresjami, pisana tak, iż niełatwo oddzielić to, co jest cytatem, relacją czyichś poglądów, a co już stanowi odautorską wypowiedź, co inspiracją czy pretekstem do wypowiedzenia własnych przemyśleń, a co konieczną informacją o "Buncie Młodych" i jego autorach.

Mamy więc w jednej książce kilka równoległe prowadzonych wątków /chciałoby się rzec książek - bo każdy z tych tema-

tów mógłby być podstawą dysertacji/. Są więc "Style" monografią, opisaniem dziejów pisma, którego redaktorem był Jerzy Giedroyc. Tak też /należałoby powiedzieć - niestety/ bywają czytane. Większość zarzutów kierowanych pod adresem Króla odnosi się właśnie do części historycznej. I nic dziwnego. Sam autor upoważnia do takiego czytania tej książki, a poza tym dla wielu czytelników jest to pierwsza okazja, by dowiedzieć się czegoś o "Buncie Młodych" i o poglądach młodych konserwatystów. Ale jest to, rzekłbym, zewnętrzna tylko warstwa książki.

Można także czytać "Style" poprzez wcześniejsze prace Króla /mam tu szczególnie na myśli wydaną przed kilku laty pracę o polskiej myśli zaprzecznej i szereg jego artykułów pomieszczonych w periodykach fachowych/, jako nową próbę napisania dziejów polskiej myśli politycznej. Wtedy rozważania o "Buncie Młodych" znalazłyby się gdzieś w końcowych rozdziałach takiego studium. Ale w takim wypadku specjalnego znaczenia nabierają analizy ogólniejsze, ustalenia pojęciowe, które stają się kwestionariuszem, zespekiem pytań i kategorii porządkujących historyczne materiały. Byłaby więc to również praca historyka, który ujawnia swój warsztat badawczy i zaplecze teoretyczne.

Są wreszcie w tej książce studia bardziej szczegółowe, które wyrwane z całości mogą samodzielnie funkcjonować albo być podstawą dalszych rozważań. Rozdział o Piłsudskim wypadł woale nieźle w "Zapisie", a rozdział "Moralność i polityka" z powodzeniem można by też publikować oddzielnie. Daje się więc czytać "Style" metodą wydkubywania rodzynek z ciasta.

Alle zgodnie z tytułem jest to - i tym chciałbym się wyłączenie zająć - praca właśnie o stylach politycznego myślenia, rozważania o tym, czym jest prawdziwie europejskie myślenie w Polsce, jak można je zastosować na przełomie lat 70-tych i 80-tych. Jest to książka bynajmniej nie klerkowska, lecz praca kogoś, kto zajmuje się myśleniem politycznym, dokonuje opcji ideowych, buduje projekty, ale i kogoś kogo obchodzi sama gra, walka, działanie polityczne. Słowem Król wkracza do polskiej polie, zaznaczając swoją odrębność, swoją pozycję. Poddając się ocenie innych, bie-

rze udział w dialogu, który - używając słów Hannah Arendt - tworzy republikę.

Tą obfitość dygresji, potrzebę ustosunkowania się do niemal wszystkich ważniejszych kwestii z zakresu teorii polityki można tłumaczyć właśnie jednym: Król nie chce być ucześniany z tym, co dotychczas zostało powiedziane w Polsce o dziejach polskiej myśli politycznej, nie chce by go przypisywano do którejkolwiek z grup politycznych. Musi więc budować własny język /patrz powracające ustalenia terminologiczne/, by określić priorytety i zasadę wiązania faktów i zdarzeń. Musi wyznaczyć granicę, która oddzielać go będzie od dotychczasowych tradycji, określić pole swoich zainteresowań. A jest to przestrzeń rzęglą, w której pytania o naturę władzy, tradycji spotykają się z praktycznymi zabiegami służącymi realizacji celu dla autora podstawowego, jakim jest "poszerzenie zakresu niepodległości", rozwój kultury narodowej, tak ważny ze względu na możliwość pełnego zaisnienia człowieka.

Co oznacza podstawowa dla tej książki kategoria stylu politycznego myślenia? W rozumieniu autora jest to pewne podobieństwo w reakcjach, pewien typ wrażliwości na podstawowe zagadnienia społeczne, polityczne, gospodarcze, "co nie oznacza bynajmniej merytorycznego podobieństwa tych reakcji". Jest to rodzaj zgody łączącej elity polityczno-moralne, wyznaczającej wspólne ramy dyskusji, sporów i kompromisów, koniecznych dla współdziałania grup decydujących o kształcie życia politycznego kraju. Konieczne jest tu uzgodnienie podstawowych hierarchii zadań intelektualnych i społecznych, porozumienie co do elementarnych faktów z historii Polski, wspólne rozumienie co do interesu narodowego czy imperdabilii kulturowych. Styl politycznego myślenia, którego Król poszukuje, daje się przede wszystkim uchwycić poprzez swoje negatywne odbicia, wyraża się w krytyce osterech głównych grzechów politycznego myślenia, nawiedzających historię tak europejskiej jak i polskiej myśli politycznej. Spróbujmy je w oparciu o teksty Króla zrekonstruować.

Pierwszy grzech to grzech ideologizacji, czy inaczej - radykalizmu, oderwania od rzeczywistości, uporczywego trzymania się pewnych rozwiązań i schematów bez względu na dok-

nujące się zmiany i okoliczności historyczne. Autorzy publikujący w "Buncie Młodych" /szczególnej ważności jest tu esej S. Kisielewskiego krytyczny wobec wszelkiej ideologii totalnych, jak i liberalnego relatywizmu/ w sposób godny podziwu, wyprzedzając później - dokonania tzw. krytyków ideologii przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, wskazywali na podstawowe niebezpieczeństwa utopizmu w polityce, na groźbę antyintelektualizmu, brutalizacji życia publicznego, demagogii. Wreszcie opisali zjawisko "chcoby niewoli", nieumiejętności przystosowania się grup działających w warunkach nielegalności do stylu i metod pracy właściwych po odzyskaniu niepodległości, gdy konspiracyjne metody działania muszą zostać zastąpione przez jawne, demokratyczne procedury postępowania. Ten sam grzech utopizmu, choć w innym kształcie, pojawia się w postawie moralistycznej, w potrzebie podporządkowania wszelkich form aktywności ludzkiej zasadom skusności czy przyzwyczajenia. Rodzi się wówczas z niebezpieczeństwem autorytaryzmu dobra. We współczesnej kulturze przybrało ono postać totalnego odrzucenia wszelkich instytucji, całego społeczeństwa w imię najwyższych ideałów miłości, braterstwa i prawdy, ujawniało się w postawie pogardy i wyniosłości wobec wszystkich tych, którzy uczestniczą w normalnej, codziennej krzątaninie. Wśród rewolucjonistów taka postawa rodzi dążenie do wymodelowania społeczeństwa tak, by odpowiadało wartościom absolutnym. Wtedy dzieli nas tylko krok, jak pisze Król, od zastosowania terroru dla realizacji własnej wizji porządku.

Drugi grzech politycznego myślenia można nazwać grzechem oportunistycznego realizmu. Ta postawa polega na poddaniu się historycznej konieczności i sprzeniewierzeniu się wszelkim zasadom etycznym tylko dlatego, że nie ma dla nich miejsca w aktualnym układzie sił politycznych. Ten typ realizmu przybiera postać demagogii czy antyintelektualizmu, jest obecny wszędzie tam, gdzie budzi się najprymitywniejsze namiętności i emocje, by tylko dla celów doczajnych zdobyć sobie poparcie społeczne. Oportunistyczny realizm pojawia się tam, gdzie politykę traktuje się jako pole bitwy, w której nie obowiązują żadne reguły, a jedynym celem jest zwycięstwo. Ten typ realizmu prowadził w przeszłości albo do myśli zaprzecznej, gdy argumentowano za zrzeczeniem się aspiracji niepodległościowych w chwili zupełnej dominacji zaborców, albo do upra-

wiania polityki siły, gdy demagane się dostoecwania polskiej myśli politycznej do europejskiej sceny zdominowanej przez zasadę imperializmu.

A więc styl proponowany przez Króla eytuuje się między oportunistycznym marzycielstwem, między ideologią a polityką siły. Autor książki wybiera dla siebie politykę realizmu: zimną, wykalkulowaną, opartą o racjonalne rozpoznanie istniejących sił i koniunktur, której obcy jest patos moralistów powołujących się na wielkie słowa i westchnienia ludzkości. Ale ma to być przy tym polityka skierowania na realizację podstawowych imponderabiliów kulturowych, norm wpisanych w wielką tradycję Europy: zasad demokracji, swobody myśli i przekonań, wiary w siłę kompromisu i potrzebę dialogu.

Oczywisty jest grzech trzeci, charakterystyczny dla polskich dziejów - grzech ksenofobii, głoszenia antyeuropejskiej swoistości, gdy podkreśla się niepowtarzalność polskiej drogi rozwoju, odrzuca dorobek i osiągnięcia uniwersalne jak z duche obce i nie pasujące do rodzimej specyfiki, gdy traktuje się narodowe doświadczenia jako rzecz nieprzetłumaczalną na inne języki, nie poddającą się w gruncie rzeczy żadnej intelektualizacji. Grzech ten popełniali niegdyś ci, którzy w 'Księgach Pielgrzymstwa' szukali wskazówek politycznych, ci którzy odwoływali się do tradycji mesjanizmu, potem skrajnego nacjonalizmu.

Wreszcie grzech czwarty: apostatycznego uniwersalizmu, lekceważenia odrębności polskiej drogi rozwoju, stawiania przed ideą niepodległości innych wartości, takich jak postęp cywilizacyjny, zasady egalitarne. Oznaczać to zazwyczaj rezygnację z idei pierwszej, idei niepodległości po to, by uznać, że czas jest wyłącznie na dościganie Europy w sferze techniki czy na realizację społeczeństwa ludzi równych.

Mamy więc szeroko wyznaczone ramy i granice poszukiwanego stylu politycznego myślenia. Ma być antyutopijny, odrzucać oportunistyczny realizm, przeciwstawiać się tak idei antyeuropejskiej swiścieci, jak i apostatycznemu uniwersalizmowi. Król chce uprawiać myśl polityczną, która nie będzie zatracać kontaktu z rzeczywistością, z istniejącymi tendencjami społecznymi, ma umożliwić współdziałanie czy przeciwdziałanie



koniankturam duchowym czy politycznym zależnie od tego, czy służyć one stopieniu się zasad europejskich z rozumnie pomyślaną ideą niepodległości. Ma więc to być myśl otwarta, dopasowująca się do zmiennych realiów, nastawiona reformatorsko, ale zarazem zachowawcza, to jest taka, która nie chce w procesie historycznym zatracić wartości podstawowych, wartości regulatywnych. I właśnie te wartości, pierwsze i niepodważalne, wyznaczają granice tolerancji i kompromisu. Król więc odrzuca tę wersję liberalizmu, która z zasady wolności negatywnej czyni wartość absolutną, znosząc wszelkie granice substancjalne dla jednocetkowej woli.

Styl myślenia postulowany przez Króla ma godzić rozsądny konserwatyzm z zasadą otwarcia się na rzeczywistość, na zmiany, na nowość. Pragnie korzystać z dorobku przeszłości, który uobecnił się w kulturze, w największych dokonaniach ludzkości, wierząc, że tak jak w przeszłości tak i w przyszłości aktualizować się będą te same potrzeby i nadzieje. Przemysłowość nie jest z natury ani lepsza, ani gorsza. Wbrew rozsądkowi czy doświadczeniu musimy przyjąć, że zawsze istnieje możliwość zmiany i reformy, że stale istnieje szansa realizacji imponowabilioów kulturowych. Trzeba postępować tak, by nawet w mało plastycznym systemie można było drogą nacisku oddelnegc, siłą elit intelektualno-moralnych, Kościoła wmontować trwałe mechanizmy adaptacyjne i elementy ograniczenia systemu władzy.

Król zajmuje postawę niechętną liberałom, gdy ci chcą ujmować politykę wyłącznie w opozycji do postawy profetyczno-mesjanistycznej, gdy traktują ją wyłącznie jako przedmiot prób i błędów, w którym nie ma miejsca na pozytywne cele, na uzgodnienie trwale wskazujące cel działania. Polityka nie może być więc wyłącznie rozumiana jako doraźna gra interesów. Bez programów i opoii ideologicznych, bez zrzucenia czym jest interes narodowy i racje geopolityczne trudno w ogóle mówić o myśli politycznej.

Należy wspomnieć o jeszcze jednym elemencie negatywnym. Król wyraźnie odrzuca prymat polityki rewindykacyjnej, to jest takiej, w której celem jest przede wszystkim realizacja sfrustrowanych interesów grupowych i wartości. W polityce państwowej, bo o takiej cały czas jest mowa, punktem

wyjścia powinny być nie tyle potrzeby wywłaszczonych, ile dobro całości, jaką jest naród czy państwo. Myślenie ma rozpocząć się od zrozumienia interesów wspólnoty, od poszukiwania nadrzędnych racji, które wpisane są w kulturę narodową, w tradycję europejską czy wreszcie w geopolitykę. Poczucie interesów całości ma wyznaczać granicę oddolnym rewindykacjom.

Sama postawa sprzeciwu, buntu, żądania czy niepokorności nie wystarcza do uprawiania polityki. Głoszenie nieufności czy krytycyzmu może co najwyżej przygotować pewne dyspozycje do działania, wywołać potrzebę wkroczenia w życie publiczne. Ale z samych moralnych wskazań dla życia politycznego nic jeszcze nie wynika. Te mogą uzasadniać również deprawację postawę wycofania jak i zaangażowania. Chodzi o coś więcej i o coś innego, chodzi o myślenie w kategoriach sił, układów, o realizm, rozsądek, podjęcia ryzyka wyboru, o nastawienie na praktyczną realizację swoich celów. Wreszcie w koncepcji polityki szkicowanej przez Króla idzie o to, by uświadomić sobie zakres spraw podlegających wspólnej debacie, wymagających zawezwanych niepewnych ustaleń i walki o spełnienie własnych koncepcji. Całą pracę można właśnie czytać jako próbę rehabilitacji polityki, wezwanie do rozmowy o tym, co przynależy do sfery wspólnego dobra i co w sposób nieunikniony rodzi różne opcje. W dyskusji nad tym, co należy do sfery polityki, trzeba sobie uświadomić zakres istniejących różnic. Bez debaty nad pojęciem interesu narodowego, rolą Kościółka, polityką zagraniczną Polski, który sprawie niepodległości ma służyć, skazany jest na przypadkowe i krótkofalowe przedsięwzięcia. Łatwo może być poddany manipulacjom. Co więcej, gdy nie jesteśmy w stanie ustalić własnych postaw i poglądów, gdy nie możemy zracjonalizować własnego doświadczenia, wówczas nie potrafimy wyjść poza więzi emocjonalne i kierujemy się w takim wypadku bardziej sympatiami niż realiami i jasnym programem działania.

Polityka, zdaniem Króla, jest z natury rzeczą dziełem przede wszystkim elity złożonej wspólną wrażliwością, świadomą dokonywanych wyborów i ryzyka, jakie niesie wplątanie się w sieć międzyludzkich kontaktów. Jedynie warstwy oświecone /ale nie elity menadżerów, które nie posiadają własnej

tradycji/ mogą wznieść się ponad poziom uprzedzeń i emocji, mogą zdobyć się na wysiłek racjonalnego myślenia i intelektualnego perządkowania naszego doświadczenia. Polityka nie może być oddana w ręce tkumu. Jest bowiem najtrudniejszą jak i najniebezpieczniejszą ze sztuk. Do jej wykonywania trzeba solidnej wiedzy o demokracji, o tradycjach politycznego myślenia. Trzeba autorytetu opartego na wiedzy, tradycji, kulturze. Owe elity, choćby bezpośrednio nie miały brać udziału w samej grze, są niezbędne choćby po to, by wychować społeczeństwo do myślenia w kategoriach państwowych, aby wypracować ogólne tło dla funkcjonowania ustroju parlamentarnego. Jest dziś czas, pisze Król, właśnie na wychowanie tej elity, na uczenie się, na długofalową pracę, na wypracowanie wspólnego ludzkom oświeconym porozumienia. To leży w zasięgu naszych możliwości i za to można brać polityczną odpowiedzialność. I taki byłby pierwszy podstawowy dla książki wniosek na dziś, wypływający z rozważań nad życiem politycznym.

Drugi to wezwanie do tworzenia podstawowego konsensusu społecznego, silnie odczuwanej wspólnoty interesów. Budowa konsensusu dzisiaj wśród elit jak i w społeczeństwie, rekonstrukcja sieci powiązań pozostających poza presją bieżącej polityki zmniejsza zakres wpływu biurokracji. Słabnie możliwość manipulowania i przeciwstawiania sobie różnych grup społecznych. Zmniejsza się siła partykularyzmów, zwiększa samorganizacja życia społecznego.

Ale przenieśmy się w sferę konkretną, ku bieżącym wydarzeniom. Król twierdzi, że mamy dzisiaj do czynienia z czymś, — co można nazwać konsensusem negatywnym, istnieniem poczucia wspólnoty interesów wynikającym z powszechnego przekonania, że zasadniczy wymiar ma konflikt między społeczeństwem a biurokracją partyjną. Trudno jest komentować tak ogólną hipotezę. Jej słabość nie polega na tym, że jest fałszywa, ale na tym, że przez swoją ogólnikowość jest mało znacząca. Bo przecież tylko w chwilach konfrontacji albo najgłębszego rozgoryczenia i porażenia słabością podział na masy i biurokrację odgrywa decydującą rolę. Na codzień trzeba "wchodzić w układy" z tymi, od których jesteśmy zależni, walczyć o swoje interesy, konkurować. I wtedy okazuje się, że linie podziału w społeczeństwie i wewnątrz biurokratów są bardziej

skomplikowane, że za wytłumionymi na zewnątrz opiniami toczą się normalne spory, ujawniają się partykularyzmy zawodowe, branżowe, klasowe.

Wiele stwierdzeń zawartych w ostatniej części książki aż zadziwia swoją nietrafnością. Otc np. Król pisze, że działania rewolucyjne podejmowali ci ludzie, którym obca i nieznaną była wielka tradycja europejskiego myślenia. Przecież najwybitniejsi intelektualisci Francji, Anglii, Niemiec czy Rosji sympatyzowali albo współpracowali z partiami komunistycznymi. Spośród wychowanków elitarnych szkół i uniwersytetów rekrutowali się najżarliwsi krytycy wartości liberalnych wzywający do stworzenia porządku hierarchicznego czy dyktatury proletariatu. To właśnie o nich pisze Orwell: "igrają z ogniem zapominając o tym, że ogień jest gorący". W innym miejscu Król twierdzi, że szansa polskiej myśli politycznej polega na tym, że jesteśmy wolni od ciężenia starych ideologicznych podziałów i możemy swobodnie korzystając z dorobku Zachodu wybierać najlepsze dla nas rozwiązania i teorie. Ciężenie endeckiej tradycji, o czym na łamach Res Publici pisze BT, może być przykładem, jak mimo wszystko trudno uwolnić się od przeszłości i że nie należy traktować polskiej myśli jako pustej przestrzeni, którą dopiero należy wypełnić właściwymi treściami. Trudno wreszcie uwierzyć, by w chwilach rozluźnienia tak łatwo dawało się odnaleźć te najlepsze wzory i by wszyscy je tak od razu zaakceptowali. [Król kładzie główny nacisk na potrzebę odbudowy żywej tkanki społecznej, wewnętrznej więzi, która nie pozwala na przekształcenie się wspólnoty w tłum i na rozbicie elit moralno-intelektualnych. Służą temu nie tyle zabiegi o charakterze politycznym, ale odbudowa infrastruktury kulturowej, tworzenie sfery pre-politycznej, tej warstwy, w której prawdziwa myśl polityczna musi znajdować swe korzenie i z której czerpie pokarm. Bez pracy wychowawczej, bez intelektualnych prób rozumienia czym jest demokracja, bez pracy nad językiem, bez prób zracjonalizowania sceny politycznej nie może być jego zdaniem miejsca na świadome uprawianie polityki. Sfera polityki zostaje ściśle spleciona z kulturą, z potrzebą odbudowy teorii polityki, która nie sprowadzałaby się wyłącznie do opisu i krytyki instytucji politycznych. Ma to być więc teoria poszukująca zasad

koniecznych dla istnienia wspólnego wszystkim niezależnie myślącym politykom stylu myślenia. Tylko w poczuciu zasadniczej wspólnoty interesów i postaw konflikty i spory stają się twórcze, a pojęcie kompromisu nabiera właściwego sensu. A więc dopiero wychodząc poza doraźne nieporozumienia, szukając trwałych norm można zbudować granicę, która oddzieli sojuszników, choćby potencjalnych, od tych, którzy mimo podobieństwa frazeologii i języka okazują się przeciwnikami. Ale do tego potrzebny jest dystans, szukania odniesień kulturowych, wiedza o doświadczeniach politycznych i sporach ideowych innych krajów.

Co więcej, prawdziwy realizm polityczny nakazuje nam traktować pracę w sferze pre-politycznej jako jedynie możliwe dalekosiężne pociągnięcie. Między polityką czystą i postawą kontemplatywną musi być miejsce nad żywą, związaną z aktualnymi trendami pracę wychowawczą. I tu relacja elit okazuje się oczywiście przemożna. Tylko one bowiem są w stanie wyrobić sobie trwałe i krytyczne zdanie o teorii politycznej, jedynie one są intelektualnie przygotowane do poznania tradycji i do działalności edukacyjnej. W pracy Króla elity są przy tym jedyną grupą spokojną, która może i powinna odegrać jakąś rolę w procesie politycznym. Z innych warstw mogą się rekrutować zręczni menadżerowie i politycy, ale nigdy mężowie stanu, a więc ci którzy wyznaczają granicę naszej wyobraźni i na trwałe wskazują cele politycznych zabiegów. Autor książki wierzy w to, że tylko elity zdolne są wznieść ponad poziom swoich ambicji i emocji, znaleźć ze sobą wspólny język, dostrzec swoje i oponentów racje, wreszcie stworzyć jakieś rozsądne rozwiązanie. Tylko one mogą uciec od ciężenia socjologicznych i psychologicznych praw.

Król konstruuje swoje pojęcie polityki jest przekonany, że sfera ta stoi poza i ponad życiem społecznym i psychicznym jednostek. W polityce odmoralizowanej i realistycznej nie ma miejsca na namiętności, wzajemne uprzedzenia, kompleksy, przesady, partykularne interesy, poczucie poniżenia czy arogancję. To wszystko musimy wziąć w nawias wierząc, że rozsądek, dystans wobec swoich słabości powdnie wziąć górę. Interesy narodowe, interes kultury stać ma ponad nimi. I pamiętając o tym trzeba zrezygnować z pryncjonalizmu i emocji,

za wszelką cenę próbując się dogadać.

Król wybiera rozum przeciw sentymentom, wysłanie przeciw namiętnościom. Uważa, że między tymi których łączy wspólny styl wysłania politycznego nie ma miejsca na nieusuwalne sprzeczności i konflikty. W polityce nie może być miejsca na tragedię. Przyszłość, choć nieznana, zawsze może przynieść nam nadzieję. Potrzebny jest tylko rozsądek, chęć porozumienia, no i dobre wychowanie.

PS

OD REDAKCJI:

Kiedy dwa lata temu zamieszczaliśmy w pierwszym numerze naszego pisma artykuł Stefana Kisielewskiego "Czy geopolityka straciła znaczenie?", nie spodziewaliśmy się - przynajmniej - że wywoła on aż tak duże echo. Chodziło nam głównie o zmanifestowanie prawa niezależnej publicystyki do rozważania problematyki międzynarodowej z polskiego punktu widzenia, a więc o przełamanie pewnego tabu intelektualnego, niezwykle mocno zakorzenionego w umysłach. Zależało nam również na tym, by wchodząc na rynek czasopiśmienniczy móc się popisać artykułem jednego z najświetniejszych piór w Polsce /ten motyw może się wydać drugorzędny lub niepoważny tylko komuś, kto nigdy nie zakładał pisma/. Co do merytorycznej zawartości tej wypowiedzi, to jej tezy wydawały się nam dość abstrakcyjne i traktowaliśmy ją raczej jako prowokację intelektualną, wysokiej klasy zabawę w myślenie, nie przypuszczając, że ktoś może ją potraktować jako konkretny program działania.

Boję "lokomotywy" pisma artykuł naszego znakomitego przyjaciela spełnił aż za dobrze. Przez długi czas RES PUBLICA, jakby nic innego w niej się nie ukazywało, była dla wielu po prostu Pismem - Które - Wydrukowało - Artykuł - Kisielewskiego - o Geopolityce. Nie wpędziło to jednak jej redaktorów w komplekasy. Okazało się bowiem, a to jest dla ambitnego pisma najważniejsze, że Stefan Kisielewski poruszył sprawę, która choć z pozoru przesądzona zupełnie przez historię, geografię, światowy układ sił politycznych i militarnych, budzi jednak namiętne zainteresowanie, nie daje spokoju. Reakcje na tę wypowiedź, nawet najostrejsze polemiczne, ujawniły, że istnieje dość szerokie przekonanie, iż problematyki stosunków polsko-rosyjskich nie wyczerpuje ani kultywowanie historycznych resentymentów w oczekiwaniu na nieokrąsłony

oud, ani pasywna wyjącznie obrona tożsamości narodowej w ramach spetryfikowanego układu politycznego. Warto więc było zacząć rozmowę na te tematy, niezależnie od obiektywnej wartości i realności wysuwanych w jej trakcie bardziej czy mniej konkretnych propozycji.

Poniżej drukujemy dwa dalsze głosy w dyskusji i kolejną wypowiedź jej inojoatora. Nie mamy zamiaru tej dyskusji podsumowywać, ani wystawiać stopni jej uczestnikom. Nie mamy zresztą do tego żadnego mandatu. Chcielibyśmy tylko przestrzec przed zbytnim rozpasaniem wyobraźni. Opinia polska od lat obserwuje grę międzynarodową z pozycji niez zaangażowanego kibica, nie mającego żadnego wpływu na jej przebieg i dlatego też nie skrepowanego rygorami intelektualnymi, jakie narzuca konieczność rozwiązywania realnych problemów. Cóż dziwnego, że w każdym z nas tak łatwo budzi się drzemiący w nim Metternich, rzucający niezawodne atuty na wszystkie zielone stoły dyplomacji, przesuwający granice krajów, porywający za sobą kontynenty, pewną ręką odwracający swoje i cudze sojusze. Jest to zabawa niewinna, ale i bezpłodna.

Naczelnym problemem naszego kraju pozostaje wciąż nie jego pozycja dyplomatyczna w tradycyjnym rozumieniu tego terminu, lecz jego zamknięcie w systemie międzynarodowym o charakterze ideologicznym. Dobrze, że Stefan Kisielewski w opublikowanej niżej "próbie podsumowania" tak mocno, mocniej niż w pierwszym swym artykule, podkreślił ten właśnie czynnik. W takim systemie, jak pisaliśmy tu przy innej okazji i w innym kontekście, polityką zagraniczną jest polityka wewnętrzna. Wydarzenia ostatnich miesięcy dowiodły, że to właśnie odmieniając się wewnętrznie, szukając nowych form życia społecznego i powołując je do życia, Polska odzyskuje swą podmiotowość międzynarodową. Wydaje się, że język dokonanych faktów wewnątrzpolitycznych pozostanie jeszcze bardzo długo jedynym, jakim społeczeństwo polskie będzie w stanie prowadzić rozmowy ze swym sąsiadem i z resztą świata. Rok 1980 świadczy jednak, że jest to język bardzo dobitny.



## Polityka realna — polityka realiów

Każde myślenie i działanie polityczne w Polsce musi się rozpocząć od problemu Rosji.

Ma on dla nas trzy różne wymiary.

Pierwszy ma charakter ściśle polityczny i dotyczy aktualnego stanu stosunków Związek Radziecki - Polska. Można go ująć w dwa podstawowe pytania: 1. jak zachowa się Związek Radziecki wobec głębszych przemian w naszej sytuacji wewnętrznej; 2. czy istnieje jakaś możliwość wpływania na postawy i decyzje Wielkiego Brata.

Drugi wymiar problemu rosyjskiego ma charakter historyczny: zawiera on w sobie pytanie o możliwość i kierunki ewentualnej ewolucji wewnętrznej ZSRR i konsekwencji tej ewolucji dla nas.

Wreszcie trzeci wymiar - nazwijmy go przyszłościowym - dotyczy stosunków Polska - Rosja w takim porządku światowym, który mógłby powstać na miejsce dotychczasowego w następstwie dogłębnych, strukturalnych przemian historycznych.

W tym artykule chciałbym się zająć wyłącznie sprawą pierwszą.

### 1.

Polska stoi dziś wobec realnej perspektywy głębszych przemian wewnętrznych. Mogą się one dokonać na drodze ewolucji bądź gwałtownych wstrząsów. Lecz niezależnie od tego jaką postać przybierze proces przemian, zawsze w takich wypadkach wraca pytanie o możliwość interwencji radzieckiej.

Myślę, że pytanie to należy maksymalnie zracjonalizować, bowiem właśnie w tej kwestii szczególnie brak nam klarownej i jasnej oceny sytuacji. Dla jednych "pewnik" interwencji stał się częścią ideologii strachu, która wiele ułatwia, lecz niewiele załatwia. Wskazują oni na ogrom ryzyka, jakie niesie ze sobą każda próba wymuszenia głębszych przemian wewnętrznych. Mają w tym sporo racji. Zapominają tylko, że ryzyko jest integralną częścią życia w polityce i życia w historii. Narody - jak ludzie - podejmują i muszą podejmować ryzyko. Żle tylko, gdy czynią to na ślepo i bez obliczenia szans.

Inni - mędzi zwłaszcza - wydają się w ogóle nie brać możliwości interwencji realnie pod uwagę. Niektórzy naprawdę wierzą,

że zryw narodu może dać Polsce pełną suwerenność. Zafascynowani tradycją niepodległościową, zapominają, że niepodległość przyniósł Polsce nie tyle ruch wewnętrzny, co przede wszystkim wojna światowa. Inni podnoszą moralne znaczenie powstań dla utrzymania tożsamości narodowej, zapominając z kolei, iż to znaczenie powstań nie mają nie dlatego, że były gestem pustej manifestacji, ale dlatego, że ich celem i rachubą była zawsze niepodległość. Jakkolwiek błędne byłyby kalkulacje, jakkolwiek szalone nadzieje - to one właśnie kazały ohwytać za broń. Bez tego cienia szansy na powodzenie - choćby istniał on tylko we własnej wyobraźni - powstania byłyby wyłącznie aktem absurdalnej głupoty.

Naród, jeśli ma istnieć i rozwijać się, musi umieć marzyć, chcieć, walczyć, ale także - kalkulować. Musi być zdolny do trzeźwej analizy sytuacji.

Nasze rozważania zaczniemy od oczywistego stwierdzenia, że interwencja jest wypróbowanym i uznanym narzędziem polityki radzieckiej wobec krajów bloku. "Uznanym" w jakimś sensie również przez Zachód. Stosowanie interwencji nie niesie dla Związku Radzieckiego groźby żadnego zewnętrznego konfliktu zbrojnego ani trwałego pogorszenia stosunków z Zachodem. Formowanie podstaw polityki odprężenia między ZSRR a USA rozpoczęło się wazak dokładnie w roku 1969 - w rok po interwencji w Czechosłowacji. Zachód wykazał tym dowodnie, że kształtowanie swoich stosunków ze Związkiem Radzieckim niezależnie od sposobu, w jaki Moskwa reguluje stan rzeczy wewnątrz swojej strefy wpływów.

Nie znaczy to, że interwencje nie mają żadnych konsekwencji międzynarodowych.

Generalnie rzecz można, że ich wpływ na stosunki wewnątrz bloku radzieckiego jest stabilizujący. Natomiast poza jego granicami interwencje są ważnym czynnikiem rzekłoby ruchu komunistycznego i jego zależności wobec Moskwy, jak również erozji tego moralno-ideowego poparcia, na jakie ZSRR mógł jeszcze do niedawna liczyć w kręgach intelektualistów i lewicowej inteligencji. Wpływają one w sposób istotny na formowanie się negatywnego obrazu Związku Radzieckiego w świadomości społecznej Zachodu.

Przywódcy radzieccy wydają się dobrze rozumieć ten rachunek zysków i strat i nie uciekają się do polityki interwencji zbyt pochopnie.

Zapytajmy najpierw w jakich okolicznościach ZSRR dotąd interweniował?

Interwencja węgierska w roku 1956 została podjęta w sytuacji, w której: 1. proces destalinizacji w ZSRR został dopiero zapoczątkowany i trudno było wykluczyć, czy nie przybierze on nieoczekiwane żywiołowego charakteru; 2. należało przewidywać, że ruch październikowy w Polsce nie poprzestanie na osiągniętym etapie, lecz będzie wykazywał tendencje do dalszego, masowego rozwoju, zaś zdolność nowej ekipy do samodzielnego ujęcia go w karby mogła wydawać się problematyczna; 3. Węgry znajdowały się na prostej drodze do całkowitego oderwania się od bloku radzieckiego.

W tych warunkach decyzja interwencji była jedyną decyzją politycznie możliwą, jeśli pragnęło się zachować integralność bloku i zapobiec niekontrolowanej reakcji łańcuchowej wewnątrz ZSRR.

Interwencja w Czechosłowacji w roku 1968 może wydawać się na pierwszy rzut oka pozbawiona tych głębszych uzasadnień strategicznych. Przywódcy czechosłowaccy panowali nad sytuacją i nie narazili jeszcze na szwank samej zasady monowładzy partii. Przykład polskiego października wskazywał zaś, że jeśli monowładza nie zostaje naruszona - wszelkie zmiany mają charakter przejściowy i pozorny, a po jakimś czasie prawie wszystko wraca do normy.

Dlaczego zatem interwencja?

Rok 1968 mógł być dla ZSRR rokiem niepokojącym. Albania od kilku lat znajdowała się poza blokiem radzieckim. Rumunia pod wodzą Ceausescu już od roku 1964 wykazywała denerwująco wysoki stopień samodzielności państwowej i partyjnej. Wreszcie w marcu 1968 nastąpiły w Polsce znane wydarzenia, w wyniku których mocno osłabiony Gomułka zajął pozycję defensywną wobec agresywnego i aktywnego bloku "Partyzantów". Nacjonalistyczna ideologia tego ugrupowania mogła być jedynie dymną zasłoną, zabiegiem czysto taktycznym. Ale czy rzeczywiście? Czy z tych szeregów nie mógł wyłonić się nowy Ceausescu? W żadnym razie nie można było ryzykować.

Interwencja w Czechosłowacji nie była więc operacją o znaczeniu lokalnym, lecz strategicznym. Zlikwidowała ona denerwujący "ruch odnowy", odizolowała definitywnie rebeliancką Albanię, przystopowała separatystyczne ciągoty Rumunii, uniemożliwiła przejście władzy w Polsce przez orientację nacjonalistyczną. Po

sierpniu 1968 "Partyzanci" przestali w Polsce liczyć się jako realna siła w rozgrywce o władzę. W grudniu 1970 nie odegrali już żadnej istotniejszej roli.

Analiza historyczna wskazuje więc, że orężem interwencji ZSRR posługuje się oszczędnie i - jak się zdaje - po przeprowadzeniu gruntownej kalkulacji politycznej. Świadczy o tym fakt, że nie podjęto żadnej próby interwencji w Albanii i Rumunii, choć oba te kraje wykazały co najmniej niepokojący stopień niesubordynacji. Nie było również żadnych oznak wskazujących na skłonność do interwencji w Polsce w latach 1970 i 1976.

Jakież względy mogłyby decydować przed powstrzymaniem się od interwencji?

Po pierwsze należy stwierdzić, że interwencja nie jest z reguły aktem wymierzonym w jeden izolowany kraj, lecz jest funkcją sytuacji globalnej. Przepuszczalnie jest ona poprzedzona uważną rachubą strat i zysków w skali całego układu stosunków w bloku oraz na arenie europejskiej i światowej.

Po drugie, przywódcy radzieccy wydają się nie wykazywać zbyt-niej nerwowości tam, gdzie nie zachodzą zmiany strukturalne, a jedynie zmiana kierunku polityki, nawet jeśli to będzie polityka wyraźnie antyradziecka. Myślę, że powody takiego zachowania są dwójakie. Pierwszym jest znany symbolizm świadomości radzieckiej, waga, jaką przypisuje się foxmom. Dopóki jest to kraj socjalistyczny, to mimo wszystkich "błędów" i "odchyłań" /są to wszak kategorie pojęciowe wysoce zasymilowane przez tradycje ruchu komunistycznego/ jest to jednak członek wspólnoty. Syn marnotrawny nie przestaje należeć do rodziny w jej planie idealnym.

Drugim powodem jest czysto pragmatyczna kalkulacja, że syn marnotrawny może rzeczywiście powrócić na łono rodziny, ponieważ - dopóki jest socjalistyczny - jego pełna asymilacja do jakiegokolwiek innego układu jest niemożliwa. Meandry stosunków radziecko-jugosłowiańskich czy ostatnia ewolucja Albanii zdają się wskazywać, że nie są to kalkulacje płonne. Kraj socjalistyczny nigdy w pełni i całkowicie nie wypada z orbity radzieckiej - taka przesłanka wydaje się leżeć u podstaw tego pragmatyzmu radzieckiej polityki. Być może dopiero dalszy rozwój konfliktu chińsko-radzieckiego przyniesie tu radykalną zmianę poglądów.

## 2.

Jakie wnioski mogą płynąć z tych rozważań dla sytuacji polskiej?

Zacznijmy od traktystycznego stwierdzenia o kluczowym znaczeniu Polaki dla ZSRR. Choć ani interwencja węgierska ani czechosłowacka nie były bezpośrednio wymierzone przeciw Polsce, w obu wypadkach znajdowała się ona w ich "tyle decyzyjnym", była ich celem pośrednim.

Polaka jest sbyłt kluczową pozycją w europejskim układzie stosunków, by ZSRR mógł zrezygnować z efektywnej nad nią kontroli. Przemawia za tym szereg względów. Po pierwsze - historia. Nie ma w dziejach Rosji drugiego takiego kraju, wobec którego działalność ekspansywna byłaby prowadzona równie długo i uporczywie, nad którym z równą konsekwencją Rosja starałaby się utrzymać pełną władzę. Czy nam się to podoba czy nie - kontrola nad Polską jest czukym punktem rosyjskiego poczucia mocarstwowości.

Po drugie kontrola nad Polską jest dla ZSRR fundamentalnym wymogiem strategii politycznej. Polaka jest pcycją wyjściową na szlaku do Europy. Jeśli w tej czy innej formie wciąż wraca koncepcja nie tyle może finlandyzacji, co austryzacji Niemiec - to jak można sądzić warunkiem jej realizacji jest efektywna radziecka kontrola nad Polską: strategiczna i polityczna. Ujmując rzecz szerzej - kontrola taka jest kluczowym warunkiem swobodnego prowadzenia wszelkiej polityki europejskiej przez ZSRR.

Po trzecie wreszcie, zważywszy wielkość kraju, jego tradycyjny wpływ ideologiczny i kulturalny na Rosję, jego bezpośrednią bliskość - głębsze przemiany ustrojowe w Polsce mogłyby poważnie skomplikować sytuację wewnętrzną w ZSRR.

Wszystkie te względy przemawiają za wnioskiem, że Polaka jest ostatnim z krajów bloku radzieckiego, wobec którego ZSRR wahałby się z podjęciem interwencji, gdyby doszedł do wniosku, że jego vitalne interesy są tu rzeczywiście zagrożone.

Decyzja taka miałaby również swoje koszty.

Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że interwencja w Polsce przybrałaby charakter gwałtowny, być może - wyjątkowo gwałtowny, ewokując Europie koszmar wojny. Można spodziewać się szoku społeczeństw większego bez porównania niż po interwencjach poprzednich. Jego następstwem byłby potężny wzrost siły i znaczenia przeciwników odprężenia i współpracy z ZSRR, ukształtowanie się

jednoznacznie negatywnego obrazu ZSRR w świadomości społecznej Zachodu i wzmoczenie poczucia wartości zachodnio-europejskich przesłanek ideowych, wreszcie wpędzenie zachodnich partii komunistycznych na pozycje aktywnie antyradzieckie, jako warunek ich dalszej politycznej egzystencji.

Równie groźne, o ile nie groźniejsze byłyby następstwa wewnętrzne: całkowita i długotrwała ruina ekonomiczna Polski /szczególnie niebezpieczna na tle kryzysowej sytuacji gospodarczej bloku/ oraz osłabienie zachodniej flanki w perspektywie potencjalnego konfliktu z Chinami. Każda Polska - rządzona wyłącznie przez komunistów czy współrządzona przez inne ugrupowania - zapewnia Związkowi Radzieckiemu konieczne minimum stabilności w tej części Europy. Polska epacyfikowana przez interwencję zapewnia tylko wzrost niepokoju, wrogości i żądzę odwetu.

I jeszcze jedna pozycja po stronie kosztów, której może nie będzie się brało pod uwagę w sztabowych decyzjach radzieckich - a szkoda! Interwencja mogłaby wykopać ostateczną przepaść historyczną między narodem polskim i rosyjskim. A narody wszak trwają dłużej niż rządy i imperia.

Nie wątpię, że wszystkie te koszty zostaną w stosownej chwili skalkulowane z całą staranną rozumą, jaka wydaje się cechować radziecką politykę zagraniczną.

### 3.

Właśnie wysokość kosztów interwencji w Polsce skłania do ostrożnej nadszłej, że przywódcy radzieccy nie podejmą takiej decyzji pochopnie. Być może zgodzą się nawet zaakceptować w jakichś granicach zmiany wewnętrzne w Polsce.

Wszystko, dosłownie wszystko, sprężmisa się właśnie do problemu tych granic.

Biorąc pod uwagę dotychczasowe kategorie radzieckiego myślenia politycznego można sądzić, że wszelkie przemiany wewnętrzne w Polsce mogą być zakwalifikowane bądź to jako "polska droga", bądź "odchylenie", bądź też "kontrrewolucja". Pierwsze oznacza warunkową aprobatę, drugie ostrzeżenie lub potępienie, wszelako bez uciekania się do ostatecznych form nacisku, trzecie - interwencję.

Co możemy uczynić, by uniknąć tej ostatecznej ewentualności?

Wydaje się, że muszą tu zostać spełnione przynajmniej dwa podstawowe warunki.

Ostateczną i nieprzekraczalną granicę ustępstw radzieckich wyznaczają niewątpliwie radzieckie vitalne interesy państwowe - polityczne, militarne, ekonomiczne. Ani ich bliższego charakteru, ani zakresu sprzeczyć tu nie potrafimy, choć tak wyraźnie zdajemy sobie sprawę z ich istnienia i wagi.

Pierwszym podstawowym warunkiem, który może wpłynąć na opcję nieinterwencji jest więc istnienie w Polsce dostatecznie szerokich i reprezentatywnych kręgów społecznych gotowych autentycznie respektować vitalne interesy radzieckie w Polsce. Dawałoby to gwarancję, bądź przynajmniej stwarzało wyraźną szansę, że rozwój wydarzeń w Polsce nie potoczy się w kierunku oaskowitego "oderwania się" od ZSRR, lecz zatrzyma się na pewnym możliwym do zaakceptowania szczeblu.

Mówiąc z brutalną prostotą: okazania takiej gotowości należałoby oczekiwać od wszystkich liczących się ośrodków opozycji polskiej, jeśli pragnie ona uprawiać realną politykę w realnych warunkach.

Chcę być dobrze zrozumiany: nie nawożę do jakiegoś płytkiego kamuflażu politycznego, do okolicznościowej deklaracji intencji. Myślę po prostu, że prawdziwą politykę można uprawiać tylko wówczas, gdy się myśli realnie. Polska była sąsiadem Rosji, jest sąsiadem Rosji i będzie sąsiadem Rosji. Wszelka realistyczna koncepcja polityczna musi ten oczywisty fakt czynić swym punktem wyjścia. Komunizm resentymenty lub pamięć o tragicznych doświadczeniach przeszłości przesłaniają deszczętnie ową prostą prawdę - ten niech raczej uprawia działalność polityczną w Nowej Zelandii lub Peru.

Konieczność zatem. Ale przecież nie wyłącznie. Osobiście sądzę, że płytką naiwnością polityczną jest przekonanie, iż na związku z ZSRR Polska wyłącznie traci. Chciałbym tu wskazać choćby tylko na dwie sprawy.

Nie wiemy, jaki jest stan faktyczny naszych stosunków gospodarczych z ZSRR. Aura tajemnicy sprzyja domniemaniu, że Polska jest tu krajem eksploatowanym. Być może. Wydaje się jednak możliwe - i to z korzyścią dla obu krajów - takie ułożenie stosunków wzajemnych by ZSRR i rynek radziecki stał się dla nas potężnym źródłem koniunktury gospodarczej. Gospodarka Polski może być

komplementarna w stosunku do radzieckiej. To jest przynajmniej możliwe. Natomiast jest wysoce prawdopodobne, że gospodarka polska nie będzie ani komplementarna ani konkurencyjna wobec krajów Zachodu. Dziś nie myślimy jeszcze w tych kategoriach. Jutro może będziemy musieli to czynić.

Drugi punkt dotyczy kultury. Nasza obecność na rynku kulturalnym radzieckim jest nieporównywalna z wpływami kultury polskiej w jakimkolwiek innym rejonie świata. Może nas cieszyć sukces teatru polskiego w Paryżu czy polskiej książki w USA, lecz są to sprawy o absolutnie marginalnym znaczeniu dla życia kulturalnego tych krajów. W ZSRR natomiast obecność polskiej kultury ma wagę rzeczywistą. I jeśli nawet jest to sytuacja przejściowa - prędzej czy później ten wielki kraj zacznie czerpać bezpośrednio z głównych źródeł kultury światowej - pozostawi ona jednak trwałe ślady w radzieckiej świadomości społecznej. Inaczej szacuje się tych, w których widzi się swych, choćby i byłych, preceptorów kulturowych, niż tych, w których dostrzega się jedynie kulturowych pententów i komiwojażerów, zachwalających z uporem zgrzebne wyroby swego rękodziela. Nie idzie tu bynajmniej o leczenie jakichś polskich kompleksów, lecz o prosty fakt, że sprawy kultury i sprawy polityki są bardziej ze sobą związane niż się na ogół sądzi. Bilansowanie wpływów własnej kultury jest częścią prakseologii politycznej.

Reasumując: nie sądzę, by relację Polska - ZSRR należało rozpatrywać wyłącznie w kategoriach geopolitycznej konieczności. Czy nie zawiera się w tej relacji szansa rzeczywistej realizacji aktualnych i historycznych interesów naszego narodu? Cto pytanie, które uważam za jeden z naczelnych problemów polskiej współczesnej myśli politycznej. W przemyśleniu tego problemu upatruję wielkie zadanie intelektualne dla myśli niezależnej. Zadanie kształtowania realnej, a nie wydumanej i skłębionej z barwnych żatek przeszłości, współczesnej polskiej doktryny politycznej.

## 4.

Przejdźmy do drugiego warunku.

W prasie niezależnej używa się często terminu "finlandyzacja", jako określenia postulowanego modelu stosunków Polska - ZSRR. Wzięty dosłownie termin ten oznaczałby: 1. stan zależności Polski od ZSRR w sferze stosunków międzynarodowych oraz w płaszczyźnie



nie militarnej; 2. oparcie wzajemnych stosunków ekonomicznych na zasadach czysto "handlowych"; 3. niezależność Polski w zakresie kształtowania swego ustroju wewnętrznego aż do modelu demokracji wielopartyjnej włącznie.

Punkt pierwszy nie budzi zastrzeżeń z perspektywy przywódców radzieckich. Sądzę, że i punkt drugi byłby dla nich możliwy do przyjęcia: ewentualne straty wynikłe z ekonomicznej niezależności Polski zrekompensowałyby zapewne bardziej dynamiczny rozwój naszej zreformowanej gospodarki i możliwość wykonywania przez nią - w granicach swoich możliwości - tych zadań, do których tak gorąco nawołują Ecksjanie kapitalistów Zachodu. Tak, jak to czyni dziś na mniejszą skalę Finlandia, że na tym nie wychodząc.

Mniej jasno przedstawia się natomiast punkt trzeci.

Wydaje się, że próba ukonstytuowania jakiegokolwiek formy demokracji wielopartyjnej byłaby w danej chwili w oczach radzieckich: 1. bezpośrednią groźbą dla sytuacji wewnątrz bloku i samego ZSRR; 2. niedopuszczalnym regresem historycznym, odwróceniem trendu rozwojowego, przypięczętowanego autorytetem Lenina i 60-letnią praktyką ustroju radzieckiego - słowem byłaby "kontrrewolucją".

Prawdopodobieństwo takiej reakcji radzieckiej stawia nas w wyjątkowo trudnej sytuacji: z jednej strony bowiem niezdołność PZPR do uporania się z problemami kraju jest coraz oczywistsza, z drugiej - utrzymanie w jakiejś formie i postaci zasady władzy monopartyjnej wydaje się być warunkiem zewnętrznej konieczności, Prawdziwa kwadratura koła.

Nie tu miejsce na analizę rozwiązań; ogólnie jedynie powiemy, że widzieliśmy je w wypracowaniu jakiegoś szczególnego modus vivendi autentycznych sił społecznych z partią. Modus vivendi umożliwiający realny udział sił społecznych w rozwiązywaniu problemów kraju bez naruszania formalnych podstaw istniejącej struktury ustrojowej.

Nie oznacza to bynajmniej żadnej idyllicznej "treuga dei", lecz raczej stan ciągłego nacisku i "przepierania się" między społeczeństwem a partią. Stan walki, lecz nie wojny. Walki, ale też współpracy i współdziałania. Model podobnej sytuacji zaczął zarysowywać się w okresie wizyty Jana Pawła II-go w Polsce, kiedy to dcażąc do realnej współpracy Kościoła i państwa.

Sądzę, że zdolność akceptacji przez radzieckich przywódców zmian zdążających w takim kierunku i dokonywanych w taki sposób będzie tym większa, im lepiej będzie spełniony warunek pierwszy:

szerokiej gotowości społecznej do realnej współpracy z ZSRR.

Taka - jak sądzę - jest granica, do której możemy obecnie posuwać się z pewnym marginesem bezpieczeństwa.

## 5.

Raz jeszcze chciałbym być dobrze zrozumiany: nie propaguję żadnej "polityki ugody" z ZSRR, ale wyłącznie politykę realiów. Oto jak ją rozumiem:

1. rozszerzenie strefy wewnętrznej niezależności jest dziś dla nas koniecznością. Alternatywą może być jedynie stopniowe pograżanie się w chaos lub dramatyczny wstrząs społeczny;
2. jeśli ZSRR zrozumie tę konieczność i zaakceptuje rzeczywiste poszerzenie swobody życia społecznego, kulturalnego, religijnego i gospodarczego w Polsce - zorganizowane społeczeństwo polskie powinno okazać autentyczną gotowość do respektowania w Polsce podstawowych radzieckich interesów państwowych i faktycznego ograniczenia - hic et nunc - swej suwerenności państwowej tak, jak tego wymaga obecna sytuacja historyczna;

3. w interesie ZSRR leży Polska stabilna i spokojna, w interesie naszym leży Polska o szerszej niż dotąd niezależności wewnętrznej, w interesie wspólnym - Polska silna gospodarczo i częściowo komplementarna wobec gospodarki radzieckiej. Oto jasna podstawa wzajemnej "milczącej ugody" i polityki realiów.

Nie jest to polityka, jaką można prowadzić w zaciszu gabinetów. Postulat Stefana Kisielewskiego /"Res Publica" nr 1, "Czy geopolityka straciła znaczenie?"/, by oboje starała się bezpośrednio dotrzeć do Rosjan, wydaje mi się daleki od wszelkiego realizmu. Żadnych rozmów nie będzie. Dziś - i długo jeszcze - sytuacja taka nie jest po prostu psychologicznie możliwa. Nie sądzę zresztą, by tego rodzaju "dyplomatyczne" próby określania stosunków z ZSRR były konieczne a nawet celowe. Rozmowa składa się ze słów, a słowa łatwo roznosi wiatr. Traktat pisze się na papierze, a papier jest materiałem łatwopalnym. Nie idzie o wzajemne deklaracje, ale o fakty i czyny. Nie w bezpośrednich kontaktach z Rosjanami, lecz w przewidywaniu i kształtowaniu ich reakcji na pozycję i ruch przemian w Polsce leży dziś jedyna realna możliwość politycznego "dialogu" z Rosją.

Jeśli ma to być dialog udany, trzeba jasno określić jego po-

zycje wyjściowe. Naszym narodowym obowiązkiem nr 1 jest zachowanie swej narodowej tożsamości. Nie możemy cofnąć się z tego szczebla duchowej i społecznej niezależności, który już osiągnęliśmy. I nie możemy przestać rozwijać jej nadal. Jedyne co możemy, to czynić to ostrożnie. Ze swej strony ZSRR może tę sytuację odrzucić lub zaakceptować. Następstwem odrzucenia będzie interwencja ze wszystkimi jej konsekwencjami. Następstwem akceptacji będzie wzmocnienie w Polsce wpływu i znaczenia tych, cc uważają, że ze Związkiem Radzieckim "da się żyć", a w dalszej perspektywie - rozwój autentycznej współpracy między naszymi narodami.

Między Polską a Rosją znów toczy się dziś wielka historyczna gra. My mamy tylko jeden smut w tej grze: wysokość kosztów, jakie przyszłoby Rosjanom płacić za interwencję. I mamy w niej tylko jedną szansę: ostrożność i zdolność wycucia granicy, do jakiej możemy się pchnąć. Ta granica nie jest czymś stałym: określa ją sytuacja międzynarodowa, stan gospodarczy bloku, wreszcie ów klimat polityczny po obu stronach, który może zaostrzyć i wzburzyć nastroje, a może też - cierpliwie i mozolnie - zagodzić resentymenty, hamować impety i rozpraszać podejrzenia. On właśnie, przynajmniej w oświeści, zależy od nas samych, od mądrości naszych zbiorowych zachowań.

## 6.

Oto jak sądzę jedyna droga: ostrożności, ale też godności i siły. Co uczynimy, gdy właśnie ona zostanie przed nami zamknięta?

Jest to pytanie tragiczne. Pytanie na które my - nie mamy odpowiedzi. Poza tą jedyną może: wiarą w trwałość narodu, dla której giną nieraz pokolenia.

JT

## Geopolityka?

Stefan Kisielewski publikując na tych łamach swoje wątpliwości co do obowiązywania lub nieobowiązywania kryteriów geopolitycznych we współczesnym niezależnym polskim myśleniu politycznym wsadził swoim zwyczajem kij w mrowiak. I można by mu przypisać Bóg wie jaką zasługę z tego tytułu, gdyby swoimi rozważaniami

posunął przy okazji sprawę choć o jeden kruczek naprzód. Niestety stało się inaczej. W niedopowiedzeniach Kisielewskiego pojęcie geopolityki sprowadzone zostało do swego dziewiętnastowiecznego znaczenia, a przynajmniej do epoki Teheranu i Jałty i światowego podziału stref wpływów powojennych pomiędzy zwycięskie mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej. Z tego teherańsko-jałtańskiego podziału pozostały - jak wiadomo - realia po stronie sowieckiej, a pobożne życzenia - po amerykańskiej.

Od samego początku zasady mocarstwowej geopolityki traktowane były przez Sowiety jako dynamiczna podstawa do ekspansji. Przez Stany Zjednoczone natomiast jako trwały fundament powojennego układu, jako magiczna niemal formuła, której żelazne przestrzeganie zapewnić miało zachowanie światowego porządku i kontroli nad coraz bardziej niebezpiecznie wzburzoną powierzchnią polityki światowej. Sowiety, zgodnie z logiką swojej filozofii politycznej, przedstawili na nieporządek - i szkusnie! Amerykanie na ustalenia mające służyć utrzymaniu porządku - całkowicie błędnie i nierealistycznie. Przykładem magicznych podstaw polityki amerykańskiej może być choćby słynna sprawa granicy 17 równoleżnika w Wietnamie, Kryła ona w sobie od samego początku tej szalonej wojny nieuchronność amerykańskiej klęski militarnej i politycznej. I od samego początku świetnie zdawali sobie z tego sprawę Rosjanie, a Amerykanie musieli udawać zapomnienie schwytani w pułapkę własnych wzniołych zasad - z jednej, i własnego świętego oburzenia - z drugiej strony.

Wróćmy jednak od razu do tej strefy świata, w której zgodnie z naszym wstępnym stwierdzeniem z ustaleń Jałty i Teheranu pozostały twarde realia. W niej bowiem przyszło nam ostatecznie żyć i poszukiwać rozwiązań dla swojego losu. Gdyby przyjąć poważnie zawalowane konstatacje Kisielewskiego, wynikałoby z nich, iż w określeniu naszych własnych, polskich pozycji w stosunku do zasad geopolityki rodem z Teheranu i Jałty powinniśmy przyjąć kompletnie sbankrutowaną i skutecznie przez Rosjan skompromitowaną postawę amerykańską zamiast tak skutecznie wypróbowanej postawy sowieckiej. Przy znanych realiach mocarstwowej polityki imperialnej ZSRR byłoby to równoznaczne z całkowitą rezygnacją z naszych narodowych aspiracji i interesów na rzecz przyłączenia się do realizacji aspiracji i interesów ZSRR. Ta polityka narodowej abdykacji nie wymagałaby jednak żadnych zmian w stosunku do ak-

tualnego status quo. Per saldo optymalnie realizowana jest ona od trzydziestu pięciu lat przez PZPR i istniejący system polityczny.

Kisielewski myli się głęboko, jeśli mu się wydaje, że to, czego jesteśmy aktualnie świadkami w PRL, służy interesom moskiewskim dlatego tylko, że służy naszym interesom narodowym. Wystarczy przypomnieć sposób, w jaki ZSRR wykorzystał wcześniejsze dramatyczne załamania gospodarki i kultury polskiej oraz związane z nimi manewry polityczne rządzącego Polską obozu politycznego. Machiawelizm rozumowania Kisielewskiego jest zbyt naiwny, żeby mógł się nam nabrać ktokolwiek, a specjalnie ZSRR - kiedy to Kisielewski daje do zrozumienia, że powrót do sprawnego zarządzania Polską, a szczególnie jej gospodarką, leży w interesie ZSRR, gdyż leży w naszym polskim interesie. Jest akurat odwrotnie. Każdy, najmniejszy nawet wzrost sprawności gospodarki narodowej w Polsce oznaczałby przynajmniej względny wzrost jej niezależności od gospodarki ZSRR ze wszystkimi konsekwencjami takiej względnej nawet niezależności w sferze polityki, kultury, ekspresji narodowych aspiracji i możliwości. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że nie to jest celem sowieckiej polityki imperialnej i do wyjątkowo szkodliwych złudzeń należy przekonanie, iż ZSRR jest w jakimkolwiek stopniu zainteresowany w usprawnieniu jako takim funkcjonowania w PRL modelu tzw. socjalizmu.

Także i dlatego więc - wbrew sugestiom zawartym w podtekstach rozumowania Kisielewskiego - nie jest dla nas możliwe zaakceptowanie sowieckiej wykładni sytuacji geopolitycznej, w jaką jesteśmy uwikłani. Natomiast konieczne jest przyjęcie sowieckiego podejścia do problematyki geopolitycznej jako sprawdzonego i obiecującego postawienia na procesy dynamiki zachodzące we współczesnym świecie. Dodadź trzeba, że z tego samego powodu amerykańskie i zachodnioeuropejskie wykładnie naszej sytuacji geopolitycznej, podtrzymujące de facto jedynie ducha Teheranu i Jałty w ramach tzw. realpolitik, są dla nas równie nie do przyjęcia.

Z rozważań Kisielewskiego wynika się przesądzenie w kluczowej dla nas sprawie zjednoczenia Niemiec. Wydaje się, że istnieją przynajmniej dwa teoretyczne modele takiego zjednoczenia. Jeden z nich można by nazwać Wehner - Brandt i jest to model ściśle związany z realizacją marzeń o wielkich socjalistycznych Niemczech, opartych na zasadach wewnętrznej demokracji i wclności politycznej. Włazałby się on z koncepcją neutralizacji zjednoczonych

Niemiec, rozwiązania NATO i Układu Warszawskiego, jednym słowem ogólnoeuropejskiej socjaldemokratycznej sielanki z takimi postaciami, jak Anthony Benn w Anglii i Mitterand we Francji w dalszych rolach głównych. Model ten zawiera w sobie wyeliminowanie aktywnej polityki amerykańskiej w kontynentu europejskiego, a także bezpośredniej amerykańskiej obecności militarnej na naszym kontynencie.

Drugi model zjednoczenia Niemiec można by określić kryptonimem Strauss. Jest to model prawicowo-nacjonalistyczny, tradycjonalistyczny, potencjalnie znacznie bliższy sercu władców na Kremlu niż model socjaldemokratyczny. I byłby to model zapewne także znacznie bliższy szansy na zrealizowanie, gdyby nie zawierał on dwóch warunków nie do przyjęcia. Jednym z nich jest zagwarantowanie bezpieczeństwa nowych wielkich Niemiec przez przyznanie im prawa do posiadania własnej "force de frappe", bez której żaden wyobrażalny niezależny rząd Republiki Federalnej nie zdecydowałby się na dobrowolne wyjście spod amerykańskiego parasola atomowego. Warunek ten jest zresztą nie do przyjęcia także dla Stanów Zjednoczonych i europejskich partnerów RFN, szczególnie dla Francji. Musiałoby więc nastąpić całkowite załamanie zachodniego systemu militarno-politycznego, żeby stał się on możliwy do zrealizowania, względnie musiałoby nastąpić dramatyczny krach ekonomiczny systemu EWG, stwarzający przesłanki dla poszukiwania rozpaczliwych dróg wyjścia z sytuacji.

Drugim z tych warunków jest wystąpienie RFN z Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i wycofanie się z systemu instytucji europejskich stworzonych dla stopniowej ekonomicznej i politycznej integracji Europy zachodniej. Nie jest to wprawdzie całkowicie niewyobrażalne, ale nadal - mimo pogłębiającego się kryzysu gospodarczego - mać prawdopodobne. Suma realnych korzyści i perspektyw ctwieranych przed Niemcami przez przejście na partnerstwo w stosunku do ZSRR musiałaby wówczas zaprezentować się jako prawdziwie obiecująca alternatywa wobec tradycyjnych już powiązań RFN z systemem świata zachodniego. Przekracza to, oczywiście, zdolności oferty, jaką ZSRR mógłby ze swojej strony zaproponować. Sprawa zjednoczenia Niemiec pozostanie więc najprawdopodobniej nadal w sferze wielkiej gry politycznej zarówno Moskwy, jak i Bonn, nie przybliżając się przez to ani na jotę do jakiegoś rozwiązania, a zachowując równocześnie swoją nieocenioną szantażową wartość.

Przesądzenie bliżkości zjednoczenia Niemiec jest równie bezpodstawne, jak potraktowanie nieprzerwanych manewrów zbrojeniowo-rozbrojeniowych ZSRR i świata zachodniego jako zapowiedzi zbliżenia się do otwartej konfrontacji i do wojny. Obsesyjność tego motywu w polskim myśleniu politycznym świadczy o urazowym charakterze całej naszej współczesnej kultury politycznej.

Wreszcie można by - kompromisowo - zaproponować w tej sprawie narzucający się aktualnie sam przez się test. Właśnie osiąga swoje apogeum wielka gra Moskwy o utracenie atlantyckich planów modernizacji rakiet średniego zasięgu na kontynencie europejskim w celu zrównoważenia sowieckiej przewagi na tym polu wyrażanej w rozbudowie systemu rakiet trójgłowicowych typu SS 20. Jeśli gra ta miałaby się powieść i na grudniowej konferencji ministrów obrony NATO nie osiągnięto by porozumienia co do planowanej modernizacji, prawdopodobieństwo aktualizacji problemu zjednoczenia Niemiec wzrosłoby wielokrotnie. Natomiast przesądzenie tej sprawy na konferencji grudniowej odsuwa jakiegokolwiek niebezpieczeństwo powrotu do "ducha Rapallo", czy też paktu Ribbentrop-Mołotow - w nieokreśloną przyszłość i raczej mniej dla nas groźne rejonu prawdopodobieństwa.

Tym samym także i ten oślny rozumowania Kisielewskiego dotyczący rzeczywistości geopolitycznej współczesnej Polski wydaje się trudny do utrzymania.

W ogóle okazuje się, że przy bliższej analizie z tradycyjnego pojęcia geopolityki pozostaje naprawdę ważny tylko drugi jego człon: polityka. Geografia nabiera i traci znaczenie w geopolityce ze względu na wyznaczający jej rolę kontekst polityczny. Bliskość w znaczeniu geograficznym wiele utraciła na swojej politycznej wymowie. Radzieckie pociski międzykontynentalne mogą wielokrotnie szybciej dolecieć do Nowego Jorku i Los Angeles, aniżeli radzieckie czołgi dojechać do Warszawy. W rozumieniu strategicznym bynajmniej nie znajdujemy się bliżej ZSRR niż Stany Zjednoczone. Natomiast politycznie jesteśmy po prostu podporządkowani ZSRR i włączeni do jego imperialnych aktywów - za pełną aprobatą tzw. świata zachodniego i w ramach dwubiegunowej geopolityki mocarstw na naszym kontynencie - ostatecznie tylko jednak dlatego, że byliśmy zbyt ślabi na to, żeby się temu przeciwstawić. Zmiana tej pozycji, przyrost naszych zdolności do wyrażania i obrony naszych narodowych aspiracji i interesów nie

leży przecież w geografii, ale jak i zawsze przedtem w politycznych zdolnościach do działania oraz wykorzystywania dla swoich celów całego układu stosunków międzynarodowych.

Układ imperialnej dominacji sowieckiej, w którym pozostajemy pozerne zamknięci, stanowi tylko względnie izolowany system wmontowany w szersze układy światowe i połączający z nimi w coraz ściślejszej współzależności. Kierunki i stopnie tej współzależności nie są jednoznacznie określone, ani jednostronnie kontrolowane przez Kreml. Stanowią one zawsze wypadkową politycznych i gospodarczych interakcji w układach światowych.

Jakie rozmiary osiągnąć może względność siły podmiotów działających na współczesnej arenie światowej prześledzić najlepiej na przykładzie Palestyńczyków. To jedno z najmniejszych plemion arabskich, pozbawione nie tylko własnej państwowości, ale nawet terytorium narodowe, żyjące dziś w rozpraszaniu w diasporze - okazuje się w istotny sposób zdolne do współkształtowania polityki supermocarstw w upartym dążeniu do swojej niepodległości. I to nie tylko ze względu na swoje położenie w kluczowym rejonowym regionie świata arabskiego, ale przede wszystkim w następstwie nieustępliwej i upartej walki na forum międzynarodowym o uznanie swoich praw i o pozyskanie solidarności wpływowych, choć niekiedy nieznacznie potężnych pod względem militarnym sił w tzw. trzecim świecie. Wszystko to dokonuje się przy tym pomimo ucieknięcia się przez Palestyńczyków w ich walce do środków delikatnie mówiąc trudnych do przyjęcia nawet dla ich sympatyków i sojuszników. Jednak mimo braku atrybutów nie tylko własnej państwowości, ale nawet realnego istnienia narodowego, Palestyńczycy okazali się zdolni do w pełni podmiotowego działania na arenie międzynarodowej w poczuciu wiarygodnego zaplecza stanu świadomości narodowej swoich współplemieńców.

Powszechnie przyjmowane jako zgęśla fatalne i obwiniane chętnie za wszystko tzw. geopolityczne położenie Polski kryje w sobie paradoksalnie nie tylko pasywa z punktu widzenia naszego interesu narodowego. Polska leży w niewralgicznym punkcie Europy na obszarze potencjalnej konfrontacji obu obozów. W zrozumiałym dążeniu do jej uniknięcia zarówno ZSRR, jak i w nie mniejszym stopniu Stany Zjednoczone i Europa zachodnia z Republiką Federalną na czele wprost trzęsą się ze strachu przed jakimkolwiek zakłóceniem równowagi właśnie w tym miejscu. Widmo destabilizacji sytuacji w Polsce, kraju trzydziestopięciomilionowym, ciąży zko-



wrogo nad gabinetami politycznymi wschodu i zachodu. Te owe widmo otwiera nam stale nowe możliwości kredytowe na zachodzie mimo rozpaczliwego uzupełnienia stanu gospodarki narodowej.

Inne widmo, widmo interwencji sowieckiej w Polsce, jako rzekomo nieuchronnego następstwa każdej takiej destabilizacji, spędza serce z powiek jednak pezetperowcom jak liberałom, socjaldemokratom, a szczególnie spadkobiercom endecji w wątpliwym współzawodnictwie strachu przed "nieobliczalnością politycznych zachowań" Polaków. I o ile ten strach ze strony uczestników systemu consensus na kontynencie europejskim, który sparaliżował wszelkie aspiracje narodów wschodnioeuropejskich poddając je sowieckiej dominacji, jest potencjalnym źródłem naszej siły i możliwości politycznych, o tyle ten drugi strach, polski strach przed interwencją, odbiera nam wszelkie możliwości nie tylko politycznego działania, ale i chłodnego politycznego myślenia.

Na początek jest on ugruntowany na mocnych i trzeźwych podstawach. Wypadki na Węgrzech w 1956 i w Czechosłowacji w 1968 roku wykazały, że ZSRR nie toleruje żadnych, najsłabszych nawet prób politycznego wyartykułowania narodowych aspiracji i interesów w swoim obrębie. Jednak, po pierwsze było tak we wszystkich znanych dotychczas sytuacjach kryzysowych tylko dlatego, że ryzyko ze strony interwentów było minimalne. ZSRR mógł być pewien, że zarówno Stany Zjednoczone, jak i cały świat zachodni, będą skrupulatnie przestrzegać obłądnej logiki geopolitycznej teherańskiej-jaltańskiej i nie zareagują na wydarzenia wewnątrz obozu sowieckiego, skoro nie są zdolne do reakcji nawet na wypadki jawnego naruszania przez ZSRR zasad geopolityki mocarstwowej poza tym obszarem. Po wtóre miejscowe ryzyko interwencji było stosunkowo minimalne. Kraje oba niewielkie i strategicznie marginalne, a także - co może najistotniejsze - o specyficznej tradycji politycznej, specyficznych cechach narodowej psychiki. Warto przy tym pamiętać, że już w Czechosłowacji niepewność ZSRR była tak dalece posunięta, że uznano za konieczne stworzenie fasady interwencji zbrojowej całego Układu Warszawskiego. Użyto przy tym środków militarnych zupełnie niewspółmiernych do wyobraźalnych konieczności, środków mających z miejsca sterroryzować i sparaliżować cały zaatakowany kraj, odebrać mu wszelką wolę walki.

A wszystko to było dawno, dawno temu, w zupełnie odmiennej jeszcze sytuacji światowej i zupełnie odmiennej sytuacji wewnątrz

ZSRR i wewnątrz sowieckiego bloku, a także w światowym obozie komunistycznym. Nikt nie słyszał nawet jeszcze wówczas o euro-komunizmie. W 1956 roku, kiedy rozgrywały się wypadki na Węgrzech, Francja i Anglia podjęły słynną wyprawę suezką, ostatnią wielką grę kolonialną. W 1968 roku, podczas wypadków w Czechosłowacji, toczyła się daleko już zasawiana wielka gra o normalizację stosunków z ZSRR i blokiem wschodnim prowadzona przez Bonn. Był to w ogóle okres trwania wojny wietnamskiej i początków epoki tzw. odprężenia, kiedy współpraca gospodarcza ZSRR i całego bloku wschodniego ze światem kapitalistycznym znajdowała się zaledwie w zarodku, kiedy nikomu nie śniła by się nawet wielkość kwot importowych siarna amerykańskiego, które cały obóz socjalistyczny zmuszony jest regularnie co roku sprowadzać, żeby się elementarnie wyżywić.

Przyjmowanie tych faktów dziś za podstawę, jako pewników polskiego myślenia politycznego, stanowi niewybaczalny błąd i prowadzi do sparaliżowania polskiego niezależnego myślenia politycznego w chwili, kiedy staje się ono bardziej potrzebne niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat. W tym powszechnym współzawodnictwie strachu, paraliżującym wolę jakiegokolwiek działania politycznego, tylko ten może na cokolwiek liczyć i znaleźć rozwiązanie sytuacji, kto boi się choć cokolwiek mniej od innych. Cały teatr polityki światowej przynosi codziennie rozpalicze dowody na poparciu tej tezy. W dodatku w naszym przypadku bierne przypatrywanie się, jak kraj i społeczeństwo stacza się ku przepaści, oznacza wybór najniebezpieczniejszej alternatywy. Taką rolę uniwersalnego ożynnika paraliżującego i uniwersalnego alibi zarazem dla bierności i oportunistów odgrywa w naszych warunkach samo pojęcie geopolityki, nie poddawane krytycznej analizie i precyzyjnie świadomie wmontowywane w emocjonalną strukturę polskiego społeczeństwa. Nie tylko nie służy ono uczeniu politycznego realizmu, ale wytwarza w świadomości społecznej magiczne kredowe koło, którego przekamanie stanie się tak czy owak w pewnej chwili nieuchronne, tyle że dokona się w odruchu rzcypaczy, żywiołowo i bez jakiegokolwiek sensownej politycznej myśli przewodniej, a także - być może - w najmniej odpowiednim momencie jeśli chodzi o szerszą sytuację polityczną.

Wkroczyliśmy właśnie w okres pontyfikatu polskiego papieża. Nie zmienia to wprawdzie naszego położenia geograficznego, ale w istotny sposób zmienia naszą sytuację polityczną. Wielomilionowa Polonia zagraniczna, szczególnie działająca w USA zyskała

nowy czynnik swojej integracji i rozwoju swojej świadomości narodowej. Znacznie liczebnie słabsze lobby żydowskie w Stanach skutecznie steruje całą polityką amerykańską w kwestiach Bliskiego Wschodu i w stosunku do Izraela. Jakiż potężny wpływ mogłoby mieć polskie lobby w Stanach Zjednoczonych, gdyby tylko środowiska emigracyjne, a specjalnie powojenna ich część, zdecydowały się na politycznie dojrzałe zakwestionowanie realiów geopolityki rodem z Teheranu i Jałty w interpretacji ZSRR, i podjęły działania na bardzo szeroki skalę światową dla podważenia wynikającego z nich consensus między wschodem i zachodem w duchu co najmniej takiej dynamiki, jaką reprezentuje w tej sprawie od samego początku ZSRR. Jakiż potężne możliwości oddziaływania na politykę amerykańską i całego świata zachodniego miałyby takie sprawne i świadomie działające lobby, jak bardzo mogłoby one zakwestionować panujące dotychczas reguły gry dyktowane jednostronnie przez Kreml. Można by spytać w tym miejscu na przykład, co zrobiono dotychczas, żeby zmieścić polityczne nastawienie wobec naszych aspiracji i interesów w tzw. "trzecim świecie", który może okazać się dla nas cenniejszym sojusznikiem aniżeli wszyscy łącznie stany zachodu razem wzięci, troszczący się wyłącznie o własne interesy i swoją klientelę polityczną. Rzesznikiem zasad moralnych i ideowych w polityce światowej są dziś raczej nowe kraje trzeciego świata, aniżeli stare, wylaniące i ideowo już bezżębne demokracje zachodu.

Warunkiem jednak powstania takiego zdolnego do działania polskiego lobby w świecie zachodnim, które mogłoby stać się substytutem podmiotowości politycznej spętanego narodu, jest - poza wszystkim innym - klimat polityczny panujący w samym kraju i stan polityczno-moralny świadomości społeczeństwa. Wymagałoby to przecież przełamania fałszywego consensus, które w międzyczasie udało się już wytworzyć między krajami a emigracją, oparte na milczącym przyjęciu status quo jako powszechnie akceptowanej, normalnej sytuacji. Myślenie "geopolityczne" odegrało w wytworzeniu się aktualnego paraliżu kluczową rolę.

Wreszcie - co wydaje się w pewnym sensie sprawą kluczową - dla polityki Kremla w stosunku do Polski niezwykle istotne jest rozoznanie precyzyjnie określonych celów naszych aspiracji i dążeń narodowych. Rosjanie muszą bać się interwencji w Polsce stosownie do ich oceny skutków, jakie musiałyby to wywołać dla ca-

kiej sytuacji światowej. Muszą bardzo precyzyjnie dziś przeprowadzić rachunek strat i zysków, jakie taka decyzja by spowodowała. I jedno jest pewne: taka interwencja na długie lata zdemolowałaby cały gmach polityki sowieckiej i to na wszystkich szczytach. Jego odbudowanie w aktualnym kształcie nie byłoby możliwe. Interwencja w Polsce zupełnie w podobny sposób zdemolowałaby cały gmach polityki zachodniej, szczególnie amerykańskiej i zmusiłaby Stany Zjednoczone do zdemaskowania ich politycznych celów, sneglowała ich ideowe rozdarcie i całą polityczną hipokryzję. Z tym Rosjanie muszą się także zająć liczyć.

Dlatego jest sprawą pierwszorzędnej wagi precyzyjne sartykułowanie ze strony polskiej aspiracji i dążeń, przy założeniu, że sytuacja geograficzna nie może ulec zmianie i że interesy sąsiadów, szczególnie potężnych, muszą być należycie respektowane. Zagrożenie niekontrolowanym wybuchem, nieobliczalną spontaniczną reakcją społeczeństwa na sytuację nie do zniesienia - stanowi dla ZSRR groźbę równie realną lub nawet jeszcze większą aniżeli otwarte wypowiedzenie na pczór trudnych do przyjęcia i prowokacyjnych postulatów. Dlatego ZSRR na przykład uparcie podejmuje próby negocjowania z Chinami i będzie do nich niestrudzenie powracał na wszystkich, dających się przewidzieć etapach rozwoju wzajemnych stosunków. Warto też przy okazji przypomnieć, że położenie wzajemne obu kolosów w sensie geograficznym nie uległo żadnej zmianie, zmieniła się tylko polityka.

Polityka sowiecka w całej swojej historii nigdy nie przekroczyła na dalszą stronę granic optymalnego dla ZSRR modus vivendi. Dlatego też może się poszczycić tak wielkimi sukcesami. Żadna inna narodowa polityka nie gwarantuje skuteczności i dlatego też wymaga wykorzystania maksimum dysponowalnych aktywów, do których w naszym przypadku należy także i nasza polityczna nieobliczalność i skłonność do gwałtownych, masowych reakcji i zrywów. Każdy, kto w naszej nieprzebranej słabości i zależności chciałby nas pozbawić także i tego politycznego aktywów, wyświadcza nie nam usługi polityczne. Nawet PZPR potrafiła już niejednokrotnie dyskutować tę cechę naszego charakteru narodowego dla ugruntowania swojej pozycji w stosunku do wielkiego sąsiada ze Wschodu.

## PRÓBUJĘ PODSUMOWAĆ

LIPIEC 1980

Mój artykuł "Czy geopolityka straciła znaczenia?" w numerze 1-ym "Res Publici" wywołał stosunkowo sporo głosów polemicznych i w kraju, i na emigracji. Stosunkowo, jak na kłopotliwa umiejscowienie tej dyskusji, prowadzonej bądź w Polsce w prasie nieoficjalnej, bądź za granicą w pismach i pismkach słabo albo wcale do kraju nie docierających, czasem nawet zgola w prywatnych listach. W tych warunkach podsumowanie sprawy łatwe nie jest, zwłaszcza, iż niewielu dyskutantów przyjęło moją "hipotezę roboczą" jako bazę dla rozważań, lecz wysuwało hipotezy i propozycje własne, co już oczywiście trudno uznać za uporządkowaną debatę nad moim artykułem. Rzecz jasna w istniejących, anormalnych warunkach wymiany poglądów, trudno również domagać się rygorystycznie takiego tematycznego uporządkowania, wypada się raczej cieszyć, że artykuł, w zamysle "awanturniczy" /jak określił go redaktor "Res Publici"/, czyli prowokujący, odegrał tak czy owak rolę zapładniającą, skłaniając tego lub owego autora do rozważań niecodziennych, choćby nie całkiem na zaproponowany przeze mnie temat. Jest to niewątpliwie zgodne z deklaracją programową "Res Publici" /patrz Nr 1/, gdzie poleca się "analizowanie rozmaitych ewentualności", z podkreśleniem, że "myślenie o polityce zasadniczo różne jest od jej uprawiania".

Wypada jednak przypomnieć moje założenie. Proponowałem mianowicie przeprowadzenie pewnego, oddawna u nas zaniechanego ćwiczenia na tematy geopolityczne, coś w rodzaju rozwiązywania załozonego równania z dwiema niewiadomymi. Ćwiczenie miało charakter redukcyjny, założenia bowiem zredukowane zostały hipotetycznie do dwóch: a/ W sytuacji polityczno-terytorialnej Europy i Polski nie się w ciągu najbliższych dziesięcioleci nie zmieni, jedyne usiłowanie w kierunku zmian to co najwyżej rosyjskie kokietowanie Niemiec mirażem zjednoczenia wzamian za neutralizację /ewentualność zresztą, co podkreśliłem, w zasadzie małe prawdopodobna/, b/ Wobec tego proponuję zastanowienie się, czy w rezultacie epozycyjnych nacisków społeczeństwa polskiego, mogłaby zostać osiągnięta /jako maksymalna możliwość w danych, niezmiennych okolicznościach/, zmiana panujące u nas ustroju, bez naruszania stanu naszej politycznej zależności od Związku Sowieckiego

na terenie międzynarodowym. Jako metodę dopuszczającą nawet kontaktowanie się przedstawicieli autentycznych tendencji polskiego społeczeństwa z czynnikami rasyjckimi bez pośrednictwa polskich komunistów.

Założenia skąpe i jasne, nadające się do precyzyjnych rozważań. Tak by się wydawało, a jednak mało kto chciał, ograniczając się do tych pesymistycznych hipotez /a zakładanie również wariantów najbardziej nawet niekorzystnych jest wszakże w polityce obowiązkiem/ rozważyć postawioną przede mną ewentualność. Najgorzej, gdy ktoś /autor artykułu "Geopolityka"/ wręcz odrzuca zamiar rozwiązywania równania z dwiema niewiadomymi i powiada, że on może na poczekaniu zaproponować piętnaście równań i piętnaście niewiadomych. Oczywiście, fantazjować można znakomicie, ale nie to było tematem proponowanego przede mną ćwiczenia w myślowo-politycznej autodyscyplinie. Szczyt mojej fantazji osiąga ów Autor, gdy daje nam za przykład Palestyńczyków, którzy w beznadziejnej na pozór sytuacji geopolitycznej potrafili zainteresować swoją sprawą cały świat. Typowe oderwanie się od realnej sytuacji: Palestyńczycy znajdują się dziś w newralgicznym, zapalnym punkcie splotu światowych sił i interesów, to właśnie umożliwiła im, podobnie jak Izraelowi, dokonywanie aktów politycznych o globalnym zasięgu, nieproporcjonalnym zgoła do wymiarów samej sprawy. W podobnie newralgicznym, bo zapalnym punkcie świata znajdowała się Polska lat 1938-39, stąd też światowe globalne znaczenie takich czy innych ówczesnych manewrów Backa. Ale założenie, że tego rodzaju kluczowa rola znów, na żyłozenie, powróci nad Wisłę jest czytelnym marzeniem i zmyśleniem, w epoce, gdy nawet mur berliński mało komu w Europie ery atomowej spędza sen z powiek.

Inni dyskutanci wysuwali argument, że skoro Mikołajczykowi nie udało się kiedyś próba dogadania się z Rosją /ZSSR/ z pomocy niekomunistycznych, to ... nikomu się to już nigdy nie uda. Inni przeciwnie, powoływali się na Piłsudskiego, że skoro udało mu się rozwiązać równanie z wieloma niewiadomymi, to ... każdemu się to również uda. Zapominają, że na sukces Piłsudskiego złożył się jedyny w dziejach zbieg wydarzeń wojenno-rewolucyjnych /padło trzech cesarzy/ i że sukces ten o ogromnym, moralnym znaczeniu, konkretnie posłużył Polsce za ledwie na lat dwadzieścia...

Tak więc, mało kto chciał podążyć, choćby na próbę, torem mojej myślowo-metodologicznej propozycji, tak jakby wszyscy spr-

wę ciężącego nad nami za zgodą świata 250-milionowego Związku Socjetyckiego mieli już zakatwioną, "z głowy", pozostawało zaś tylko rozważyć szczegóły ideologiczno-ustrojowe przyszłej Polski, oczywiście wolnej, suwerennej i demokratycznej. A jak ma do niej dojść? To detal. Geopolityka wszakże to rzecz przestarzała? A że geopolityka zdecydowała już dawno o naszym losie i decyduje nadal przez lat 36, że wobec takiej jej dyktatury dialog między jej "zwolennikami" /Giertych, Bromke/ a "przeciwnikami" /Sojusznik, Moczulski/ jest anachroniczny, a jego uczestnicy to postaci z polskiej komedii omyłek - o tym nikt nie chce pamiętać, jak o słoniu niedostrzeganym w menażerii. Jeden Stanisław Stomma, człowiek ze Wschodu, chce jeszcze u nas o kolosie sowieckim pamiętać i śledzić jego reakcję, inni - nie chcą z nim myśleć - odpisali go na chwilowe straty. Na jakiej zasadzie? Tego nikt nie wie.

Miałem jednakże i pewne pociechy z dyskutantów. Herling-Grudziński w paryskiej "Kulturze" zauważył bystrze, że istotą mojego ćwiczenia jest rozważanie, czy Rosja może być normalnym państwem imperialistycznym, w którego sferze wpływów znajdujemy się od lat 200, czy też musi już na zawsze być inną, nową jakością, Związkiem Radzieckim, mocarstwem ideologicznym, które niarozważalnie łączy sprawy geopolityczne z ustrojowymi. Czy - słowem, w określonych warunkach rozwoju sytuacji światowej i konkretyzowania się polskiego operu, Rosja gotowa by była przyznać Polsce status Finlandii, to znaczy przystać na gwarancje geopolityczno-państwowe, a dopuścić niezależność, więc zmianę ustroju, czy też totalizm duchowo-ideologiczny jest warunkiem sine qua non współistnienia czyli "sojuszu". Czy uda się stopniowo i pokojowo podnieść nasz stosunek z Sowietami z rangi podległości właśnie do rangi dobrowolnego sojuszu, czy też jest to tylko mrzonka, utopia - honorowa, ale utopia? I czy należy w ogóle się o nią starać czy też dać za wygraną, uważając, że dla Rosji współność ideologiczno-ustrojowego totalizmu stanowi najdogodniejszy instrument podporządkowywania sobie narodów? Herling słusznie zaznacza, że jest to problem kluczowy, ale przyszłość jego nie przesądza. Ja również jej nie przesądzam, uważam jednak, że, nawet mając pogląd pesymistyczny na możliwość ewolucji Sowietów w tej sprawie, trzeba jednak obmyślać program na każdą sytuację, a także, jak mówi Stomma, ponawiać wciąż propozycję, aby nie mieć sobie niczego do wyrzucenia.

Bądź co bądź wielkiego wyboru nie posiadamy: łatwiej głosić hasło śmiały ustroju bez srywania z Rosją, niż zmienić i unieważnić mapę Europy, czy rzucić pomysł szybkiego rozbitcia Związku Radzieckiego, ewentualnie wazoczęcia III Wojny Światowej, w czym, jak się zdaje, mało kto na świecie stanie dziś po naszej stronie.

Obok Herlinga w istotę mojego hipotetycznego ćwiczenia-równania utrafił autor wyważonego artykułu "Polityka realna - polityka realiów", zamieszczonego w tym numerze "Res Publici". Nazbyt dosłownie jednak potraktował on moją propozycję "rozmów z Rosjanami", wskazując na jej psychologiczną nierealność i niestosowność. Moja to zapewne wina, że owe rozmowy wspominałem ogólnikowo i symbolicznie, co nie zostało właściwie zrozumiane. A nie szło mi przecież o to, aby złapać telefon i dzwonić do Moskwy, lecz o przazwyczajenie pewnego obustronnego a przez lata narosłego tabu, psychologicznego, moralnego, politycznego. Przecież w polityce rozmawia się nawet z diabłem, jeśli jest silny i z każdą grupą, jeśli może być pożyteczna. Rosjanie wiedzą to dobrze, nie od rzeczy będzie im to i z naszej strony przypominać.

Tymczasem rzecz arcyciekawa: właśnie ów mój projekt bezpośrednich rozmów z Rosjanami, wzbudził najwięcej sprzeciwów, a także wręcz zaskoczenie, zgorzelenie, oburzenie i to u ludzi najrozmaitszych, z różnych, najmniej spodziewanych powodów. Sauto analogię z Targowicą /mój Boże, cóż za komplement - wszak to byli potentaci!/, pewien nie anonimowy korespondent z Łodzi zarzucił mi "ciągłoty do przejęcia władzy teraz czy w przyszłości", ksztem wyrzeczenia się postulatów pełnej niepodległości /nie martw się Bracie, władzy nie chcę, a jak mi dasz pełną niepodległość, to jej nie odrzucę/. P. Adam Wojciechowski w "Res Publica" nr 3 zarzuca mi brak narodowej solidarności wobec rządzących komunistów: istotnie, jestem z nimi solidarny w takim stopniu, jak oni ze mną, tj. w niewielkim. Wreszcie emigracyjny autor p. Mikołaj Sawulak /"Odnawa"/ twierdzi, że "sam pomysł podjęcia rozmów nad głową partii... zakrawa na lekceważenie polskiej racji stanu". Autor ten przyjmuje więc i potwierdza tezę komunistów, że tylko oni są depozytariuszami i właściwymi reprezentantami oraz interpretatorami polskiej racji stanu. A zatem poza władzą nikt w Polsce nie ma prawa zajmować się polityką...

Myszę, że wszystkie te reakcje, zaskoczenie czy zgorzelenie, są już rezultatem nieświadomianej zresztą sowietyzacji oraz polskiej autcsowietyzacji. Tak długo wmawiano nam, że pewne rze-



czy są święte, nietykalne, niezmiennalne, że w końcu uwierzyliśmy w to, wieloletnie odwyknięcie od rzeczywistego politycznego działania także zrobiło swoje. Można było z Rosją walczyć, nawet zbrojnie, nawet na własną rękę i bez szans, ale rozmawiać z nią na własną rękę, gdy istnieje polskie, komunistyczne państwo, fi donc, nie wypada, nie uchodzi. Taki się utarł absurd, a skąd on się wziął? Z nieuświadomionego czy uświadomionego niewolnictwa duchowego. Tak!

W istocie jédno jest tylko w tej sprawie rzeczywiste zmartwienie: aby Rosjanie chcieli rozmawiać. To znaczy, aby uznali, że ewentualny a samozwańczy partner do rozmów reprezentuje tak pokaźną polską siłę społeczną, że warto i należy poświęcić mu uwagę. Lecz to już zależy od napięcia i ukierunkowania narastającego w Polsce masowego ruchu sprzeciwu i opozycji. Jeśli naturalnie taki masowy ruch, jako zaplecze samorzutnych inicjatyw politycznych, rzeczywistość narastać będzie, co nie jest jeszcze oazkiem pewna i zależeć może od wielu okoliczności.

I tutaj trzeba powiedzieć coś na temat, o którym wspominałem tylko aluzyjnie, sądząc, żeśmy w tej materii wszyscy ze sobą zgodni: na temat komunistycznego ustroju, w którym żyjemy od lat 36. Ten ustrój bowiem, nie zaś uzależnienie od Rosji w dziedzinie militariów i polityki zagranicznej, uważam za najgroźniejszy dla polskiej tożsamości narodowej. Zaś tylko naród świadomy swej duchowej tożsamości i odrębności starać się może o pełną niepodległość, tylko taki na nią zasłużył. Tymczasem p. Adam Wojciechowski na przykład mówi dużo o władzy politycznej, traktując sprawę formalnie, nie wspomina zaś o społeczno-duchowej TRZECI ustroju komunistycznego, treści, której stopniowe, konsekwentne włączanie różnymi kanałami, od gospodarki aż po kulturę i ideologię, doprowadzić musi do dziesięcioleciach do niwelacyjnej przemiany polskiej osobowości społecznej, do degeneracji i spłaszczenia duchowego, słowem do tego, co nazywamy sowietyzacją.

Nie jesteśmy rusyfikowani, jak to było za czasów carskich, jesteśmy sowietyzowani i to - co najgorsze - własnymi rękami. Ustrój ten bowiem wyłania z siebie nie tylko tych, co mają być zsovietyzowani, lecz - automatycznie - grupę sowietyzującą. Jedni i drudzy to Polacy, jedni a drudzy mogą po paru pokoleniach absolutnie upodobnić się do siebie, w nieświadomości, jaką daje wieloletnie wychowanie pod totalistycznym kloszem, depuszczają-

cym do społecznej świadomości tylko pewne, wyselkocjonowane infornacje, pojęcia, idee. Byt kształtuje świadomość, jeśli nie dziś to jutro, pojutrze, popojutrze, wobec czego trzeba utrzymywać ów byt w stałych, nieruchomych formach i czekać, a wszystko samo się zrobi - tak rozumują komuniści. Ojciec tego uwłaczającego naturze ludzkiej, pesymistycznego poglądu był Stalin, który, dla unieruchomienia bytu i udaremnienia powrotu do jakiegokolwiek przedrewolucyjnych idei, sięgnął do niesłychanego terroru, dziesiątkującego i na długo zastraszającego społeczeństwo. Korzenie jednak tkwią w onnipotencjalnych zapędach i dogmatach "naukowego socjalizmu", sformułowanych z dostatecznie przerażającą otwartością w książkach przede wszystkim Engelsa i Lenina /Marks przysłaniał rzecz i łagodził więszą na pozór "dialektycznością"/.

Samoczynność systemu autoniwelacji jest zabójcza i zabójczo skuteczna. Można przeżyć w Polsce Ludowej 30 lat, nie widząc na oczy Rosjanina, a jednocześnie będąc ewietyzowanym polskimi rękoma, i to przez ludzi, działających częstokroć z pełnym przekonaniem - takie to jest psychologizne perpetuum mobile przymusu, przekształcającego się niepostrzeżenia w dobrowolność a potem w nadgerliwość. Nie jest wszakże Rosjaninem nauczyciel, uczący fałszywej historii, działacz partyjny, organizujący społeczne zniewolenie, cenzor, niszczący kulturę, dziennikarz, rozpowszechniający sowiecką koncepcję sytuacji światowej, policjant, tłumiący wszelkie przejawy niepodległości duchowej i własnego zdania, partyjny przywódca, stawiający na fałszywe elity /do elity dopuszczają się ludzie bez charakteru, gotowych na każdy kompromis, kłamstwo, zaparcie się siebie, bezbłędnie eliminuje się ludzi z charakterem i własnym poglądem/ - tam proces degenerowania społeczeństwa realizuje się rękami Polakami. Rosjanie puścili kiedyś maszynkę w ruch, dali impuls, a potem już rzecz rozgrywa się samoczynnie, realizuje poprzez nieświadomie często działających Polaków - następuje autosowietyzacja, dla wielu ludzi dobrej woli, zbudzonych w dodatku magicznym słowem "socjalizm", wręcz niedostrzegalna, bo wystopniowana, ukryta, maskująca się pięknymi, narodowymi frazesami.

Patryctyzm bowiem, nakazujący uwzględnianie nadrzędnej racji stanu i "pracę organiczną" jest również dla wielu ludzi motywem ich uległości i działania wbrew własnym przekonaniom. Na początku, w 1945, gdy Polska centralna leżała w gruzach, a na pociemniejących Ziemiach Zachodnich wszystko zaczynać trzeba było od początku, różnicę między dyskretnym wówczas jeszcze "budowaniem socjalizmu"

a w ogóle budowaniem jakiegokolwiek Polski, trudno było uchwycić. Wtedy już rozpoczął się proces komunistycznego ubezwłasnowolnienia narodu, tak pod względem politycznym oraz ideowym, jak i gospodarczym. Mimo bardzo opozycyjnego wówczas nastroju całego społeczeństwa, bez względu na "klasową" sytuację, wielu ludzi pracowało z przekonaniem i zapałem, nie zdając sobie jeszcze sprawy z narastającego konfliktu między geopolityczną racją stanu a osobowością społeczno-duchową narodu i biorąc na serio *rozliczne* obietnice reform i rozmaite etapy komunistycznego rządzenia oraz sztuczne zabarwienia zmieniających się kierowniczych ekip. Potem zaś było już dla tych ludzi za późno, jedni dali się wkręcić w partyjną machinę, w rozgrywki ozynowniczych grup nacisku i rywalizujących w reżimie mafii, inni przeżyli tragedię wewnętrznego rozdwojenia, jeszcze inni przystosowali się do panującego zakłamania. Jednocześnie pojawiały się wciąż nowe grupy pokoleniowe, nie znające innego życia, odcięte od zapomnianej historii narodu, a poddawane nieustannej totalitarnej propagandzie. Tym ludziom wszystko co ich otacza wydaje się na swój sposób normalne, nie zdają sobie sprawy z działania wszechobecnej cenzury, nie widzą nawet związku między posłusznym głosowaniem w wyborach, a otaczającą ich rzeczywistością ustrojową - tej nawet prostej sprawy nie potrafiła dotąd społeczność nauczyć uaktywniająca się w połowie lat 70-tych odrodzenia, młodzieżowa opozycja. Wiele też jest cynizmu i politycznego zobojętnienia, ukrytych pod hasłami utylitarne konsumpcyjnymi, wykorzystuje się również możliwości osobistej kariery, wynikające z faktu, że reżim, ogromnie uczulony na wszelki przejaw opozycyjności polityczno-ideowej, przez palce patrzy na następczące się, wobec chaosu gospodarki, możliwości prywatnych korzyści. "Socjalistyczne", zasobne drobnomieszczaństwo rzyknęło i nie jest bynajmniej zainteresowane w próbach zmieniania czy obalania ustroju.

Skomplikowany to zresztą obraz, narastający już i komplikujący się czwarte dziesięciolecie, trudno więc opisać go w paru słowach. Jednym z moralnych narkotyków, stosowanych masowo przez władze, świadomej zanikającej popularności marksizmu /choć marksistowska partia liczy 3 miliony członków!/, oraz wciąż potężnych wpływów kościoła, mimo wyeliminowania go z życia publicznego, jest nieustająca, tyśiąckrotnie przez wszelkie środki przekazu powtarzana motywacja i frazeologia patriotyczna. Obserwując ów wszechobecny lansowany hurra-patriotyzm, nie sposób nie skojarzyć go ze słynnymi słowy

cara Aleksandra I, napisanymi do Wielkiego Księcia Konstantego po utworzeniu Królestwa Kongresowego: "W celu uspokojenia Polaków należy schlebiać ich narodowej miłości własnej. Traktując ich tak, jak obecnie, uozynię z nich Rosjan, tymczasem im zdać się będzie, że są Polakami".

Tak więc, niezbyt wasoło wygląda moim zdaniem postawa i świadomość duchowa dzisiejszego społeczeństwa, nie bardzo widąc kiarunek zdecydowanego operu idacwo-politycznego, jaki chciałaby widzieć opozycja. Nisico inaozej, choć również zawiłkanie przedstawia się sytuacja na terenie czysto gospodarczym. W zasadzie wszelkie w jakiś sposób potrochu udane, zwyoięskie wybuchy społecznego niezadowolenia w Polsce Ludowej miały u podstaw motywy ekonomiczne, a rdzeniem operu okazywały się /zgodnie, o dziwo, z teorią marksistowską/ działania grup robotniczych. Tak było w czerwcu 1956 i w grudniu 1970, takie możliwości rysowały się w czerwcu 1976, czy w lipcu 1980. Stąd też nadzieja niektórych działaczy KOR-u, iż wyzwolenia sił społecznych domagających się reform ustroju, przyjdzie, jak rzekomo zawsze w dziejach nowożytnych, od zmitologizowanej u nas klasy robotniczej. Aby wyjaśnić źródła tego zmitologizowania, sięgnąć trzeba do zapomnianych częstokroć ekolizozności społecznych, wśród jakich zaczęto kształtować i budować nasz system jeszcze w latach 40-ych.

Polska, oswoobodzona od hitlerowców przez Armię Czerwoną w 1944-45 była już, o czym się częste zapomina, jakościowo zupełnie innym krajem, niż Polska przedwojenna. Niemcy w okupowanej Polsce wywłaszczyli i upaństwowili wielki przemysł, na obszarach przyłączonych do Rzeszy wydziedziczyli, w innych cesłabili kmiendństwo, zrujnowali życie miejskie i drobniomieszczanstwo, wymordowali trzy-milionową ludność żydewską. W rezultacie pozostał chłop, niana-ruszczy, a nawet, mimo niemieckich kontyngentów, materialnie wzmocniony, dyktujący ceny i warunki wobec ustania dyktatury miast. Chłop, resztki mieszczanstwa i inteligencji, oraz nieliczna poza Śląskiem "klasa robotnicza", to była Polska w 1945, wobec całkowitej już likwidacji ziemianstwa oraz przyłączenia Ziem Zachodnich, skąd w ogóle znikli wszelcy posiadacze i przedsiębiorcy.

I oto komunistyczni kierownicy organizującego się państwa stanęli przed dylmatem, przed jakim stanął Lenin w roku 1919. Czy postawić na chłopów i tworzyć stopniowo nadbudowę przemysłową, czy też przeciwnie: rzucić hasło odpływu od wsi do miasta i tworzyć

wszehstronny przemysł oraz liczną klasę robotniczą, aby uprawdo- podobnić post factum "rewolucję proletariacką". Bo tutaj nie proletariacki tworzy rewolucję, jak sądził Marks, lecz odwrotnie: rewolucja, dla swoich celów, dla usprawiedliwienia siebie, potrzebuje proletariatu, czyli uprzemysłowienia wszechstronnego, dokonywanego na siłę w warunkach, zwanych kapitalistycznym okrucieństwem.

W Polsce problem ten stanął przed rządzącymi drastycznie jeszcze niż w Rosji, tam bowiem rady robotniczo-żołnierskie rzeczywiście odegrały swoją rolę w przechwyceciu władzy politycznej, u nas <sup>nie miały</sup> przewrót społeczny został wyłącznie zadekretowany z góry. W tej sytuacji nawet tak oddani sprawie i przerażeni Rosją komuniści jak Bierut czy Minc zawahali się, czy zniszczony kraj da radę stworzyć w szybkim czasie i bez czyjejś pomocy przemysł oraz zurbanizowaną klasę robotniczą. Wyrazem tego wahania stał się zapomniany fakt, że Polska Ludowa, już po fałszywych wyborach z roku 1947, przystąpiła do zachodniego planu odbudowy europejskiej ekonomii pod egidą kierowanej przez Amerykanów międzynarodowej kooperacji przemysłowo-rolnej, czy do t.zw. planu Maršalla. Polska i Czechosłowacja przystąpiły, ale - tylko na tydzień. Po paru dniach, pod naciskiem Moskwy, musiały swoje przystąpienie odwołać. I wtedy, w miejsce równomiernego, opartego na międzynarodowym podziale ról, rozwoju rolno-przemysłowego, rozpoczęło się uprzemysłowienie ideologiczne, izolowane, leninowsko-stalinowskie.

Dzisiaj jego znamy: dokonywało się z częściowym zawieszeniem prawa wartości, w oparciu o interwencjonizm państwowy, poparty przymusem i wyrzeczeniami konsumpcyjnymi. Proces ten miał swoje fazy, wzloty i upadki. Utemperowano go nieco po roku 1956, potem rozbudowanie inwestycyjne znów zaczęło rosnąć po roku 1970. Ale rzecz ciekawa: komuniści uwikłali się we własne sidła, bo stworzona przez nich na wyrost klasa robotnicza, przy zaniedbaniu i ogłokoceniu z siły roboczej rolnictwa, okazała się rzeczywiście najdynamiczniejszą politycznie w pewnych okresach grupą społeczną, która przez gwałtowne, krwawe tłumione zrywy wymuszała na rządzącej partii zmiany polityczne czy personalne. Tu przypomnieć wypada Poznań 1956, Nową Hutę 1960, Gdańsk i Szczecin 1970, Radom i Ursus 1976. I etc...

STYCZEŃ 1981

Powyższe wywody moje, zaczęte w lipcu 1980, przerwałem na blisko pół roku ze względów władczych: w Polsce nastąpił bowiem bez-

krwawy przewrót i to z inicjatywy "klasy robotniczej", której autentyczności nie doceniałem, ale z której potencjalnego dynamizmu zdawałem sobie sprawę. Nie sądziłem jednak, iż sprawy pójdą tak szybko i daleko, że elitarny, opozycyjny posiew sugerowany przez "KOR", "ROBICIO", "Ruch Młodej Polski" i inne opozycyjne grupki, podchwycony zostanie w krótkim czasie przez całe społeczeństwo, jednomyślnie zrzucające z siebie trzydziestoletnią patynę sowietystyczną. Społeczeństwo owa wydawało mi się wszakże bezwolne, ogłupione hasłami rzekomego konsumpcjonizmu i zaabsorbowane rosnącymi trudnościami codziennego życia, odpolitycznione wobec coraz zachcianiejszego monopolizmu Partii, skompromitowane masowym, biernym udziałem w pseudowyborach. Tymczasem wszystko nagle się odwróciło: strajki przepędziły ekipę Gierka /jej bezsensowną i prowadzącą do katastrofy działalność scharakteryzowałem w owym artykule z Nr 1 "Res Publiky"/, zmusiły Partię do samokrytyki i do zaaprobowania nowej, potężnej a autentycznej siły społecznej, jaką stanowi wielomilionowy blok niezależnych związków pracowniczych "Solidarność". W dalszej konsekwencji nastąpiła amnestia dla "KOR-u", RMP i innych tego rodzaju ugrupowań /z wyjątkiem "KPN", o czym dalej/, uaktywnienie się wielu środowisk nierobotniczych, tak inteligentkich jak i wiejskich, ujawnienie i złagodzenie cenzury oraz tolerancja wobec spontanicznie powstających pism nieoficjalnych, wreszcie powrót Kościółka do otwartego życia publicznego i do środków masowego przekazu, także uaktywnienie się Sejmu i <sup>innych lub bardziej</sup> innych ciał przedstawicielskich. Olbrzymie to przemiany a napewno wobec kryzysu Partii i powstałej próżni politycznej oraz zamętu gospodarczego, płodne w dalsze ustrojowe czy modelowe konsekwencje, jakie nastąpią.

Kto sprawił to wszystko? Oczywiście, siłą napędową stał się zaraźliwy strajk górników, odważnie a zrećźnie pokierowany przez Lecha Wałęsę, lecz na ostatek stał się narodowego zrywu złożony się napewno dużo przez wiele lat działających czynników: autorytet Kościółka i coraz silniej się aktywizująca opozycyjna postawa części kleru, wolaż nie socjalistyczna struktura wsi i rosnący opór chłopski, niezadowolone inteligencji twórczej i naukowej, coraz bardziej podatnej na sugestie "KOR-u", "NOWEJ", "DIP-u" etc., rozszerzanie się idei wolnych związków zawodowych /"Robotnik", Świątek itp./ - wszystko to odegrało swoją rolę. Zaś próbą generalną, pokazem bezsilności władz i zna-

czenia solidarności narodowej była triumfalna podróż polska Papieża - bez niej może nie byłoby sierpnia 1980.

Lecz w tej chwili nie chodzi mi o szczegółową diagnozę i opis wydarzeń, którymi żyje cała Polska - zajmą się tym napewno i niejednokrotnie fachowi kronikarze. Wracam do mojego problemu geopolitycznego. I sądzę, że w okresie ostatniego półrocza, mimo nie dostatecznego przewidywania z mojej strony tego wazyetkiego co się stało, problem zmiany polskiego życia wewnętrznego bez naruszenia stosunków zewnętrznych stał się PALĄCĄ AKTUALNY. Wypadki tożnęły węć nowe życie, ze sfery teoretycznych rozważań przeniósł się w narodowy konkret, co zostało nawet uznane przez niechętna raczej problematyce geopolitycznej środowisko autorów, zgrupowanych wokół paryskiej "Kultury" /sam w niej również piszę, ale raczej w prawach gościa i przedwojennego znajomego/.

Środowisko to, choć pod względem czysto politycznym mało wpływowe, ma jednakże swoje charakterystyczne i specjalne miejsce w toczącej się ponad granicami i kontynentami, abstrakcyjnej nieco i maniackalnej, lecz mającej i swą wagę polskiej dyskusji "orientacyjnej", zahaczającej o geopolitykę w sposób nieunikniony. Jako reprezentatywne dla postawy tego środowiska zacytowałbym dwa polemiczujące z moją geopolityką eseje: prof. Wiktora Sukienickiego "O geopolityce, Republice, nacjonalnych patologiach i świętym Giedryciu" /"Kultura" 7-8, 1980/, oraz prof. Stanisława Świaniewicza "Refleksje geopolityczne" /"Zeszyty Historyczne" Nr 53, Paryż 1980/.

Obaj profesorowie są podobni w swym małym zainteresowaniu dla obecnej, bądź co bądź 35 lat już istniejącej, satelickiej państwowości polskiej. Uważają ją za twór sztuczny, sowiecki, przeniesienie Polski na Zachód do centrum Europy i izolowanie jej od dawnych kresowych mniejszości narodowych zgoła ich nie cieszy, stale bowiem mają w myślach i uczuciach oraz wspomnieniach ów tygiel narodów, jakim były przedwojenne Kresy, a zwłaszcza Wileńszczyzna. Serdeczną uwagę skupiają na Litwinach, Białorusinach, Ukraińcach, utopiłni nieco dziedzice idei jagiellońskich wołają licząc, że narody te usamodzielnia się i zlikwidują pojęcie Związku Radzieckiego jako wislonarodowego rosyjskiego imperium.

Nic dziwnego, że przy takim kolorycie politycznego odczuwania, państwowe problemy dzisiejszej Polski oraz przywiązanie do Polski w obecnych granicach, jakie po 35 latach stabilizacyjnego

trwania musiało się tak czy owak w nowych pokoleniach wytworzyć, są te sprawy dla moich Polemistów dosyć obce - zresztą z daleka niebardzo je widać. Skłonni są oni natomiast skupiać uwagę na problemach peryferyjnych, jak mniejszość litewska w Sejnach, białoruska w Białostocczyźnie, czy rozproszone po Pomorzu grupy Łemków, próbujących zresztą powrócić do swych starych siedzib w Rzeszowski. Lecz te właśnie akurat problemy mają kogo w dzisiejszej Polsce podniecają i obchodzą, ludzie ochcieliby uznać je za szczyt-kowe i zanikające, zapomnieć o nich. Nie wynika <sup>zresztą</sup> to wcale z jakiegoś necendeckiego nacjonalizmu /choć echa geopolitycznych analiz Dmowskiego na temat Ziemi Zachodnich na przykład są niewątpliwie żywe/, lecz z ciężkich doświadczeń ostatniej wojny, kiedy to różne prometejskie i nsojagiellońskie idee zmiażdżone zostały i wykorzystane przez dwie straszliwe, totalistyczne maszyny: stalinowską i hitlerowską. "Przyjdzie walec i wyrówna" głosi popularna piosenka Młynarskiego. Iatotnie, walec "wyrówna" sprawy narodowościowe na Wschodzie Europy w sposób drakoński lecz i poniekąd nieodwołalny, co stało się zresztą nie bez walnej pomocy szowinistycznej a politycznie dyktanckiej taktyki Litwinów i Ukraińców. Nikt tu nie był bez winy, w rezultacie jednak mamy wszyscy to, co mamy i trzeba na rzec spojrzeć trzeźwo, bez mitologii i sentymentalnych wspomnień.

Jestem zdęcydowanym państwowcem, uważam, że lepsze jakiegokolwiek państwo polskie niż żadne i dla dzisiejszych Polaków ambicje państwowe są absolutnie niezbędną pożywką duchową i życiowo samozachowawczą. Warto przy tym przypomnieć, że z historycznej zamieci, jaka nawisnęła przed 40 laty wschodnią Europę, Polska wyszła jednak terytorialnie nie najgorzej: Czechosłowacja, Węgry, Rumunia potraciły różne terytoria bez żadnej rekompensaty, Polska rekompensatę dostała i to niezłą. Stąd pewne satysfakcje czy nadzieje geopolityczne, niezbędne dla jakiegoś takiego społecznego samopoczucia, a odróżniające Polskę od niejednego z jej sąsiadów. Gdy prof. Sukiennicki zarzuca mi, iż odmawiam Białorusinom, Litwinom czy Ukraińcom prawa do definiowanego przez Dmowskiego geopolitycznego egoizmu, które przyznają Polakom, odpowiadam: nikomu tego prawa nie odmawiam, lecz stwierdzam, że egoizmy te mogą być przeciwnetawne, konfliktowe i że hasło "za naszą wolność i Wszczę" może okazać się całkiem nierealne i opaczne. Że zaś Polacy opowiedzą się w razie czego za egoizmem polskim, nie zaś jakimś innym - to chyba naturalne.



Mimo to wszystko jednak, Polska w dzisiejszych granicach i z dzisiejszym, choćby nie wiem jak krytykowanym egoizmem państwowym, ma jedną właściwość uniwersalną i krzepiącą, wzorcową dla innych narodów uciśnionego Wschodu. Zachowała mianowicie swą historyczną tożsamość i jest duchowo NAJMNIEJ ZSOWIETYZOWANYM krajem komunistycznym. Jest to zresztą fakt zdumiewający, zważywszy wojenne zniszczenia, hekatombę inteligencji, powojenne wykorzystanie i przesiedlenie milionów. Na fakt ów złożyły się czynniki przeróżne: utrzymanie struktury wiejskiej, przechowującej w zadziwiający sposób tradycyjny patriotyzm szlachecki, siła katolicyzmu i Kościoła, narodowe a nie tylko utylitarne zrywy robotnicze, żarliwa działalność inteligentkich grup opozycyjnych i wreszcie - co warto przypomnieć - pojawianie się od czasu do czasu w Partii działacze o orientacji - na swój sposób - narodowej. Sprawa zawiązała, lecz rezultat taki, że satelioka państwowość stała się jednak dla Polski pokrywką dla zachowania swej duchowej tożsamości, skutecznie broniącej się przed sowietyzmem. Obrona ta, właśnie przez to, że toczona w ramach komunistycznego, przynależnego do Bloku państwa, jest dla wszystkich naszych pobratymców przykładowa i ważna. A już nikogo nie mógł pozostawić obojętnym ostatni, żywiołowy akt tej obrony - to, co stało się u nas w sierpniu i wrześniu 1980. Nie pozostała też oczywiście obojętna grupa "Kultury".

I tu rzecz arcyciekawa: ze strony "Kultury" i bezpośrednio jej Redaktora, popłynęły ku Krajowi przestrogi, aby był ostrożny, nie dopuścił do ekstremów i chronił swą strukturę państwową, oraz sytuację zewnętrzną, dążąc jednocześnie do zdecydowanych przemian społecznych i politycznych. Jest to więc w istocie triumf koncepcji "geopolitycznej", a także dowód instynktu historycznego i polskiego u redaktora Giedroycia - instynktu nie zawodzącego go w momentach przełomowych i to pomimo wszelkich jagiellońskich upodobań czy przywiązań.

Cóż to właściwie stało się w Polsce? Dozriło do przemian społecznych, organizacyjnych i politycznych /będących jeszcze w toku/ z zachowaniem struktury państwowo-ideologicznej bezpośrednio powiązanej z ZSSR. A więc walka o suwerenność ustrojową, wewnętrzną-polityczną, duchową, łączona jednak z pozostaniem w Pakcie Warszawskim i w całym, psychologiczno-taktycznym systemie tego

Paktu. Bowiem na Polskę antyrosyjską nikt się w dzisiejszym wystraszonym i zębrzącym o stabilizację świecie nie zgodzi, ani na Wschodzie ani na Zachodzie /może najwyższej Chłiocyoy, ale to gruszki na wierzbie/, nikt nie rozpęta o antyrosyjską Polskę III Wojny Światowej - świadczą o tym zarówno panikarskie głosy prasy zachodniej, jak i wypowiedzi antykomunistycznych w zasadzie polityków /Luns, Schlesinger/. Wszyscy za najbardziej korzystną, choć dla wielu nieprawdopodobną alternatywę uznają wewnętrzne przemienienie Polski z absolutnym pozostaniem jej w Bloku Wschodnim, co gwarantuje Zachodowi utrzymanie niezbędnego dlań jak widać porządku międzynarodowego, ustalonego w Jałcie a potwierdzonego w Helsinkach. Takie są, jak się uważa, realia świata epoki atomowej i nie na to w Warszawie nie poradzimy choć inaczej sądzi nieśczęsny, na kozła ofiarnego przeznaczony Leszek Moczulski, również mój polemista z "Drogi". Na podziękę zaś prometeistom powiedzied można, że pozostanie przebudowanej i ewentualnie ustrojowo uniezależnionej Polski w Bloku byłoby sytuacją precedensową i na swój sposób, wobec innych krajów Europy Wschodniej prometejską, bo wskazującą drogę do pokojowej walki z sowietyzacją, do auto-finlandyzacji bez niebezpiecznego naruszania ogólnej sytuacji geopolitycznej.

Oczywiście, nie ma pewności, iż rzecz się uda, nie sposób złatwiać sprawy bez "gospodarza" czyli bez Rosjan. Jak oni zareagują? Panikarski Zachód ujmuje rzecz schematycznie, wręcz zakładając nieuniknioną sowieckiej interwencji. Rosjanie natomiast, mimo różnych straszeń i przestroż przekazywanych częstokroć poprzez kraje trzecie /Czechosłowacja, NRD/, zajmują oficjalnie stanowisko powściągliwe i uspokajające. Najdalej w tym kierunku poszedł sowiecki rzecznik MSZ Walentin Palin, który w wywiadzie dla "Spiegla" /15 XII 1980/ oświadczył, że nawet kraj o systemie kapitalistycznym mógłby należeć do Paktu Warszawskiego. Oczywiście, może to być oświadczenie czyste taktyczne, służące do ukrycia myśli: jeśli np. Związek Radziecki już zdecydowałby, że interwencja jest nieunikniona, może w ten sposób uspokajać światową opinię, wyczekując odpowiedniej sytuacji międzynarodowej i obmyślając najrzęczniejszą formę owej interwencji. Pewien mój Polemista /pragnący zostać anonimowym/ twierdzi nadal, że Rosjanie nigdy nie zgodzą się na jakąś nową polską alternatywę, mogącą naruszyć ideologiczno-ustrojową spójność Bloku, gdyż sowietyzacja jest dla nich najskuteczniejszą i sprawdzoną metodą im-

perialnego działania i nigdy się jej nie wyrzekną. Wobec tego - wywodzi Polemista - skoro sprawa jest przesądzona a interwencja to tylko kwestia czasu - wszystko jest jedno, co Polacy zrobią, najlepiej więc wysuwać hasła skrajnie maksymalistyczne, pełnej, bezwarunkowej niepodległości, tak, jak to robi KPN Moczulskiego. Jeśli bowiem tak czy owak ma się ginąć, to lepiej poleć z honorem i szumem, nie pozostawiając żadnych dwuznaczności czy niedomówień.

W przeciwieństwie do tego skrajnego poglądu, inny mój Rozmówca /co ciekawe - emigrant/ sądzi, że kwestia, czy Rosjanie traktują swój ustrój i ideologię JAKO CEL CZY JAKO ŚRODEK, jest w dzisiejszej sytuacji świata kwestią na nowo otwartą i że sprawa polska może odegrać tu rolę papierka lakmusowego i w ogóle precedensowego impulsu. Jest tu - sądzi mój rozmówca - wiele do wygrania, bardzo dużo zależy od rozwoju wewnętrznej sytuacji w Polsce, mającej wpływ na nieskrystalizowaną dotąd opinię i decyzję Kremia.

Oczywiście - sytuacja w Polsce jest nader ważna, przy czym tak nowa i psychologicznie nie sprawdzona, iż trudno przewidzieć jej rozwój. Jedno jest pewne: wszystkie realnie istniejące i poważne siły społeczno-polityczne w dzisiejszej Polsce opowiadają się za uznaniem niezmiennych aksjomatów geopolitycznych, za przemianami, nie naruszającymi państwowego status quo tak na zewnątrz, jak i wewnątrz. Siły te to: 1/ Kierownictwo przeżywającej zrozumiwały wewnętrzny kryzys Partii; 2/ Kościół, pomimo różnic taktycznych i ideowych, coraz wyraźniej działający Episkopat <sup>(z wyjątkiem)</sup> od księży; 3/ "Solidarność" z Wałęsą, Gwiazdą, Bujakiem, Switoniem i innymi na czele. Rozsądkiem geopolitycznym odznacza się również w zasadzie "KOR", mimo że za rzekomy prowokacyjny maksymalizm atakują go dziennikarskie pleski w rodzaju Krasickiego czy Jaworskiego, do której to zbędnej kampanii dozłusował podobno ostatnio pewien niefortunny ksiądz. W zasadzie tak cały kraj, jak i znająca światową sytuację emigracja przyłączają się do tezy, że trzeba być w Bloku Wschodnim, pozostając jednak sobą. Wyjątek stanowią skrajne grupki bez znaczenia, jak właśnie "KPN" Moczulskiego, radośnie przyjęte przez władze, jako symboliczny wróg, którego prześladowaniem można wylegitymować się wobec Kremia, demonstrując swe istnienie i czujność.

Oczywiście: ostrożność geopolityczna i taktyczna nie może być utożsamiana z rezygnacją z celu zasadniczego. Cel ten zaś dla

nowych ruchów społecznych, które z opozycyjnych stały się uznawanymi nawet przez Partię reprezentantami całej polskiej opinii, jest jeden: wynegocjować u Rosji zgodę na przemiany polityczno-ustrojowe /granice ich wyznaczają realia sytuacji gospodarczej i psychologicznej/ za cenę szczerego zaakceptowania trwającej stabilizacji geopolitycznej, wynegocjować opartą na zaufaniu zgodę na swoistą, wewnętrzną autofinlandyzację. Nasuwa się odrazu ważne pytanie: KTO właściwie ma te sprawy negocjować? I tu powracam do tezy mojego artykułu z Nr 1 "Res Publici" o konieczności kontaktów z Rosjanami bez pośrednictwa komunistów, tezy, niechętnie i ironicznie przyjęty przez wielu czytelników.

W tej chwili monopol Partii na pertraktację z Kremlem jest nadal absolutny, choć Partia owa jest zdekomponowana, trwa w stanie przedzjazdowych rozgrywek i przekształceń i niewiadomo dobrze, jaki pogląd reprezentuje. Poza<sup>tem</sup> Partia sprawuje ten swój monopol tajnie: dochodzi do takiego absurdu, że cała Polska wnioskuje o stosunkach polsko-radzieckich ze stopnia oszułości, demotrowanej przez Breżniewa i Kanię w obserwowanych na telewizyjnym ekranie pocałunkach. Całują się czy nie, mocniej czy słabiej - tyle tylko wiemy!

Jest to oczywiście nonsens, w dodatku bardzo niebezpieczny wobec iluzoryczności partyjnej władzy w dzisiejszej Polsce i narastania nowych, oddolnych sił politycznych. Możliwa jest dezinformacja i straszne w skutkach nieporozumienia: wszak ludzie z Kremla też nie są nieomylni i powinni być wszechstronnie informowani. Nie wiem, czy do delegacji, odwiedzających Moskwę powinni zostać dołączeni reprezentanci "Solidarności", "DIP-u", "KOR-u", czy może Kościoła, wiem jednak, że tylko przedstawiciele autentycznych ruchów społecznych mogliby przekonać Rosjan o szczerości polskiej intencji zachowania obecnej sytuacji geopolitycznej, mimo wewnętrznych przemian ustrojowych. Tylko takie kontakty również mogą spowodować twórczą ewolucję wzajemnych stosunków, w którym to celu przewyciężyć należy sklerotyczny rytuał tajnych, partyjnych konwentykli na najwyższym szczeblu, z jakich potem wynikać mogą takie niespodzianki, jak decyzja powzięta w owym zamkniętym ożeskim wagonie w Czernej 1968. Myślę, że mój postulat bezpośrednich rozmów z Rosjanami, potraktowany kiedyś jako utopia czy żart, dziś nabrał wymiarów zgoła realnych, zwłaszcza wobec formalnego uznania przez Rosję prze-

mian, dokonanych w Polsce. Falin w cytowanym wywiadzie "Spiegla" pochwalił nawet nasze niezależne związki zawodowe, stwierdzając, że w sposób socjalistyczny naprawiają one błędy i nieudolność związków poprzednich. A skoro pochwalił, to czemuż nie miałby z nimi rozmawiać, jeśli tak chętnie rozmawia nawet ze zgoła nie socjalistycznym, hamburskim redaktorem Augsteinem? Złapmy go za słowo, stwórzmy fakt dokonany - tak również robi się historię!

Myślę także, że tylko przedstawiciele niezależnych a masowych grup społecznych w Polsce mogliby przekonać Rosjan o rzeczy, na którą niezwykle są uciążliwi. Że mianowicie nie tylko pozostać chcemy w Pakcie Warszawskim, bo MUSIMY, bo Zachód nad oddać i nie myśli odbierać, lecz dlatego, że nasze miejsce jest na Wschodzie, że z narodami wschodniej Europy łączą nas wspólność historii, wspólność doświadczeń, cierpień i postaw psychicznych, a na nowoczesnym, utęchnionym, a zmateralizowanym Zachodzie nis bardzo mamy dziś czego szukać, choć przez wieki wiązała nas z nim kaciński katolicyzm. Oto wytłumaczenie nie marksistowskie a przekonujące chyba dla stron obu, zaspokajające też potrochu nasze skłonności do altruistycznego prometeizmu. Oczywiście, wymaga ono również propagandy w Polsce, bo Polacy, choć przez 35 lat ulegali geopolityce i kornie przyjmowali wszelkie upokarzające i degenerujące właściwości komunistycznego ustroju, dziś perwani opozycyjnym zapakem, gotowi są popaść w drugą ostateczność i zapomnieć o 250-milionowym Sąsiedzie. A także zlecić lekko-myślnie monopol na kontakty z nim paru ludziom z tajemniczej i niewiadomej partyjnej elity.

Na tym wypada zakończyć, stwierdzając jeszcze raz, że hipoteza geopolityczna zyskała sobie po wrześniu 1980 rangę konkretną jak najbardziej aktualnego i palącego - zaś historyczne a mało zdecydowane stanowisko Zachodu jeszcze ją potwierdziło. Przedtem, dla sportu niejako, rozwiązywałem równanie z paru niewiadomymi /tego mojego roboczego autoograniczenia nie docenił, powtarzam, żaden z polemistów, nikt nie wyszedł mi w trefle, każdy chciał gadać o wszystkim, wychodząc poza zakreślone przeze mnie myślowe ramy/, dziś sądzę i widzę, że oake konkretne i odpowiedzialne narodowe myślenie poszło w kierunku rozważań właśnie geopolitycznych. Uznaje to i większość opinii emigracyjnej i tak charakterystyczny a zasłużony dla Polski osobnik, jak spotwarzany przez mało rozumiejących lub wynajętych szozekaczy Adam Michnik. Nie uznaje sprawy tylko marzyciel Leszek Moczulski, który za swe ma-

rzeczenia płaci więzieniem. Winniśmy o niego, jak i o Wojciecha Ziemińskiego i innych walozyd w imię odradzających się moralnych i demokratycznych imponderabiliów, co nie przeszkadza w stwierdzeniu, że marzenia są marzeniami, nie zaś polityką. Jednakże i one wzbogacają nasze życie.

Na tym koniec dyskusji - z mojej przynajmniej strony. Jeśli jednakże ktoś chciałby jeszcze łaskawie rozważyć niniejsze geopolityczne hipotezy i propozycje, to proszę, aby względnie oba artykuły, "Czy geopolityka straciła znaczenie?" i obecny ŁĄCZNIK, inaczej rzecz nie ma sensu /rzucający się na mnie w prasie emigracyjnej Józef Łódowski nie czytał jak się zdaje w ogóle nic mojego, tylko coś niejasno słyszał/. Ja zaś zaprzestaję gadania, za to z napięciem i ciekawością obserwować będę fakty, polskie fakty. Pewien filozof miał powiedzieć: - Jeśli fakty przeczą mojej teorii, tym gorzej dla faktów! Podzielał w zasadzie ten pogląd. Teorie miewają ogromne i realne skutki, bez względu na stopień swej słuszności, przykładem teoria niejakiego Marksa, która tak olbrzymie choć tak częstokroć opaczne przyniosła rezultaty.

Warszawa, 7.1.1981

Stefan Kisielewski

## PODZIAŁY

Zawsza! dobiega wołanie o jedność kultury polskiej. Usłyszeć je można podczas spotkań intelektualistów, wyczytać w rozrachunkach krytyków i w felietonach publicystów. Jedność kultury stała się potrzebą tak palącą, jak reforma ekonomiczna w gospodarce czy przebudowa struktury władzy w polityce. Okazało się, że "obieg niezależny" nie stał się budowniczym pomostów między kulturą krajową i emigracyjną, ale że sam biegnie własnym torem, odmiennym zarówno od oficjalnych kanałów życia kulturalnego, jak i zakazanych stref życia emigracyjnego. Polski sierpień i Nagroda Nobla dla Miłosza pozwoliły ukazać publicznie linie podziałów, uświadomiły Polakom istnienie trzech niezależnych, słabo przenikających się polskich kultur.

Dykusje, których dotyczy nasz przegląd, koncentrują się głównie wokół tych podziałów i będą się zapewne toczyć jeszcze dłużej. Dziś zmuszeni jesteśmy ograniczyć się do pierwszego miesiąca odwilży w tygodnikach oficjalnych, jako że długi cykl wydawniczy prasy niezależnej i trudności związane z docieraniem prasy emigracyjnej nie pozwalają uwzględnić ich w naszych rozważaniach. Wydaje się jednak, że ten prolog rysuje już główne problemy, wynikające z sytuacji, w jakiej znalazła się dziś polska kultura.

Trudno byłoby odnaleźć w prasie z października 1980 roku wyraźne wskazanie przyczyn, które legły u podłoża rozwoju kultury krajowej. Problem nie jest prosty, ale wydaje się, że jego źródła należało by poszukiwać w ideologicznych i politycznych zależnościach, w jakich znalazła się polska kultura po roku 1945. W wielu natomiast artykułach pojawia się teza, że o dzisiejszych podziałach zdecydował rok 1968. Andrzej Werner pisze nawet, że "jeśli się chce dokonywać jakichkolwiek rozrachunków z nowymi dziejami naszej kultury, trzeba zaczynać od tej daty, od pomarcowej reakcji, a nie od 1970 czy 1976 roku, inaczej bowiem niczego się nie zrozumie." /"Kości niezgody", Polityka nr 44/80/.

Śladem tym podąża Wiktor Osiatyński w swojej analizie ostatnich piętnastu lat rozwoju nauki w Polsce. Według Osiatyńskiego na lata sześćdziesiąte przypada zmierzch marksizmu w Polsce, i to zarówno marksizmu jako ideologii, jak i metodologii nauk humanistycznych. W połowie lat sześćdziesiątych, wspomina autor omawianego artykułu, toczyła się głośna dyskusja wokół książki Schaffa "Marksizm a jednostka ludzka". Chodziło o problem alienacji pracy w społeczeństwie socjalistycznym. Mniejsza o konkluzje. Ważne jest, że była to ostatnia dyskusja "marksistowska" w Polsce, i że została zakończona przy pomocy środków administracyjnych. "W efekcie odtąd wszelka dyskusja naukowa - pisze Osiatyński /"O służebności nauki", Kultura nr 44/80/ - krytyka aktualnego stanu spraw społecznych, czy podawanie w wątpliwość 'oficjalnej' /rzadko kiedy jasno - z naukowego punktu widzenia - wyrażanej/ linii, musiały się liczyć z zarzutem wrogości ideologicznej lub nawet politycznej." Umiarza ideologia a wraz z jej śmiercią władza gubiła ostatni, krepujący jej działanie, balast - los kultury spoczął w rękach woluntarystycznej polityki. Wewnątrz marksizmu zniknął ostatni, wąski margines swobody myślenia. Pryskały ostatnie iluzje co do twórczych możliwości doktryny.

Rok 1968 tę polityczną zależność kultury wyraźnie określił. Wiadome stało się kto, z imienia i nazwiska, jest z nami a kto przeciw nam, kto jest politycznym wrogiem a kto sprzymierzeńcem. Powstała sytuacja, która uniemożliwiła dalszy rozwój literatury i nauki. Podstawowym bowiem warunkiem ich rozwoju jest możliwość bezstronnej i obiektywnej oceny, możliwość krytyki. "Ocenia się książki, nie ludzi - pisze Zbigniew Mentzel /"Mowa zależna", Polityka nr 41/80/ - Trudno jednak myśleć o książkach, kiedy ludzi spotykają szkany." W owym czasie występowało przeciwko poglądom czy dziełom prześladowanych, dodaje Andrzej Werner, "znaczyło w powszechnym odbiorze, czy chociaż się tego, czy też nie, sprzymierzyć się z owym 'niechętnym spojrzeniem', ba - z brutalnymi napaściami, z otwartym czy ukrytym prześladowaniem. To był dopiero podział na 'oficjalne' i 'nieoficjalne'". Ale z drugiej strony paraliż krytyki literackiej i dyskusji naukowej wynikał także stąd, że "oficjalne" również leżało poza zasięgiem oceny: "pisarzy oficjalnych - mówi w wywiadzie dla Polityki Artur Sandauer /"Swobody nie da się zadekretować", Polityka nr 45/80/ - ani



krytykować ani nawet analizować serio nie było podobna. Każda analiza zawiera w sobie przecież element umniejszenia, 'omnia determinatio negatio est'".

Brak krytyki sprzyjał tworzeniu fasady, ale z drugiej strony zmuszał do tworzenia tyłów. Wszelkie próby zahamowania tego podziału spotykały się z szybką reakcją władz. Losy poetyckiej nowej fali w pozycji u progu lat siedemdziesiątych są tego najlepszym przykładem. "Początkowo tolerowana przez sponсорów - pisze Jerzy Niemczuk /"Koniec dekady", Kultura nr 41/80/ - którzy doceniali jej zaangażowanie, a bunt traktowali jako młodzieńczą przypadłość, z czasem stała się niewygodnym pośrednikiem pomiędzy dwiema sferami, które zaczęła dzielić coraz większa przepaść." Od pierwszych manifestów w "Poezji" do wydanego w 1974 roku "Świata nie przedstawionego" upłynęły niespełna trzy lata. Uznaniem rządzących cieszyły się jedynie fasadowe inicjatywy w rodzaju Kongresu Nauki Polskiej, czy "Raportu o stanie oświaty" - tyły zaczynały poszukiwać dla siebie materialnego zaplecza. Pozostawało tylko czekać na ukazanie się pierwszych numerów czasopism niezależnych i powstawanie takich instytucji jak Towarzystwo Kursów Naukowych.

Powstanie niezależnego obiegu w kulturze krajowej stworzyło zupełnie nową sytuację. O ile przedtem można było wybierać między podporządkowaniem, zgodą na jednostronny kompromis a szlachetnym milczeniem, to teraz te milczenia zostały przerywane. Pozostawało co prawda ryzyko związane z publikowaniem w wydawnictwach niezależnych czy z uczestnictwem w działalności TKN, ale de facto było ono śmiesznie małe w porównaniu z wartością uzyskanej swobody. Dla tych, którzy uważali, że milczenie, choć szlachetne, jest jednak jałowe, instytucje kultury nieoficjalnej otwierały szeroko swoje podwoje.

Adam Krzemiński w artykule "Między fasadą a tyłami" /Polietyka nr 40/80/ wskazał istotę tej zmiany: do tej pory podział na oficjalne i nieoficjalne był podziałem narzuconym z zewnątrz, podziałem administracyjnym - teraz stawał się podziałem narzucanym głównie przez wewnętrzny mechanizm sytuacji, podziałem moralnym. Od chwili ukazania się pierwszych numerów "Biuletynu Informacyjnego" i "Zapisu" "oficjalne" w najlepszym razie zaczęło znaczyć podejrzane moralnie, "nieoficjalne" - moralnie czyste. Wszelkie uzasadnienia uczestnictwa

w kalekim obiegu oficjalnym etawały się coraz mniej przekonywujące. Zdaniem Krzemieńskiego o podziałach kultury krajowej zaczęło decydować kryterium moralne. Z jednej strony powstawał świat "oblegonej twierdzy" skrajnych moralistów, z drugiej - świat konformistów, ale także Szwejków, próbujących poprzez "opór w przystosowaniu" ratować wszystko co cenne w kulturze polskiej.

Dyskusja wywołana artykułem "Między fasadą a tyłami" dowiodła, że podziały nie są tak ostre, jak przedstawił je Krzemieński. Niejednoznaczna okazała się nie tylko fasada ale i tyły - okazało się, że nie wszyscy przedstawiciele kultury niezależnej są Savonarolami, że istnieją także sfery pośrednie. Dyskusja potwierdziła jednak istnienie wyraźnej granicy, która jest wyznaczona stosunkiem twórców do podporządkowującej sobie kulturę polityki. Cel zdaje się być dla wszystkich jeden: obrona prawa kultury do niezależności - ale drogi, generalnie rzecz biorąc, dwie. Pierwsza zakłada jednostronny kompromis na rzecz polityki, gdyż patronuje jej przekonanie, że należy ocalać resztki niezależności tam, gdzie jest to tylko możliwe. Odrzucają kompromis ci, którzy w imię prawdy i autentyzmu wybrali drogę drugą. Tu jest źródło i kryterium podziału, które decyduje o specyficznym cechach obu obiegiów kulturalnych w kraju, decyduje o ich dzisiejszych kształtach.

Dyskusja wokół fasad i tyłów, oprócz ukazania ich wzajemnego uwikłania, dowiodła także wzajemnych podobieństw. Można się z niej dowiedzieć, że zarówno fasada jak i tyły mają charakter kompensacyjny, eskapistyczny, sekciarski etc. Podobieństwa są zrozumiałe, bowiem oba obiegi kulturalne wyrosły z jednego pnia, ze zrodzonej pod koniec lat sześćdziesiątych obrony prawa do niezależności, ochrony kultury przed zaborczością polityki. Według Zbigniewa Mentzela nieszczęście naszej kultury polega na tym, że potrzeba ta nakreśliła określony horyzont problemowy, i że horyzont ten nie uległ zmianie aż do dnia dzisiejszego. "Program mówienia wprost - pisze Mentzel - odkłamania rzeczywistości, zderzenia jej barw ochronnych, zajrzenia za fasadę, był programem wyrastającym z rzeczywistych, autentycznych doświadczeń pokolenia, które dojrzało pod koniec lat sześćdziesiątych, był wyrazem lęku przed manipulacją i ubezwłasnowolnieniem, przed życiem na niby i ucieczką od wol-

ności. Rozbicie alegorii, krytyka nowomowy, docieranie do ukrytych mechanizmów sterowania zbiorową świadomością - wszystko to - choć cenne - nie może już dziś wystarczać, nie mogło zresztą wystarczać i wczoraj."

Nad artykułem Mentzela, podobnie jak nad polemiką Mariana Stala /"Prześwit", Polityka nr 47/80/, warto zatrzymać się dłużej, choć właściwie dotyczą one jedynie literatury - ich tezy jednak wydają się bardziej ogólne. Literatura lat siedemdziesiątych, zarówno ta oficjalna jak i nieoficjalna, jest według Mentzela, ograniczona tym poznawczym horyzontem wypracowanym w latach sześćdziesiątych, jest literaturą obronną, czy inaczej "literaturą pisaną mową zależną". Jest przez to, jak pisze Mentzel, "jednostronnie naiwna, pozbawiona wymiaru tragicznego, jeśli tylko pojęcia tragizmu używać w klasycznym rozumieniu, a więc mając na myśli nieuchronne niszczenie jednych wartości przez drugie, co związane jest nie z naszymi reakcjami na rzeczywistość, ale z samą istotą tej rzeczywistości". Taka literatura może pełnić funkcje kompensacyjne, może nas bawić, wzruszać czy przerażać, nigdy jednak nie "dotknie rzeczywistości swojego czasu", zawsze będzie "literaturą obok". Mentzel nie zapomina o wyjątkach, o lekturach, które są jego zdaniem "przygodami człowieka myślącego". Pozostają one jednak tylko chlubnymi wyjątkami, które nie dały sobie narzucić spotkania defensywą.

Gdzie zatem można odnaleźć w kulturze polskiej myśl czystą, która nie jest uwikłana w konflikt z polityką, nie podlega sniewalającej formule "mowy zależnej", gdzie odnaleźć "suwerenność głosu"? Tym miejscem jest przede wszystkim emigracja. O losie kultury emigracyjnej zdecydowały drastyczne podziały polityczne po II wojnie światowej. Odcięta od źródeł krajowych rozwijała się swym własnym rytmem - jedynie od czasu do czasu, korzystając z okresów odwilży, przeciekała ciekami strażkami do kraju. Na ogół jednak skazana była na podejrzane kontakty prywatne i na nieistnienie w obiegu krajowym. Być może ta izolacja uniemożliwiała zatruwanie kultury emigracyjnej jadem polityki. "Łatwo też w literaturze emigracyjnej - pisze Marian Stala - znaleźć teksty, które wyrażnie nie podlegają formule "mowy zależnej". Można tam także odnaleźć jeden z nielicznych w literaturze polskiej prawdziwy dialog postaw, jaki toczyli ze sobą Witold Gombrowicz i

Czesław Miłosz. "Rozbijali schematy - pisze w "Tygodniku Powszechnym" Wojciech Karpiński /nr 42/80/ - potrafili jednak, każdy czynił to inaczej, zakorzenić się w ojczyźnie kulturze. Zdobywali na własną rękę dykcję zarazem nową i zrozumiałą dla innych. Głos wolny i sensowny." Obaż uczynili to, co na ogół nie udawało się, czy też udać się nie mogło twórcom krajowym - wyszli, jeśli tak można powiedzieć, poza polskie horyzonty poznawcze. Karpiński pisze o Miłoszu "Z jego analizami można się nie zgadzać, istotny jest horyzont zainteresowań. Kto w literaturze polskiej /i nie tylko polskiej/ takie horyzonty otwierał?"

Kultura emigracyjna . . . . . pozbawiona spętania polityką mogła oddychać głębiej. Efekty są widoczne. "Czy trzeba przypominać - pyta Stala - że w połowie lat sześćdziesiątych tworzyli poza krajem jednocześnie Czesław Miłosz, Witold Gombrowicz, Sławomir Mrożek, Jerzy Stempowski? A to oznacza piarszy, bez których nie ma i nie może być mowy o współczesnej poezji, prozie, dramacie, eseju... To zaś nie koniec, bo tworzyli wówczas Aleksander Wat /w ostatnich latach swego życia naprawdę wielki poeta/, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Stanisław Vincenz, Stefania Zahorska etc."

"Mamy więc skarb - pisze w liście do redakcji Polityki Karpiński /nr 49/80/ - jakim jest literatura powstała poza granicami kraju, mamy też dług wobec tych, którzy ją tworzyli i propagowali."

## SEN POWROTU

Jak mówić? Jak rozedrzeć skórę słów?  
Co napisałem, wydaje się teraz nie to.  
I co przeżyłem wydaje się teraz nie to.

Kiedy Tomasz przyniósł wiadomość, że domu,  
w którym urodziłem się, nie ma,

Ani alei, ani parku schodzącego do rzeki,  
nie,

Przyśnił mi się sen powrotu. Radoony.  
Barwny. Latać umiałem.

I drzewa były jeszcze większe niż w dzie-  
ciństwie, bo rosły cały czas kiedy już  
ich nie było.

Utrata rodzinnych okolic i ojczyzny,  
Błądzenie całe życie wśród obcych narodów,  
To nawet  
Jest romantyczne, czyli do zniesienia.

Tak zresztą spełniła się moja modlitwa,  
ucznia gimnazjum wychowanego na wieszczach:  
prośba o wielkość, to znaczy wygnanie.

Ten fragment z "Osobnego zeszytu" Czesława Miłcza, wydru-  
kowanego w listopadowym numerze "Kultury" z 1980 roku, narzu-  
cił mi się jako motto do rozważań nad znaczeniem tegorocznej  
nagrody literackiej Nobla. Ważne dla kultury wydarzenie. Po  
pierwsze, dla "Kultury" paryskiej, dla tych ludzi, dla tego  
domu, dla tych książek, dla tej wierności. Po drugie, dla  
kultury polskiej w ogóle, zwraca przecież uwagę na pewną  
linię jej rozwoju, na wybory tradycji i języka. Po trzecie,  
dla współczesnej kultury Zachodu, wyróżnia bowiem postę-  
pującą w tonacji odmiennej od dziś dominującej, widzą-  
cego inaczej świat.

Niektórzy mówią: śmieszny jest ten nagły szum wokół Mi-  
łcza, przekrzykiwanie się entuzjastów, obudzonych ze snu

prestżem Nobla - a przecież jeżeli ta nagroda kogoś wyróżnia, to przede wszystkim nagradzających. Miejsce poety w historii literatury polskiej, miejsce saszczytne, już od dawna było ooswywiste dla wszystkich, którzy naprawdę się tym interesują. Dlaczego entuzjaści milczeli wczesniej, kiedy jego pisarstwo potrzebowało pomocy w przełamywaniu barier? Dziś już nie potrzebuje. A uznanie zagranicą? Po pierwsze, przelotne. Po drugie, mało dla nas znaczące. Po trzecie, nawet w tym nikłym zakresie wątpliwe: Miłosz jest przede wszystkim poetą, poezja polska pozostaje nieznaną, a poezja Miłosza jest szczególnie trudna do przełożenia. Przez chwilę potrwają brawa, ukaże się kilka wywiadów, parę książek zostanie przetłumaczonych. A potem szum uciohnie.

Tylko częściowo zgadzam się z tymi zastrzeżeniami, a więc jako ogólny punkt widzenia wydają mi się niesłuszne. Co może oznaczać Nobel 1980? Jakie treści przybierze ten dziwny sen powrotu, pół rzeczywisty, a pół potencjalny? Normalnie Nagroda Nobla przed pisarzem uznanym w rodzinnym kraju otwiera kraje inne. Powojenna literatura polska nie rozwija się jednak w sytuacji normalnej. Jeszcze kilka miesięcy przed nagrodą nie można było wymienić w druku nazwiska laureata. Nobel uchylił mu bramy do rodzinnego domu. Poczekajmy, zobaczymy, jak szeroko. Zobaczymy, czy książki Miłosza zostaną wydane wszystkie i w całości. Samotne doświadczenia każą być sceptycznym. Bardzo chętnie przyznam się do małoduszności, jeśli zobaczę w oknach księgarni nawet nie "Zniewolony umysł", ale choćby pełne wydanie "Zdobycia władzy" i "Rodzinnej Europy".

Chwilowo jest to ciągle jeszcze powrót częściowy, dokonujący się bardziej w marzeniach niż w rzeczywistości. Dlatego entuzjazm jest potrzebny. Im więcej pisze się o Miłoszu, <sup>ty</sup>bardziej umacnia się jego obecność. Robotnicy ostatniej godziny też się przydają, a ich psychologia mało mnie interesuje. Miejmy nadzieję, że czas się nie cofnie. Powrót poezji już się dokonał. Powrót eszistyki filozoficzno-literackiej nastąpi wkrótce, gdy ukaże się "Ziemia Ulro" i "Ogród nauk". A tak się szczęśliwie składa, że w dziele Miłosza treści dziś najważniejsze zawarte są raczej w tych utworach, niż w książkach, które były niegdyś powodem szczególnie gwałtownych

ideologicznych kondemat i seansów nienawiści. Trzeba jasno powiedzieć: powrót Miłosza, radca, barwny, zmienia horyzont intelektualny współczesnej kultury polskiej. Co było wielkiem, mała się wydało... Co poraziło, więcej nie poraża: zmianie ulegają oficjalne hierarchie, pojawia się problematyka poważna. Ileż gipsowych popiersi rozpadnie się ostatecznie w proch?

Utwory Miłosza choćby dlatego będą stanowić wydarzenie w polskim życiu intelektualnym, że mówią o czymś, poruszają problemy zasadnicze. Przyjdzie więc odpowiedzieć, jakie utwory naszej literatury współczesnej pozwalały zastanowić się nad sprawami życia, reagowania na siebie i na świat, jakie mówiły - bez patosu, bez usurpowania boskich atrybutów wszechwładzy - o wadze sumienia, o wierności wobec tradycji, o trudności porozumienia z drugą człowiekiem, o smąconym, przymglonym horyzoncie jednostki rozumnej pod to niebo /pod każde niebo/. Obraz literatury krajowej ulegnie zmianie.

Zmianie ulegnie również widzenie literatury emigracyjnej. Kto jej nie widział /nie mógł zobaczyć/, bo mu w tym przeszkażady oś, milicja, propaganda, cenzura, bądź kto jej nie chciał zobaczyć/, teraz ją dostrzeże. Dotąd dobry pisarz emigracyjny, to był dla władz martwy pisarz. Wybitniejszych poetów po śmierci obejmowała amnestia. Powrócili Lechoń, Wierzyński, Wittlin. Też nie w całości. Jak szalona jest cenzura /jak metodyczna w swym szaleństwie wykreślania z narodowej pamięci całych obszarów/ świadczy najlepiej to, że jeden z przedwojennych wierszy Lechońa dotąd nie został w PRL opublikowany, choć "nieprawomyślny" jest w nim jedynie tytuł - "Piłsudski". Los prozatorów był gorzki. Zwykle ich milczeniem. O Gombrowiczu wolno pisać, zbyt sławny jest na świecie. Jego dzieło pozostaje niedostępne, bo autor nie zgodził się na amputację. Pamiętniki, wspomnienia tkwią w jeszcze głębszym niebycie. Lasy twórczości Miłosza przypominają o całym zapomnianym obszarze kultury polskiej.

Nie tylko w tym sensie nagroda dla Miłosza spowoduje do zmiany widzenia literatury emigracyjnej. Jego twórczość budziła kontrowersje wśród wychodźców. Nie mówię tu o obłąkanej kampanii oskarżeń /casus Ryszarda Wraży czy Zygmunta

Nowakowskiego/. Ze "Zniewolonym umysłem", z heglowakimi fascynacjami Miłosza, z jego rozumieniem mechanizmów społeczno-politycznych dyskutowali przeciw Adam Pragier, Zygmunt Zaręba, Gustaw Herling-Grudziński, a więc ludzie formacji lewicowej, lecz obcy dialektycznym determinizmem. Z "Rodziną Europą" polemizowali Gombrowicz i Mieroszewski. To są spory zasadnicze - dla zrozumienia emigracji, dla zrozumienia naszych dzisiejszych problemów, dla zrozumienia Miłosza. Nie można mówić o powrocie jego dzieła bez powrotu do tych dyskusji.

Niektórzy dziś mówią: zobaczyliśmy, jak daremne były działania policjantów i propagandzistów. Mimo gróźb, konfiskat, oszozeretw ta poezja była obecna. Wolne słowo zwycięża prędzej czy później. Inni mówią: w tym rzecz, kiedy zwycięża. Byliśmy świadkami, jak wielu wykształconych ludzi dowiedziało się o istnieniu Miłosza z komunikatu o nagrodzie, zobaczyliśmy rozmiary spustoszenia powodowanego przez cenzurę. Jedni i drudzy, jak sądzę, mają rację. Tomiki biblioteki "Kultury" były obecne, choć w wąskim gronie. Ostatnio dzięki odwadze nieoficjalnych wydawców znajomość tej twórczości uległa rozszerzeniu. Niemniej koszty nieobecności są wysokie. Mówić można o kalekim pokoleniu /kilku pokoleniach/: myślę i o tych, którym Miłosza - Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, Wata, Czapskiego, Kożakowskiego - zabrano i o tych, którzy czytali ich skrycie, w samotności, nie mogąc otwarcie mówić o swych przeżyciach. Ta sytuacja prowadziła do wyjątkowania języka, do rozbicia osobowości na oddzielne segmenty. Rzeczywistość stawała się niedosiężna dla myśli, nierzeczywista. Prawdziwy powrót Miłosza oznaczałby wyjście poza zaklęty krąg fikcyjnego języka. Do tego nie wystarczy pojawienie się tomów poezji, choćby w największych nakładach. Potrzebny jest odpowiedni klimat społeczny. Dlatego Nobel po sierpniu 1980 sprzyja powrotowi o wiele bardziej niż gdyby nastąpił rok wcześniej.

Miłosz stale rozmyślał nad własnymi korzeniami, nad historią kultury polskiej. W "Prywatnych obowiązkach" przyznawał się do "alergii" na tradycyjną polskość. Wspomina o buntach przeciw romantyzmowi. Sarmackość jest mu obca. Można chyba w jego wypadku mówić o "endeckim traumatyzmie", ciągle



pamięta o nacjonalistycznym wynaturzeniu tej formacji. A jednocześnie tkwi nie tylko w rodzimej materii języka, lecz również w problematyce. Stawia pytanie o wybór tradycji. Kto chce poznać jego dzieło, musi uporać się z jego strategią wobec polskiej przeszłości: grą buntu i fascynacji.

Należy też zastanowić się nad jego miejscem w poezji polskiej. Już we wczesnych utworach zaskakuje skłączenie dramatycznych treści i klasycznie harmonijnej formy. Już wówczas wymyka się podziałom na awangardę i Skamandra. Już wówczas przesłanie jego wierszy zaskakiwało odmiennością, a zarazem ich językowa materia /był tego świadomy/ tkwiła w silnym nurcie poezji polskiej, w nurcie mickiewiczowskim. Jego poezja bowiem wypełnia ważny brak literatury polskiej od Norwida chyba poczynając, brak uwrażliwienia na metafizyczny wymiar ludzkiej egzystencji. Ktoś powie: Leśmian. Zgoda, ale Leśmian jest jednostrunny i na marginesie nośnej tradycji językowej. W dziele Miłosza uderza dziwna dwiistość tonu i postawy: tak niedzisiejszy ton ekstatycznego uniesienia nad światem i - również niedzisiejszy - ton pogardy czy nienawiści wobec świata, wybór "innej ziemi i innego nieba". I postawa wobec polskiego dziedzictwa dwiista: czasem wstyd /kryjący w sobie zranioną dumę/, przybieranie zachodnich póz /"Rodzinna Europa"/, a czasem przeświadczenie, że jego polski pisarz jest przyciśnięty do muru, "nie mam wielkiego wyboru: albo objawiam się jako podrabiacz i naśladowca zachodnich stylów, albo jako istota rozumniejsza i trzeźwiejsza niż mój zachodni rywal" /"Prywatne obowiązki"/. Powrót Miłosza to także podjęcie tej problematyki.

Jego dzieło wyrasta z silnego przeżycia europejskich problemów. Tkwi w tradycji kultury Zachodu, a jednocześnie występuje przeciw jej dziś przemożnym tendencjom. Dzieło, które i nam, i Zachodowi ma coś ważnego do zaproponowania. Że nam, to oczywiste. O przyczynach intelektualnych już wspominałem, a jeszcze ważniejsza jest świetność języka, poetyckie jaśnowidzenie zbyt bliskie doświadczeniom moralnym i historycznym zbiorowości polskiej, aby nie zostało podchwyczone jako obrazy-klucze, obrazy-zaklęcia. Ale ta poezja nie godzi się na zamknięcie w czystej poezji. Opis i analiza intelektualna stanowią nieodłączną jej część. Co innego jest powie-

dzień, że człowiek potrzebuje sfery sakralności, że obecność mitu w naszym horyzoncie jest niezbywalna, co innego jest ukazać w rozbiłku słów niedostępną jedność świata, ukazać jakieś drzewo tak, aby stało przed nami w pełni swego jestestwa, "o ista, o istliwe aż do rdzenia. Być", co innego jeszcze w wywodzie zarazem poetyckim i intelektualnym analizować sytuację duchową człowieka i uwierzytelnić ją literacką-intensywnością wywodu. Dokonaniem tego ostatniego typu jest dla mnie "Ziemia Ulro". Dlatego zajmuje w esejistycznym dorobku Miłosza miejsce szczególne.

Jeżeli Gombrowicz w "Dzienniku" dał najbardziej może żywy wizerunek współczesnego człowieka, jego smutków, niepokojów, radości, zniechęcenia, to ostatnie tomy esejów Miłosza - "Ziemia Ulro" i "Ogród nauk" - są wyjątkowo śmiałym wprowadzeniem w problemy kultury. O czym mówią do nas formy symboliczne - dzisiejsze, wczorajsze, odwieczne? Miłosz tłumaczy na język współczesny zasadnicze problemy tradycji europejskiej, a zarazem ukazuje, jak w dzisiejszym języku ukrywają się dawne problemy pod nowoczesnym przebraniem. Człowiek nadal zmaga się z siedmioma grzechami głównymi. Dogmat o Trójcy, zasuszony między kartami teologów, jest ważnym problemem także i dzisiaj. Acedia stanowi zasadnicze zagrożenie współczesnego człowieka. Dzieło Miłosza zmusza do zaetancwienia się, jakie problemy są dla naszej kultury gardłowe.

Miłosz ma coś ważnego do powiedzenia dzisiejszemu światu. Przy obecnej "konjunkturze duchowej" jego słowa mogą się spotkać ze zrozumieniem. A nagroda stwarza szansę, że świat zechce go wysłuchać. Nie, nie wierzę w łatwy triumf poezji, choć uważam, że zajmuje w XX-wiecznej literaturze miejsce wyjątkowe. Nie wystarczą powiedzieć, że jest anty-Beckettem /co podkreśla/, ani nawet, że jest wielkim poetą metafizycznym. Różni go coś zasadniczo i od cerebralnego, krytycznego uduchowienia Pawła Valéry, i od przeanielającej się niematerialności Rilkego, i od pantelizmu Pasternaka, i nawet od spezielonej metafizyki Eliota. Miłosz wydaje się bardziej złączony, ale umyka formułom. Na dzisiejszej scenie literackiej stanowi przykład twórcy wyjątkowo trafnie ukazującego miejsce człowieka w porządku natury. Jego poezja jednak poza obszarem polezczyzny pozostaje niedosiężna. Stawia przed

tłumaczem wyjątkowo trudne zadania. Może kiedyś zjawi się kongenalny przekład, który przywoi ją angielszczyźnie lub francuźczyźnie. Chwilowo widzę większe szanse dla prozy. I to nie dla całej. Sądę, że nie "Zdobycie wkadzy" ani "Znie- wolony umysł", ani "Rodzinna Europa", ani nawet "Dolina Issy" czy "Widzenia nad Zatoką San Francisco", lecz "Ziemia Ulro", pozostnie najbardziej hermetyczna z jego książek, mogłaby /mówmy szczerze: jako pierwszy polski utwór/ wejść na stałe do europejskiej świadomości intelektualnej.

WK

## PO WIELKIEJ NAGRODZIE

Przyznanie Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi potwierdziło w dziedzinie sztuki zjawisko przypisywane sportowemu kibicowaniu: oto nieliczni już sceptycy wobec wymiarnego sukcesu poety przeszli od niechęci do zachwytu. W kraju i na emigracji wyzbywano się na gwałt jakichkolwiek zastrzeżeń wobec Miłosza. Właściciele niepochlebnych anegdot z życia laureata sławią dzisiaj przymioty jego serca i charakteru. Nagle okazuje się tak oczywiste, że wszyscy go kochają i to od dawien dawna. Na uroczystym wieczorze poezji u księży Pallotynów w Paryżu w pierwszych rzędach rozsiadli się weterani emigracji politycznej, którym kiedyś zdarzyło się potraktować poetę jako agenta komunistycznego. Czesław Miłosz pracujący od wielu lat nad przekładami z Biblii okazał się przy tej okazji bliższy duchem Staremu niż Nowemu Testamentowi i przypomniał publiczności swoje paryskie krzywdy sprzed 30 lat. Strach pomysł jak by mógł potraktować swoich niektórych nagłych i niespodziewanych zwolenników w Warszawie.

Ale zostawmy na stronie konflikty życiowo-polityczne poety, stanowiące jedno z głównych źródeł jego twórczości. Pisze W.K. o znaczeniu pojawienia się dzisiaj Miłosza w kraju, w masowych nakładach. Za granicą, gdzie mieszka od 1951 roku, był wydawany po polsku dostatecznie jak na zapotrzebowanie niełatwego emigracyjnego rynku. Był więc znany wszystkim, którzy go znać chcieli, a teraz po prostu poprzez nagrodę Nobla utwierdził swoich miłośników i zmusił nieufnych do rewizji ich gustu. Niezwykle znaczenie miała natomiast nagroda dla pisarzy emigracyjnych, którzy poczuli się nią jakby osobiście uhonorowani. I słusznie, bo Miłosz przyłączył się do nich, wybrał ich drogę, z ich problemami się zmierzył. Więc jak to po zwycięstwie, ogarnął pisarzy emigracyjnych zrozumieli sentymentalizm. Wspominają, że musieli Miłosz w swoim ościsieku pakować chude sandwicze i jak to oni sami, zamiast pisać co mieli do wypisania, zmuszeni byli iść się niewdzięcznych zajęć. Ten Nobel zarazem przypomniał, potwierdził ich cierpienia i uświadomił przewagi. Wobec kogo? Oczywiście, że

nie wobec Francuzów czy Amerykanów - to byłoby banalne, tylko wobec swojej prawdziwej rywalki, wobec literatury pisanej w kraju. Bo istnieją takie dwie polskie literatury: emigracyjna i krajowa, i żeby jak najgoręcej się kochały, pozostaną inne, konkurencyjne. Wzajemnie trochę zazdrosne, może nawet konfliktowe wobec siebie, bo z różnych doświadczeń i kłopotów wyrosły.

Można chyba założyć, że z prawdziwego pisania równie trudno utrzymać się w kraju jak na emigracji. Rzeczywiście, w kraju praktykowane są różne sposoby dofinansowywania pisarzy, czasem ich podkupywanie. Z drugiej strony jednak uderzająco wyższy poziom życia na Zachodzie sprawia, że stworzenie sobie elementarnych warunków do pracy /pisarz na Wschodzie czy na Zachodzie potrzebuje w równym stopniu samodzielnego pokoju z ogrzewaniem, ciepłej wody, trzech posiłków dziennie i kieszonkowego na kawę czy papierosy/ - staje się problemem wymagającym oddania równoważnego nakładu sił i czasu na zajęcia pozapisar-skie. Będzie to na przykład oprowadzanie wycieczek, albo praca biurowa na Zachodzie czy jakieś chałtury radiowo-telewizyjne w kraju.

Problemem pisarza emigracyjnego jest oczywiście jego samotność w otaczającym świecie, dylemat czy przebić się poprzez ograniczenie, wyrzeczenie się polskiego partykularyzmu, czy przeciwnie, próbować zmusić obcych aby się przejęli, uznali za swoje sprawy egzystencjalne. Poważne niebezpieczeństwo grozi językowi pisarskiemu: broniąc się przed makaronizacjami ucieka w puryzm grożący skrępowaniem, usztywnieniem, a kiedy chce się wzbogacić, czywicie, brnie w archaizowanie. Oczywiście-wielkich to nie dotyczy: twczą po prostu własną polszczyznę, natomiast polska prasa emigracyjna czy audycje radiowe nadawane po polsku, mimo wielkiej czasem staranności, grzeszą przeciw wy-czuciu językowemu, często wprost przeciw językowi, który jak każdy żywy twór rozwija się i odmienia.

Najboleśniejszym wszakże problemem literatury /a może nawet kultury emigracyjnej/, którą uświadamiamy sobie w tej chwili jej triumfu jest to, że się starzeje, że brakuje ludzi na obsadzenie placówek kulturalnych z takim trudem wywalczonych i podtrzymywanych. Ludzie, którzy wynoszą się z kraju temperują na ogół swoje ambicje i możliwości. Ich decyzje emigracyjne nie mają w sobie tej dramatycznej siły jak decyzje ludzi zmu-szonych do porzucenia kraju na skutek kataklizmu dziejowego.

Czy też decyzji podjętych w jakiejś nieodwracalnej przełomowej chwili, samoskazujących na "wygnanie czyli na wielkość" według autobiograficznych słów Czesława Miłosza.

Neoemigranci epoki detenty i stabilizacji czują niekoniecznie tak, jak owi starzy emigranci, którym świadomość że służą Polsce pomogła przetrwać najcięższe lata. Choć często wyjechał tak, jak znaczna część inteligencji polskiej, która wyjechała-by, gdyby miała zapewnioną możliwość wykonywania swego zawodu gdzie indziej i na godziwych warunkach. A jeśli ktoś taki nie wyjeżdża tylko dlatego, że jest to zbyt skomplikowane-to już po trosze tak jakby wyjechał, poddaje się bowiem frustracji, czuje się upośledzony, wpada w rodzaj emigracji wewnętrznej, ale w nieciekawym, nie twórczym sensie. Łatwo zgadnąć, że w takim nastroju ducha ludzie ci łatwiej są do manipulowania, skoro nie są tak do końca przekonani, że najważniejszą dla nich sprawą jest walka o polepszenie sytuacji tu na miejscu, kiedy ambicją, marzeniem, są gdzie indziej, a cnota krajowa wynika głównie z braku zagranicznej okazji.

Jakie właściwie argumenty mogą skłonić artystę czy intelektualistę do równowagi psychicznej, w związku z faktem pozostawania w kraju. Judycowanie narodowe nie brzmi atrakcyjnie. Jeśli już ktoś musi się męczyć, ohoiałyby to czynił w sytuacji możliwie efektywnej. Nie pozbawione podstaw jest twierdzenie, że każdy wyjazd człowieka twórczego cełabia jakoś potencjał kultury narodowej tworzonej na miejscu, która jak to przecież bywało, stawała się czasem jedyną możliwą formą wyrażania polskiej tożsamości. Ale to stwierdzenie może spowodować pytanie: dlaczego ja? Dlaczego ktoś inny może sobie zebrać z wygodnym miejscu aż sytuacja się poprawi, a ja muszę się z nią borykać? Uświadomienie sobie niebezpieczeństwa ogólnonarodowego działa jako krótkotrwały szantaż moralny: w psychice ludzkiej, artyście zwłaszcza, jest już zakodowane żeby cokolwiek dbać o siebie i nie narażać się przesadnie. Wiadomo zresztą, że poczucie zagrożenia jest jako przyjemność sprawą bardzo amatorską. Nie chodzi tylko o strach fizyczny, także o możliwość działania.

Twórcy czy odbiorcy kultury nie wystarczy napoleońskie "dure" jako ideologia i nie doprowadzi się on nigdy do takiego heroicznego czy dziwaczego wyboru, jak niektórzy Polacy we Lwowie, którzy poczuli tam uważając, że ich obowiązkiem

jest mieszkać w starym polskim mieście. A trudno sobie wyobrazić sytuację krajową bez ograniczeń: tych zewnętrznych i już tych własnych osobistości wyhodowanych. Z jednej strony konformizm, szopowy język, zdobnictwo, z drugiej kontestacja stanowiąca reakcję na rzeczywistość propagandową, więc w jakimś sensie odpowiadająca jej poetyką.

Niby każdy rozumie, że przykłady Miłozsa czy Gombrowicza są niepowtarzalne i wyjątkowe, a jednak działają one na intymną wyobraźnię: oto artysta pozostając poza krajem najskuteczniej go podbija, co potwierdza również tradycja Wielkiej Emigracji z jej wieszczami. Każdy zaś jest z natury rzeczy optymistą, jeżeli chodzi o własne powołanie i możliwości, zwłaszcza te nieprzeczuwalne. Przypadki Gombrowicza czy Miłozsa są imponujące a ponadto rozrzewniają właśnie owym sandwichem, tą pracą w banku, zaspokajają nawet tradycyjne polskie zapotrzebowanie na licytowanie się w biedzie i krzywdzie. Jakby nie dość literaturze emigracyjnej, że więkza od krajowej, to jeszcze chce uchodzić za bardziej pokrzywdzoną.

Literatura emigracyjna - chociaż, co zostało już wyżej wytknięte, starzaje się, ma doprawdy wiele przewag nad krajową. Jest wyzwaniem losu, sprawdzaniem się, dysponuje największymi nazwiskami. Na psychiczne podtrzymanie ma pod ręką sztukę światową. Polakość może być dla niej czymś specjalnie luksusowym i pięknym, bo uwolnionym z geograficznej /niana jolekawszej przecież/ dosłowności. Na emigracji można się dorobić wolności od polskich ślępot i schematów i gdyby nawet zapanaowała w kraju sytuacja idealna, wtedy również możliwość głoszenia prawd niepopularnych, innego spejrzenia, dystansu, jaką potrafi dać emigracja, będzie bezcenną szansą dla polskiej kultury.

Powinien zatem ten czy ów wyjechać, poświęcić się, być przygotowanym na to, że może nigdy nie wróci, bo z całą pewnością władzy na istnieniu tej podwójności kulturalnej krajowej i emigracyjnej nie będzie zależało. A więc nawet argument pozytywistyczny za pozostawaniem w kraju, gdzie jest się niby potrzebnym można podważyć: równie dobrze, może bardziej bywa się potrzebnym daleko stąd. Argument sentymentalny przeliczył Gombrowicz pisząc, że Polska jest wszędzie tam, gdzie bije polskie serce. Obecna, budząca nadzieję sytuacja też niekonięcznie utwierdza w nas świadomość krajową: z jednej strony

zagrożenie na miejscu, z drugiej - zainteresowanie świata, sprzyjające pomysłowości polskiej za granicą.

Co więc pozostaje krajowcom, którzy nie umieją albo nie chcą wyjechać i swoją sytuację chcieliby sobie zrationalizować, uprzyjemnić wewnętrznym przekonaniem. A gdyby tak powieździeć sobie, - niech nawet komuś trąci to zakłamanie, w końcu wszyscy w kraju czy na emigracji tródnę się zakłamują co do swego miejsca stałego pobytu - że wyjechać nie wypada. Polska jest chęra, biedna, brzydka /trudno, to brzmi płaczliwie/ więc nie wypada jej porzucać w tym stanie, który w dodatku, jak się niedawno okazało, nie jest tak bez reszty beznadziejny. Nie ułatwiamy też zbytnio roboty naszym przeciwnikom, ustępując im z placu, póki mamy rzeczywiście coś do zrobienia czy do powiedzenia na miejscu. W Związku Radzieckim wynaleziono niedawno niezwykle zmyślny sposób na opozycję: zsyła się już nie tylko na Wschód, również i na Zachód. Ten drugi kierunek można sobie samemu wywalczyć, a skutek dla władzy ten sam: pełne, ostateczne rozwiązanie problemu niewygodnej jednostki poprzez jej trwałą nieobecność. Więc póki można jeszcze wytrzymać - może spróbujmy, byle bez kompleksów, dobrocownie, a kiedy wszystko będzie dobrze, pojedziemy odpocząć w ciepłjsze i pogodniejsze strony świata.

I tym patriotycznym akcentem chciałbym zamknąć refleksje z okazji sześćdziesięcioletniego Nobla w dziedzinie literatury.



## ŚWIADECTWO ZAGROŻENIA

"Considerate la vostra semenza:

"fatti non foste a viver come bruti,  
ma per seguir virtute e conoscenza."

Inferno, Canto XXVI

Jest jednym z nielicznych pisarzy powojennej literatury polskiej, którzy potrafiliby zachować tożsamość. Literaturze, która myśli tylko falowaniem opinii publicznej, słowu rodzącemu się samorzutnie w tych punktach, gdzie czujemy się zesolidaryzowani z pewną grupą towarzyską, przeciwstawił Herling sztukę piarską w wielkim stylu, oddającą mozolnie i sumiennie tylko rzeczywistość prywatną i nic innego prócz tej rzeczywistości.

Przyzwyczajenia usypiają naszą czujność. Wrodzone lenistwo i nieuzasadniona zarcumiałość skłania do nawiązania poufających stosunków z tak zwaną obiektywną rzeczywistością. Twardy, ostry jak diament styl przecina te nielegalne związki. Herling budzi umysł z letargu nawykowego postrzegania i przenosi czytelnika w zagadkowy i groźny świat ukryty pod skorupą codzienności. Nie ma tu żadnej mętnej metafizyki, żadnego grzebania w sobie. Jest tylko odwaga spojrzenia prawdzie w oczy i pascalowska jasność myśli, która rzuca snop światła na okrucieństwo kondycji ludzkiej.

Swoje spojrzenie wyostrzył niewątpliwie w czołach sowieckich. Oto co tam zobaczył: zezwierzęcenie, strach, głupotę, cierpienie, śmierć. Czyż jest w życiu coś ważniejszego? Doświadczenie łagrów pozostawia piętno nie do starcia. Nic dziwnego, że Herling nie miał kłopotów z tożsamością. Całe jego piarstwo stało się świadectwem realnego lub potencjalnego zagrożenia, ciągłym, aż do zmuszenia, przypomnianiem o niebezpieczeństwie. Zaraza rozchodził się w czasie i przestrzeni. Jak dowodzi odkrywca lektura Dostojewskiego w "Innym świecie" dwudziestowieczne łagry są tylko zmodernizowane wersją dziewiętnastowiecznej katorgi. Historia kalkuluje samą siebie, a ściślej rzecz biorąc dla Herlinga, podobnie jak

dla Czadajewa, w Rosji nie ma historii, czas został tknięty paraliżem. Nie trudno ukazać typologię postaci u Herlinga: trędowaci /"Wieża"/, samotni emigranci /"Książę Niezłomny"/, płonący skażeni /"Drugie przyjście"/. W znakomitym "Dzienniku pisanym nocą", którego drugi tom nareszcie się ukazał, obrazy próchniejących staruszek i gnijących starców przywoływane są natrętnie co kilkanaście stron. Świat rozkłada się, zastyga, nieruchomieje. Był zachorował. Ból staje się jedyną legitymacją istnienia.

Co zrobić? Herling przykuwa uwagę i fascynuje, ponieważ potrafi żyć sprzecznościami: jego radykalny pesymizm nie dewaluje cnoty męstwa i nie uprawomocnia cynizmu. Mimo że upatruje w życiu klątwę, nie wpada w nihilizm i widzi subtelne związki między rozpaczą a wiarą.

"powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy  
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz  
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z upre-  
m jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku"

Herbert i Herling rozpoznaliby zapewne krewniaka w profeszrze Gilu ze "Zdobycia władzy": "... kiedy patrzy się na niego, powtarzalny, indywidualny kształt palców trzymających czaszę z winem - znika czas, pozostaje wielka równoczesność niezliczonej liczby ludzkich istnień, które były i będą, komunikujących sobie nawzajem tę samą skargę. A przecież ani czas, ani historia ludzkiego rodzaju nie są złudzeniem; zaprzeczając im, znaczy pograżać się w kwiatyzm przegranej, z własnej przegranej czyniąc ogólne prawo. Ani wola bez litości, ani litość bez woli nie były rozważaniem. Ktoś, kto umiałby podjąć łosć ożkowieka, zbierałby krew w misę, dbając o to, aby nie uронić ani kropli, ale nie po to, aby stwierdzić, że wszystko już było i swój jęk powoli przemieniać w uśmiech obojętności; nie, przeciwnie, zachowałby dar oburzenia i nigdy nie pokonanej wiary..."

Są jednak różnice. Herbert ma więcej zaufania do stworzenia. U Herlinga systematyczna dekreacja ewoluuje w kierunku ontologicznego koszmaru. Porażenie się życia, rozwoju i dynamiki sprawiło, że kodeks styyczny stał się suchy i kostyczny jak stukanie dziecięcia. Herling cierpi na brak chlorofilu pozwalającego żywić się światłem. "Ciężąca materia jest w stanie wspinać się w górę wbrew sile ciężania tylko w rós-

linach, dzięki przechwyconej przez zielen liści i działającej w ich sokach energii słonecznej. Siła ciężenia i śmierć ogarniać będą stopniowo ale nieubłagane roślinę pozbawioną światła." /Simone Weil/.

Herling bardzo interesuje się diablem. Czy interesuje się też Bogiem? Proponuje teologię Krzyża, który nie odkupia, nie rehabilituje materii. Piękno nie jest dla niego symbolem zgody na świat. Bez Wcielenia ludzie i zjawiska nie są odbiciami, podobieństwami i narzędziami rzeczy niewidzialnych. Świat nie jest żywym organizmem znaków, oddany bez reszty Księżciu Ciemności przypomina raczej martwy krajobraz księżycowy. Herling patrzy w świat i nie rozpoznaje w nim Boga. To tak jakby nie znalazł nagle własnego obrazu w lustrze.

PMK

## OD PODBOJU DO REFORM

W obszernym artykule "Fałszywe dylematy - prawdziwe alternatywy" /Encounter, grudzień 1980/ Leopold Łabędź ostro krytykuje dotychczasową politykę Zachodu, w szczególności USA, w stosunku do ZSRR i precyzyjnie argumentuje własne stanowisko - jedyne, jego zdaniem, które zdoła uchronić wolny świat od zagłady. W oczach Łabędzia bilans powojennej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników przedstawia się katastrofalnie, świadcząc o jednoznacznej porażce w powstrzymaniu i ograniczaniu wzrostu radzieckiego imperium. Wszystkie dane mówią o naruszeniu równowagi militarnej na korzyść ZSRR. Sam Harold Brown, minister obrony w administracji Cartera, oświadczył niedawno: "Ilekróż budżet obronny USA wzrastał, wzrastał też budżet ZSRR; gdy nasz budżet malał - ich budżet wzrastał". Również w sferze politycznej pozycja Kremla wzmocniła się, podczas gdy etanowisko Zachodu ulega ciągłej erozji. Politykę zagraniczną krajów wolnego świata cechuje paraliż woli, krótkowzroczny oportunizm, ugódowość i stałe dostosowywanie się do żądań Kremla. Łabędź nie przehliera w słowach - polityka appeasementu ma swoje precedensy i postawa Schmita, Giscarda lub Cartera w stosunku do Breżniewa niewiele różni się, jego zdaniem, od postawy Chamberlaina lub nawet Petaina w stosunku do Hitlera.

Diagnoza jak widać jednoznaczna i dość przerażająca. Jaką terapię proponuje Łabędź, syn znanego przed wojną w Warszawie weterynarza? Zanim poda niezbędne jego zdaniem środki zaradcze, próbuje realistycznie zanalizować przyczyny, które doprowadziły do obecnego stanu rzeczy. Łabędź krytykuje szczególnie ostro Nixona i Kissingera, którzy rekomendują teraz politykę diametralnie odmianną niż ta, jaką proponowali dziesięć lat temu, a jednocześnie zaciemniają obraz próbując usprawiedliwić swoje uprzednie decyzje: "Nowa fala sztucznych racjonalizacji zastępuje stare iluzje i uniemożliwia jasność spojrzenia".

Żadna poprzednia formuła powojennej polityki zagranicznej USA nie nadaje się jego zdaniem do użytku:

1/ Doktryna "containment" /powstrzymywania/ realizowana przez NATO w latach 1948-53 zasługuje na pochwałę, gdyż oparta

była na adekwatnej percepcji niebezpieczeństwa, jednak prawie wyłączna koncentracja na stronie militarnej problemu i zaniechanie politycznej /m.in. brak giętkości, nieprecyzyjne rozpoznanie ideologiczne wroga, popieranie reżimów skorumpowanych/ czyni ją bezwartościową jako podstawę do "racjonalnej strategii powstrzymywania zakusów Kremla w długofalowej zimnej wojnie przeciw Zachodowi".

2/ Doktryna "détente" lansowana przez Kissingera i Nixona w latach siedemdziesiątych oparta była na fałszywej przesłance, że można nakłonić Breżniewa do zachowywania się tak jak car Aleksander w 1815 roku na Kongresie Wiedeńskim. "Ta fantastyczna idea lekceważyła fakt, że państwo totalitarne oparte na rewolucyjnym legitymizmie nie może być po prostu partnerem w sojuszu państw dążących do zachowania międzynarodowego status quo". W latach siedemdziesiątych zapomniano, pisze Żabędź, o starych prawdach: tylko siła może powstrzymać siłę, tylko opór może powstrzymać ekspansjonizm. Zamiast rozluźnić napięcie polityka détente zwiększyła zagrożenie, zamiast kontroli zbrojeń rozmowy SALT spowodowały militarny upadek Ameryki, układy Helsińskie nie przyniosły większej wclności lub przestrzegania praw człowieka w ZSRR. W amerykańskiej publicystyce politycznej iluzje co do "demokratyzacji" i "liberalizacji" zwodzą opinię publiczną a "niebezpieczną ideę totalitarną odłożono do lamusa jako przeżytek zimnej wojny".

Istnieje wyraźny związek między ucieczką od rzeczywistości proponowaną przez détente a odwróceniem kolejności priorytetowych decyzji i brakiem gotowości Kongresu i społeczeństwa do wysiłków i wyrzeczeń. Zamiast Kissingerowskiego "związania sięcią wzajemnych interesów" mamy sytuację, w której zachodni bankierzy gotowi są udzielać bezwarunkowo coraz to nowych pożyczek. "Inwestowanie dziesięciu do dwudziestu miliardów dolarów w radziecki przemysł naftowy i uzależnianie się w ten sposób od dobrej woli rządu ZSRR za dziesięć lub dwadzieścia lat, zamiast zużyć te pieniądze na rozwój alternatywnych źródeł energii w USA nie wydaje mi się ani dalekowzroczne ani racjonalne ani zabezpieczające interesy państwowe" oświadczył Żabędź Senatowi USA jeszcze w 1973 roku. Co więcej, Zachód sprzedaje do ZSRR technologie, które mogą posłużyć do wzmocnienia potencjału militarnego. Już Lenin powiedział, że "kapitałiści sami dostarczą nam stryczek na którym ich powiesimy".

3/ Formuły używane przez Cartera i jego administrację były tylko "słowną maską dyną ukrywającą brak jakiejkolwiek orientacji. Sprzeczne postawy odbijały się w schizofrenicznej polityce". Wystarczy porównać rozbieżne wypowiedzi rzeczników Departamentu Stanu i Rady Bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że takie niezdecydowanie i chwiejność odbierane są jako słabość.

Cóż więc proponuje Zabędź? Pierwszym celem amerykańskiej polityki winno być jego zdaniem przywrócenie naruszonej równowagi sił. Aby osiągnąć ten cel nie można popierać "zbankrutowanych koncepcji". Niezbędne jest przyswojenie sobie lekcji doświadczeń, porzucenie postaw i przesłanek, które doprowadziły do porażek i obudzenie na Zachodzie "ducha aktywnego oporu przeciwko radzieckiemu ekspansjonizmowi". Stawką w tej walce jest istnienie cywilizacji. Nie można dać się zastraszyć szantażowi nuklearnemu, ani zapaść się na lep fałszywych dylematów: że, na przykład, dla *détente* jedyną alternatywą jest wojna, lub też, że ci, którzy krytykują przesłanki *détente* są przeciwko wszelkim negocjacjom. "Chodzi nie o to, czy negocjować lecz kiedy i jak negocjować, a jedyne negocjacje, które mogą wstrzymać wyścig zbrojeń to te, które prowadzi się z pozycji siły. Osłabienie Zachodu zwiększa zagrożenie nuklearne, *appeasement* ogranicza pole manewru i doprowadza do sytuacji, w której USA mają do wyboru tylko wojnę lub kapitulację".

Należy więc zwiększyć wydatki na brojenia, przywrócić pobór do wojska oraz wzmóc "ideologiczną wojnę", która potwierdziłaby wartości cywilizacji zachodniej. Tylko taka zdecydowana linia "uwierzytliwiłaby przewoźną rolę Ameryki, zjednoczyłaby powrotem kraje Paktu Atlantycznego. Właśnie wahania co do skuteczności amerykańskiego "straszaka" "wzmagają odśrodkowe tendencje krajów NATO i popychają Europę w kierunku finlandyzacji a USA w kierunku izolacjonizmu". Od dawna wiadomo, że długofalowa, spójna, konsekwentna polityka zagraniczna nie była nigdy mocną stroną krajów demokratycznych. Jednakże, stwierdza Zabędź, "ciągłe powtarzanie tego Toqueville'owskiego truizmu uderza mnie jako coś pokrewnego z samospełniającym się defetyzmem". Dalekosiężne zadanie dla Zabędzia jest takie samo jak dla Richarda Pipesa, którego cytuje: "Ostatecznym celem zachodniej kontrstrategii powinno być zmuszenie ZSRR do zwrócenia się do wewnętrznych - od podboju do reform. Tylko powstrzymanie zewnętrznej

ekspansji zmusi reżim radziecki do konfrontacji z własnym społeczeństwem i do rozliczenia się ze swojej polityki. To znany fakt nowożytnej historii Rosji: gdy tylko rząd odnosił porażkę w polityce zagranicznej - w wojnie krymskiej, w wojnie z Japonią, w Wojnie Światowej - natychmiast pod naciskiem wewnętrznym zmuszony był do przyznania praw swoim własnym obywatelom. Powinniśmy pomóc ludom ZSRR w ich dążeniu do kontrolowania własnych rządów."

Głos Łabędzia czy Pipasa nie jest odosobniony. Podobnie wypowiadali się ostatnio tacy anglosascy publicyści jak Norman Podhoretz /"The Present Danger", New York, 1980/ czy Robert Conquest /"Present Danger", Oxford, 1979/. Podobną też linię zamierza realizować nowa ekipa prezydenta Reagana. Przyszłość pokaże czy będzie ona realizowana konsekwentnie i czy istotnie może ona wpłynąć pomyślnie na bieg wypadków w naszej części globu.

PMK

## ŚMIERĆ AMALRIKA

Wiemy już: on nie dotrwał do roku 1984. Wiemy również: wielkie imperium, którego upadek z satysfakcją wieścił, prawdopodobnie przetrwa symboliczną datę. Słynną rozprawę, napisaną wiosną 1969 roku, rozpoczął słowami: "Przed dziesięciu laty bez mała napisałem pracę o Rusi Kijowskiej; z przyczyn ode mnie niezależnych musiałem przerwać moje badania na temat początku państwa rosyjskiego, ale teraz spodziewam się, że jako historyk będę stokrotnie za to wynagrodzony, stając się świadkiem jego końca". Nie stał się świadkiem, nie sprawdziko się wiele jego hipotez. Po nim przyszły do nas z Rosji głosy potężne: kolosalne świadectwa terrpru /Skżenicyu/, ogromne analizy socjologiczno-imaginacyjne /Zinowiew/, wielkie przysięgi pamięci /Nadziełda Mandelsztam/. A jednak Amalrik nawet wśród nich zajmuje miejsce szczególne. W pewnym bardzo zasadniczym sensie odniósł triumf. Był dziwnie trzeźwym, ironicznym obserwatorem miążdżącego go świata. Nie wierzę w trwałość tej kultury, w siłę tej siły, mówił cichym, spokojnym głosem.

Kiedy się czyta jego blyakotliwe i celne wywody, trudno pojąć, że pisak to człowiek odcięty od podstawowych dzieł europejskiej myśli, nie znający z doświadczenia instytucji elementarnych dla prawno-politycznego funkcjonowania społeczeństwa wolnościowego. Mogłoby się wydawać, że nie opuszczał nigdy Oksfordu, że wybrano go do parlamentu strasburskiego. Jak nieeuropejcy wydają się w porównaniu z jego sposobem myślenia liczni politolodzy i intelektualisci głoszący w Rzymie, Paryżu, Nowym Jorku, Hamburgu dogardę dla prawa, kult siły i kolektywizmu.

Nasuwa się porównanie z Czaadajewem, z jego "Listem Filozoficznym". Czaadajew też spokojnym głosem powiedział bolesne słowa prawdy pod adresem otaczającego go społeczeństwa, też wskazywał na zapcznanie idei prawa jako na źródło wynaturzeń. Amalrik jest jednak bardziej konsekwentnym indywidualistą. Wskazuje na niebezpieczne rozumienie "sprawiedliwości" w tradycji rosyjskiej, rozumienie dystrybutywne, nie prawne: pragnienie, aby nikomu nie działo się lepiej ode mnie. "Dla narodu rosyjskiego, ze względu



na jego tradycje historyczne, idea samorządności, równego dla wszystkich prawa, wolności caobistej - i związanej z tym odpowiedzialności - jest niemal zupełnie niezrozumiała. Nawet w idei wolności przeciętny Rosjanin nie dostrzega praktycznego działania, możliwości dobrego urzędzenia się w życiu, lecz niebezpieczeństwo, że kto inny, obdarzony większym sprytem, dobrze się urządzi jego kosztem. Samo słowo "wolność" pojmowane jest przez większość narodu jako synonim słowa "anarchia" /.../ My, Rosjanie, nie przeżywalismy europejskiej epoki kultu jednostki ludzkiej, w dziejach Rosji jednostka zawsze była jedynie środkiem, nie celem. I, rzecz paradoksalna, sama nazwa "okres kultu jednostki" przyjęła się u nas jako termin oznaczający okres takiego poniżenia i sponiewierania jednostki ludzkiej, jakiego nawet nasz naród nigdy przedtem nie doświadczył. W dodatku uprawia się propagandę, która wszystkimi siłami stara się przeciwstawić to, co indywidualne, temu co społeczne".

Kiedy przedstawiał Zachodowi szkic "Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?", zauważył, że jego tekst powinien zainteresować czytelników choćby z tych względów, z jakich ichtiologów zainteresowałaby ryba, która nagle przemówiła. O czym mówił? O schyłkowej fazie systemu, o zbliżających się wielkich wstrząsach, niszczycielskich aktach buntu i przemocy "klas niższych": "Łatwo sobie wyobrazić, jakie formy przyjmie niezadowolone narodu i jakie znajdzie ujście, kiedy reżim sam sobie wykopie grób. Okropności rosyjskich rewolucji lat 1905-1907 i 1917-1920 okazały się przy tym zupełną idyllą". Nie wierzył w trwałość ruchów demokratycznych, których stanowił część, zbyt słabo są zakorzenione w mentalności ludu, w tradycji rosyjskiej. Wierzył w przyszłe zderzenie imperializmu sowieckiego, słabnącego ideologicznie, choć materialnie prężnego, z młodym imperializmem chińskim. To będzie ostateczna klęska imperium rosyjskiego. "Jego słowiańskie państwo wznoszone było kolejno przez Skandynawów, Bizantyjczyków, Tatarów, Niemców i Żydów i kolejno unicestwiano swych twórców. Zdradzało wszystkich sojuszników, kiedy tylko dostrzeżało w tym najmniejszą korzyść. /.../ Tak jak przyjęcie chrześcijaństwa odroczyło rozpad imperium rzymskiego, tak też doktryna marksistowska opóźniła rozpad imperium rosyjskiego - trzeciego Rzymu - ale nie jest w stanie mu zapobiec".

Jego proroctwa wydają się dziś, jak to bywa z proroctwami, zbyt kategoryczne i jednostronne. A jednak postać Amalrika nie

tylko jest dowodem, że jego teza kiedyś się spełni /wazystkie imperia są bowiem śmiertelne i podlegają niszczącej władzy czasu/, ale też stanowi ważną korekturę pesymizmu jego wywodów. Postanowił zachowywać się jak wolny człowiek i to mu się udało. Istniał Amalrik, a więc mogą się pojawić Amalrikowie: system stworzył pustynię prawną, twierdzi ktoś, kto wewnątrz tego systemu się wychował, lecz rozwinął w sobie europejską świadomość prawną i tą miarą zmierzył otaczający go świat.

WK

Jakie trzy książki, wydane przez polskich autorów poza krajem, były dla Pani/Pana szczególnie ważne? (Gombrowicza i Miłosza, jako wybór oczywisty, wyłączamy)

ANNA  
KAMIENSKA

1. "Mój wiek" Aleksandra Wata.
2. "Inny świat" i "Dzienniki pisane nocą" - Gustawa Harlinga-Grudzińskiego
3. Eseistyka i listy Pawła Hosiowca /Jerzy Stempowski/.

Dwie pierwsze pozycje przynioszą szczególne zespolenie doświadczenia i intelektu. Obaj pogrążyli się w piekle rzeczywistości i potrafili uzyskać wobec niego dystans, zdobyć się nie tylko na osąd moralny, ale też na współcierpienie i przebaczenie. Pisarstwo Harlinga-Grudzińskiego jest ponadto znakomitą prozą.

Eseistyka Hosiowca ma rzadką spotykaną szerokość widzenia. Może i tutaj dystans intelektualny w stosunku do literatury rodzimej daje tak odkrywcze i trafne perspektywy, jak np w eseju o Fredrze. Jego traktowanie historii jest tak rozumiejące, jakby było przeżywaną współczesnością. To, co jest często obolałością, uwikłaniem, niemożnością w literaturze powstającej u nas w kraju, uzyskuje w tych dziełach wymiar bólu w sensie historyczno-egzystencjalnym.

ADAM  
KERSTEN

Trudną to niebezpieczną krzyżówką. Chciałbym wiele, przede wszystkim ze względu na moje zainteresowania historią. A więc: "Zeszyty Historyczne" - całość to marzenie, ale może wybór.

Uzasadnień ta pozycja nie wymaga. Dalej Zygmunta Zaremby "Wojna i konspiracja" - choć z tendencją, ale pasja opisu i ogrom informacji. Dalej, "Armia Krajowa w dokumentach", podstawa do badań nad dziejami okupacji. A z innych książek poza tym, co już się ukazało w kraju? Może jakaś pozycja Wittlina, albo Weissberga-Cybulskiego "Wielka czystka", bo ta relacja lepiej niż inne oddaje osobiste tragedie tych ludzi.

JERZY  
KŁOCZOWSKI

Wybór niezłatwy, bo w grę wchodzi bardzo duże pozycji przedstawiających dużą wartość. Ograniczając się do książek w języku polskim /bo są przecież i bardzo ważne prace czy edycje źródeł w językach obcych/ wymienić pragnę trzy ich grupy o szczególnym znaczeniu:

1/ Publikacja materiałów źródłowych do sprawy polskiej i walk o niepodległość w latach 1939-1945 i wstępne próby ich opracowania. Tu zaliczę bezcenne wydawnictwo Londyńskiego Studium Polski Podziemnej, "Armią Krajową w dokumentach" /kilka tomów w ostatnich latach/, czy zapoczątkowana w Londynie jeszcze w 1950 roku seria tomów pt. "Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej"

2/ Spośród bardzo licznych i często bezcennych wspomnień szczególną lokatę dałbym książce Jana Nowaka "Kurier z Warszawy".

3/ Z prób historycznej syntezy wymienię pięknie napisane "Dzieje Polski porobiorcze 1795-1921" Mariana Kukieła /II wyd. Londyn 1963/, oraz kontrowersyjną ale do dziś niezbedną książkę Władysława Pobóg-Malinowskiego "Najnowsza historia polityczna Polski", tom I-III dla lat 1864-1945 /wydana w Londynie w latach siedemdziesiątych/.

MICHAŁ  
KOMAR

"Inny świat" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego,  
"Zarys dziejów socjalizmu polskiego" Lidii i  
Adama Ciołkoszów, powieści Stefana Kisielew-  
skiego wydane pod pseudonimem Tomasz Staliński.

1. Herling-Grudziński jako jeden z pierwszych przedstawił rzeczywistość systemu stalinowskiego, pokazał jak inny świat jest wmontowany w historię ludzkości. Książka ta nieprzypadkowo koresponduje ze "Wspomnieniami z domu umarłych" Dostojewskiego. Książka ta stwarza nadzieję ukazując jej absurdalność. Jest tak dlatego, że nie jest to ani szkic polityczny, ani traktat filozoficzny, lecz dowód twórczego wysiłku. Potwierdza fakt, że sztuka może oprzeć się na takim doświadczeniu i że tylko w ten sposób można zrozumieć i włączyć to rozumienie do porządku kultury. Po 1945 roku uważano, że takie doświadczenie już się nie powtórzy, że być dziełem diabła, powstało poza kulturą. Jednak osujność i możliwość protestu można <sup>oc. 112</sup> jedynie uświadamiając sobie, że było

to dzieło ludzkie wynikające z porządku kultury.

Ponadto chciałbym dodać, że Herling-Grudziński jako jeden z nielicznych tworzy to, co można nazwać stylem wielkiego eseju w polskiej kulturze.

2. Praca Ciótkoszów jest ważna z dwu względów. Po pierwsze, jest to najbardziej rzetelna próba przedstawienia tworzenia i dojrzewania socjalizmu polskiego. Ma ona wielki walor dydaktyczny, szczególnie w kraju, gdzie przez 35 lat czyniono wszystko, żeby podać w wątpliwość sensowność idei socjalistycznych.

Po drugie, szukając legitymacji dla władzy znajdowano ją w zakamarnym opisie dziejów socjalizmu. Jeżeli ktoś chce być w kłamstwie, to jest to jego rzecz, ale społeczeństwo w ten sposób nauczone niechęci, a nawet nienawiści do lewicowości. Dzieło Ciótkoszów pokazuje, że socjalizm to nie antynarodowa agentura, ani spisek masońsko-tydowaki, lecz autentyczny ruch społeczny, przejęty czystymi, choć może utępijnymi ideami.

3. Literatura polska, polska powieść lat 50-tych, 60-tych, 70-tych po socrealizmie popada w okowy języka esopowego. Okowy uwznioślają postacie i esopowość stała się z czasem nową jakością. Większość tych esopowych dzieł była jednak kaleka, tak jak kaleka bywa aluzja wobec rzeczywistości. Wielka zasługa Stalińskiego-Kisielewskiego, że starał się rzetelnie, zgodnie z wymogami realizmu opisywać i rozumieć rzeczywistość taką, jaka jest. Nie wszystkie z tych powieści są wielkie. Ich zaletą jest jednak świadomość rzeczywistości i danie tej świadomości wyrazu.

Krytyka nasza dobudowuje teorię do języka esopowego: niemożność realizmu, niemożność stosowania klasycznych zasad narracji. Kisielewski pokazał, że można, tylko trzeba chcieć. Dowiódł także, iż pojęcie historii, którym posługuje się krytyka literacka jest formą usprawiedliwienia bezruchu intelektualnego. Kisielewski twórczością swoją i postawą dowiódł, że historia nie dokonuje się poza nami, ale przez nas.

ADAM  
MICHNIK

Chciałbym wymienić "Inny świat" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, "Mój wiek" Aleksandra Wata oraz polityczną publicystykę "Kultury".

1. "Inny świat" to obok Borowskiego najbardziej przejmujące studium ludzkiej kondycji w systemie totalitarnym. To nieporów-

nany portret polskiego losu w rosyjskim totalitaryzmie. To przede wszystkim jedna z najpiękniejszych książek o miłości bliźniego. Książka ciągle jeszcze niedoceniona, bo jej pasjonujący politycznie temat przesłania jej treści fundamentalne, pozapolityczne. Podziwiam maestrię pisarką, przedstawienie elementarnych, moralno-metafizycznych problemów.

2. "Mój wiek" to książka o doświadczeniu komunizmu jako doświadczeniu religijnym. To polska replika na "Doktora Faustusa". To książka o diabolizmie totalnych cywilizacji. Portret intelektualisty jako medium doświadczeń totalnych. Zgadzałem się z Miłoszem, że nikt nie będzie mógł pisać o życiu intelektualnym w Polsce dwudziestolecia bez uwzględnienia tego dzieła.

3. Książka nie istniejąca, ale która musi powstać, można ją odnaleźć w rocznikach "Kultury". Wielki portret myśli politycznej "Kultury" czyli portret myśli politycznej Jerzego Giedroycia. Byłoby to studium o polskim realizmie politycznym, realizmie specjalnego typu. To realizm sytuacji beznadziejnych. To realizm w sytuacji niezgody na podbój, który jest faktem. To realizm, który naucza, że można wyrzec się złudzeń nie wyrzekając się marzeń, wyrzec się frazesów nie wyrzekając się wartości, wyrzec się demagogii nie wyrzekając się zasad. Chciałbym wymienić przede wszystkim trzy nazwiska. Po pierwsze, Juliusz Mieroszewski - portre parole Jerzego Giedroycia. Po drugie, Jurij Ławrinienko, autor szkicu "Literatura sytuacji pogranicznych" - to jeden z najbardziej przejmujących dokumentów istnienia drugiej twarzy ustroju komunistycznego we Wschodniej Europie. Po trzecie, publicystyka Józefa Czapskiego - to człowiek, który w polityce, angażując się w nią konsekwentnie wybierał wartości duchowe. Człowiek, który rzeźbił kształt polskiej duchowości na podobieństwo Norwida i Brzeczowskiego, a przeciw Sienkiewiczowi i Dmowskiemu.

STANISŁAW  
STOMMA

Najwartościowsze książki wydane za granicą  
w ostatnich latach:

1. Stanisław Świaniewicz - "W cieniu Katynia",
2. Jan Nowak /Jesiorański/ - "Kurier z Londynu".

3. Marcin Król - "Style politycznego myślenia".

4. Leszek Kołakowski - "Główne nurty marksizmu".

JAN  
JÓZEF  
SZCZEPAŃSKI

Wyłączenie przez Redakcję dwóch autorów - Mi-  
kosza i Gombrowicza - równocześnie ułatwia i  
utrudnia odpowiedź. Ułatwia, ponieważ obaj ci  
pisarze wydali na emigracji wiele książek,

między którymi wybór nie jest sprawą prostą - utrudnia ze wzglę-  
du na wyrównane szanse najlepszych spośród pozostałych "konkuren-  
tów" z jednej strony i na niepełną orientację co do ogólnego  
stanu piśmiennictwa emigracyjnego - z drugiej.

W tych warunkach selekcja trzech pozycji nie może być w pełni  
obiektywna i musi być dokonana według dosyć przypadkowych kry-  
teriów. Dla mnie kryterium takim jest intensywność przeżycia wy-  
wołanego lekturą danej książki, przy czym okoliczności zewnętrzne  
towarzyszące lekturze mają też niewątpliwie duże znaczenie.

"Szkice piórkiem" Andrzeja Bobkowskiego były jedną z pierw-  
szych, powstałych na emigracji utworów, z jakimi zapoznałem się  
po wojnie. Opracowywałem wtedy do ewentualnej publikacji moją  
własną, wojenną relację /"Polska jesień"/ i doświadczenia Bobkow-  
skiego interesowały mnie szczególnie żywo jako historyczny zapis  
ówczesnych polskich losów. Największe jednak wrażenie wywarła na  
mnie postawa autora, jego całkowicie suwerenny stosunek do rze-  
czywistości, dyktujący mu ów refleksyjny ton oraz eseiistyczną  
technikę narracji, które mnie olśniły. Mądra i błyskotliwa proza  
Andrzeja Bobkowskiego uświadomiła mi rozległość obszarów wewnętr-  
nej wolności pisarza - obszarów, których granice starano się w  
tamtych czasach ściśle wytyczyć i obwarować.

"Mój wiek" - rozmowy z Aleksandrem Watem - czytałem w okresie  
przełomowym, kiedy krystalizowanie się ruchów opozycyjnych posta-  
wiło na wokandyzie punkta rewizję postaw i poglądów inteligencji  
polskiej, tkwiących korzeniami jeszcze w międzywojennym dwudzie-  
sioleciu. Dla ludzi mojego pokolenia, którzy samodzielność inte-  
lektualną osiągnęli dopiero w czasie okupacji, sprawy te pozosta-  
wały w znacznej mierze tajemnicą - tym głębszą, że po wojnie znaj-  
dowały się przeważnie w strefie "białych plam". Wstrząsająca re-  
lacja Wata, nacechowana powagą świadectwa składanego w obliczu  
śmierci, miała dla mnie donicość odkrycia brakującego ognia  
ewolucji.

"Kurier z Warszawy" Jana Nowaka - jedna z lektur najświetszej  
daty - to niewątpliwie najznakomitszy dokument Ruchu Oporu. Wie-  
le opisanych w tej książce faktów wchodzi w zakres mojego i moich  
równieśników doświadczenia, ale chociaż historia okupacji jest w

ogólnych szkicach znana w Polsce, do rzadkości należą publikacje o takim fartograficznym zasięgu informacji, a przy tym tak emocjonujące i tak dramatyczne. Jest to po prostu świetna książka, którą czyta się z pasją, niezależnie od stopnia osobistego zaangażowania. Książka tragiczna, ale budząca uczucie narodowej dumy. Przede wszystkim zaś książka uczciwa.

JERZY  
TUROWICZ

Odpowiedź na ankietę nie jest łatwa, gdyż na pewno nie czytałem wielu książek autorów emigracyjnych, które należałoby przeczytać. Spośród tych, które udało mi się przeczytać, wymienilibym trzy następujące:

1. "Mój wiek" Aleksandra Wata, książkę znakomitą zarówno jako obraz losów i drogi ideowej autora, jak i obraz całego środowiska inteligencji lewicowej czasów międzywojennych.

2. "Kurier z Warszawy" Jana Nowaka, jedną z najlepszych, najbardziej plastycznych i autentycznych relacji o czasach okupacji i walce podziemnej.

3. "Kronikę życia Józefa Piłsudskiego" Wacława Jędrzejewicza, bezcenne źródło do historii najnowszej Polski.



**numer zamknięto dnia 7 stycznia 1981**

w poprzednim numerze:

WIDZIANE Z WARSZAWY • NAD GROBEM  
REFORMY • MOJA ODPOWIEDŹ NA DRU-  
GĄ ANKIETĘ "DiP"U • LEKCJA MIEROSZEW  
SKIEGO • METAFIZYCZNE ZŁO NA SCENIE  
DZIEJÓW • HISTORIA NAJNOWSZA I HIS-  
TORYCY • STANOWISKA: Duch krucjaty i  
duch wolności • PRZEGLĄD PRASY: Kłopoty  
z Sołżenicynem • TEMATY: "To moja rzecz,  
bo pospolita" • Rozmowa Sikorskiego z Be-  
neszem • NOTY O KSIĄŻKACH